



Kobięca  
strona  
thrillera

To dziecko  
nie musiało zginąć...

# CO Z CIEBIE ZA MATKA?

## PAULA DALY

Prószyński i S-ka

CO  
Z CIEBIE  
ZA MATKA?  
PAULA  
DALY

Przełożył  
Janusz Ochab

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
JUST WHAT KIND OF MOTHER ARE YOU?

Copyright © Paula Daly 2013  
First published in Great Britain in 2013 by Bantam Press  
an imprint of Transworld Publishers  
All rights reserved

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce  
© Roy Bishop/Arcangel Images

Redaktor prowadzący  
Katarzyna Rudzka

Redakcja  
Joanna Habiera

Korekta  
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-7961-555-1

Warszawa 2013

Wydawca  
 Prószyński Media Sp. z o.o.  
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Dla Jimmy'ego

*Przyjeżdża wcześniej, ma trochę wolnego czasu. Parkuje tyłem, wysiada. Wzdryga się, gdy ziąb uderza go w twarz, przenika przez ubranie. Ładnie pachnie. Drogo.*

*Zaparkował kilkaset metrów od szkoły i punktu widokowego. Kiedy powietrze jest przejrzyste, rozciąga się stąd piękny widok na jezioro i góry po drugiej stronie. W lepszą pogodę stałaby tutaj furgonetka z lodami, japońscy turyści robiliby zdjęcia. Ale nie w taki dzień jak dziś, gdy niebo zakrywają gęste chmury i gdy nadciąga jesienny mrok.*

*W tafli jeziora odbijają się drzewa. Woda jest zamulona, ma kolor kawy z mlekiem, który wkrótce zamieni się w niebieskawą szarość. Nie mąci jej najmniejszy nawet podmuch.*

*Zastanawia się przez moment, czy nie kupić sobie psa. Jakąś przyjazną rasę – może spaniela albo któregoś z tych białych puchatych maluchów. Dzieciaki uwielbiają psy, prawda? Może warto spróbować.*

*Rozgląda się dokoła, ale na razie jest sam. Stoi nieruchomo, obserwuje otoczenie, ocenia ryzyko.*

*Ocena ryzyka to część jego pracy. Zwykle zmyśla, pisze to, co inspektor ochrony przeciwpożarowej chce przeczytać. Zawsze jednak dodaje parę drobiazgów, stara się robić wrażenie, że naprawdę traktuje poważnie swoje zajęcie.*

*Ten przypadek jest inny. Teraz naprawdę musi się wszystkiemu uważnie przyjrzeć. Bo zdaje sobie sprawę, że bywa lekkomyślny. Wie, że czasami nie jest dość skrupulatny i że później może za to zapłacić. Nie dopuści do tego. Nie tym razem.*

*Patrzy na zegarek. Ma jeszcze mnóstwo czasu, zanim zaczną go oczekiwać gdzie indziej. Pod tym względem jego praca jest naprawdę fantastyczna, zostawia masę czasu na inne... zainteresowania.*

*Tak właśnie myśli o tym w tej chwili – jako o zwykłym hobby. Nic poważnego. Stara się to ocenić, sprawdzić, czy mu się podoba. Podobnie jak ktoś inny oceniałby na przykład wieczorowe kursy.*

*Weź udział w kilku zajęciach kaligrafii, nim zapłacisz za całość.*

*Może jednak konwersacje z francuskiego nie są dla pana.*

*Wie, że prawdopodobnie wkrótce zacznie go to nudzić, ale to właśnie decyduje o powodzeniu, bo czyż nie jest tak, że wszyscy ludzie sukcesu szybko się nudzą?*

*Gdy był dzieckiem, mówiono mu, że nie umie się do niczego przyłożyć, nie potrafi usiedzieć w miejscu i skupić się choć przez chwilę na jednej rzeczy. Być może nadal tak jest, więc musi to sprawdzić, nim się zaangażuje. Chce zyskać pewność. Chce wiedzieć, zanim zrobi pierwszy krok, że posunie się dalej.*

*Ponownie spogląda na zegarek. Trzecia czterdzieści. Wkrótce tu będą – pierwsi wracający do domu.*

*Wsiada do samochodu i czeka.*

*Chce wy badać jego reakcję. Sprawdzić, czy rzeczywiście wydarzy się to, czego oczekuje. Wtedy będzie wiedział. Wtedy zyska pewność.*

*Kiedy ich dostrzega, jego puls przyspiesza. Nie mają kurtek ani czapek, noszą buty nieodpowiednie na tę porę roku. Jako pierwsze przed samochodem przechodzą dwie dziewczyny. Farbowane włosy, ponure miny, grube bezkształtne nogi.*

*Nie, to nie to. Nie o to mu chodzi.*

*Za dziewczynami idą dwie grupki chłopców. Mają czternaście, może piętnaście lat. Popychają się, śmieją z niczego. Jeden spogląda w jego stronę, pokazuje mu dwa palce. Rozśmiesza go to. Nieszkodliwa błazenada.*

*Potem dostrzega ją.*

*Jest sama. Idzie równym krokiem, wyprostowana. Ma około dwunastu lat – choć może jest trochę starsza i wygląda młodo jak na swój wiek.*

*Przechodzi przed samochodem, a jego puls znów przyspiesza. Gdy się uspokaja, czuje przyjemny dreszcz. Drepcze za grupą chłopców, nie wiedząc, co zrobić. Obserwuje uważnie, jak jej twarz się zmienia, jak pojawia się na niej wyraz determinacji, gdy w końcu postanawia ich wyprzedzić.*

*Przyspiesza kroku, niemal biegnie, zeskakuje na moment z chodnika, a potem wchodzi nań ponownie i wraca do swojego tempa. „Jest jak łania!” – myśli zachwycony. Jej szczupłe kostki poruszają się szybko, gdy oddala się od grupy.*

*Spogląda w dół i widzi, że jego dłonie są wilgotne. I wtedy wie już na pewno. Uśmiecha się, zrozumiawszy, że nie przyjechał tu na próżno.*

*Opuszcza osłonę przeciwsłoneczną i spogląda na swoje odbicie w lusterku. Wygląda tak samo jak dziesięć minut temu, ale czuje się inaczej, zupełnie jakby wszystkie elementy ułożyły się nagle w jedną całość. Chyba po raz pierwszy rozumie w pełni, co mają na myśli ludzie, gdy mówią: „Bingo. Właśnie o to chodziło”.*

DZIEŃ PIERWSZY  
WTOREK



# ROZDZIAŁ 1

Budzę się bardziej zmęczona niż wtedy, gdy kładłam się do łóżka. Spałam pięć i pół godziny. Dopiero gdy budzik dzwoni po raz trzeci, podnoszę głowę.

To taki rodzaj zmęczenia bez powodu. Wiecie, jak to jest, czujecie rano, że jesteście wyczerpani, i myślicie sobie: Co się ze mną dzieje? Może mam jakąś cholerną chorobę krwi? A może zaraziłam się czymś naprawdę paskudnym, bo nikt przecież nie czuje normalnie takiego zmęczenia. Zgadza się?

Ale badałam się już. Wyniki badania krwi były w normie. Mój lekarz rodzinny – starszy facet, który pewnie już dość się nasłuchał od różnych kobiet o tym, jak bardzo są zmęczone – uśmiechnął się do mnie cierpko i powiedział:

– Przykro mi, Liso, ale paskudztwo, na które cierpisz, to... życie.

Często czuję się tak, jakbym brała udział w olbrzymim eksperymencie społecznym. Jakby jakiś geniusz postanowił poddać wszystkie kobiety zachodniego świata jednemu wielkiemu doświadczeniu: Wykształćmy je! Dajmy im dobrą, sensowną pracę! A potem sprawdźmy, co się stanie, kiedy zaczną się rozmnażać. Zobaczmy, jak to wszystko się rozwala!

Myślicie, że zrzędzę.

Ja też tak myślę.

To jest właśnie najgorsze. Nie mogę sobie nawet ponarzekać bez poczucia winy, bo wszystko mam. Wszystko, czego człowiek mógłby chcieć. Powinien chcieć. I ja tego chcę. Wszystkiego.

„Co się ze mną stało?” – myślę, patrząc na swoje odbicie w lustrze, gdy szczotkuję zęby. Byłam kiedyś miła. Miałam czas dla innych ludzi. Teraz żyję w stanie ciągłego, pełnego irytacji zmęczenia i nie cierpię tego.

Jestem przytłoczona. To jedyne słowo, jakim potrafię siebie opisać. To właśnie

napiszą na moim nagrobku.

Lisa Kallisto: była po prostu ogromnie przytłoczona.

Wstaję pierwsza. Czasami moja córka schodzi na parter trochę wcześniej, jeśli musi zrobić coś z niesfornymi włosami, ale zwykle o szóstej czterdzieści tylko ja już nie śpię.

„Wstań godzinę wcześniej” – radzą czasopisma. Ciesz się tym spokojem, tym czasem wytchnienia, nim zacznie się poranne szaleństwo. Zaplanuj dzień, zrób listę rzeczy, które chcesz zrobić, napij się gorącej wody z plasterkiem cytryny. Oczyszczyć się, a wkrótce na pewno poczujesz się lepiej.

Robię sobie kawę i rozsypuję suchą karmę do misek. Mamy trzy psy, wszystkie są mieszańcami z przewagą rasy staffordshire bull terrier – gdybym miała wybierać, zdecydowałabym się na coś innego, ale to dobre psy. Czyste, łagodne, lubią dzieci. Gdy wypuszczam je z komórki, gdzie spędzają noc, uradowane przebiegają obok mnie, siadają przy miskach i spoglądają na mnie wyczekująco.

– Smacznego – mówię, a one natychmiast rzucają się na karmę.

Zwykle rano wychodzi z nimi na spacer mój mąż Joe, ponieważ pracuje do późna. Wyobrażacie sobie pewnie, jak siedzi w biurze, z rozluźnionym krawatem i zmierzwionymi włosami, zarywając noc, by dotrzymać terminu. Ja też czasami tak sobie go wyobrażam. Nigdy nie sądziłam, że wyjdę za taksówkarza. Szczególnie takiego, który ma na aucie wielki srebrny napis „Joe le Taxi”.

Zeszłej nocy Joe jechał na lotnisko Heathrow. Kilku Arabów zaproponowało, że zapłaci mu podwójnie, jeśli zostanie ich kierowcą na czas ich pobytu w Krainie Jezior. Chcieli zrealizować typowy program: pojechać do domu Wordswortha i na farmę Beatrix Potter, popływać łódką po jeziorze Ullswater, zjeść Kendal Mint Cake<sup>1</sup>. Słyszałam, jak Joe kładł się do łóżka około czwartej, mniej więcej w tym samym czasie, gdy ja obudziłam się przerażona myślą, że zapomniałam wysłać kartkę z gratulacjami z okazji urodzin nowego dziecka jednej z moich współpracownic ze schroniska.

[1](#) Ciasto miętowe, specjał regionalny Kumbrii, hrabstwa Wielkiej Brytanii.

– Dostałeś przyzwoity napiwek? – wymamrotałam z twarzą wciśniętą w poduszkę, podczas gdy Joe układał się obok mnie, roztaczając dokoła zapach piwa.

Zawsze trzyma w samochodzie dwie puszki, jeśli pracuje do późna. Mówi, że dzięki temu może zasnąć, gdy tylko położy się do łóżka. Powtarzam mu do znudzenia, żeby tego nie robił – taksówkarz pijący piwo za kierownicą to zły pomysł – ale on jest uparty jak osioł.

– Dali mi stówę – odpowiedział, ściskając moje pośladki – ...i zamierzam wszystko wydać na nową bieliznę dla ciebie.

– Chyba dla siebie – ziewnęłam.

Od ośmiu lat kupuję na urodziny Joego nową bieliznę – bieliznę dla mnie. Co roku pytam go: „Co chcesz?” – a on zawsze patrzy na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: „Naprawdę musisz pytać?”.

Raz postanowił, że sam wszystko kupi. Zrezygnowaliśmy z tego pomysłu, kiedy przyniósł do domu wyłącznie czerwone rzeczy – nawet kabaretki.

– Lepiej, żebym to ja kupowała, Joe – powiedziałam wtedy.

– Dobra – skinął głową, zawiedziony, choć w głębi duszy musiał wiedzieć, że nigdy nie włożę takiego kiczu.

Psy kończą jeść i truchtają razem do tylnych drzwi. Najbardziej lubię Ruthie, bulterierkę skrzyżowaną z seterem irlandzkim albo wyżłem węgierskim. Ma krótką sierść typową dla rasy staffordshire, ale zamiast czekoladowych brązów mieni się różnymi odcieniami henny, rdzy i oranżu. Całości dopełniają bardzo długie łapy, na których wygląda tak, jakby pożyczyła je od innego psa.

Ruthie pojawiła się w schronisku pięć lat temu razem z całym miotem niechcianych szczeniaków. Suka rozplodowa wyrwała się na jeden dzień na wolność, a potem urodziła siedem maluchów. Ruthie jako jedyna nie mogła znaleźć sobie domu i trafiła do nas.

Na szczęście Joe ma fantastyczne podejście do zwierząt, swojego rodzaju naturalny autorytet, którego psy szukają w ludziach. Rozumie psy tak samo, jak niektórzy

ludzie rozumieją liczby albo obwody drukowane. Nawet jeśli mamy jakiś trudny przypadek i zabieram go do domu, tajemnicza moc Joego sprawia, że jeszcze przed kolacją pies jest obłaskawiony.

Otwieram tylne drzwi, a psiaki wybiegają na zewnątrz. W tym samym czasie do środka wpadają koty i lodowate powietrze. Zima przyszła wcześniej. Zapowiadano śnieg i rzeczywiście w nocy sporo go napadało. Chłód natychmiast przenika mnie do szpiku kości. Słyszę, jak nad doliną niesie się krzyk jakiegoś zwierzęcia, i szybko zamykam drzwi.

Kawa jest już gotowa, więc robię sobie coś, co w kawiarniach nazywają americano espresso, rozrzedzone gorącą wodą. Mój kubek mieści niemal pół litra. Słyszę ruch na górze, tupot małych stóp, szum spuszczonej wody i siąkanie nosa. Biorę się w garść. Przeczytałam gdzieś, że dzieci oceniają własną wartość na podstawie wyrazu twarzy rodziców, i uświadomiłam sobie z przerażeniem, że ja zwykle wyglądam przy nich tak, jakbym myślami była zupełnie gdzie indziej. Wynika to z faktu, że rzeczywiście cały czas myślę o różnych sprawach, ale one o tym nie wiedzą. Pewnie przez pierwszych kilka lat życia zastanawiały się, czy w ogóle je rozpoznaję. Teraz myślę o tym z przestachem i staram się nadrobić stracony czas. Mój najmłodszy syn jest zachwycony, że poświęcam im tyle uwagi, ale dwójka starszych dzieciaków, szczególnie trzynastoletnia Sally, przygląda mi się podejrzliwie.

Sally siedzi teraz przy kuchennym stole, wciąż nieco zaspana. Włosy związała w kucyk, zajmie się nimi później. Obok niej na blacie leży iPod touch.

Wcina płatki ryżowe i przegania kota, trącając go łokciem. Przyglądam się jej znad czajnika. Ma śniadą cerę, jak Joe. Cała trójka ma taką karnację. Kiedy ktoś pyta mojego męża, skąd pochodzi, mówi, że z Ambleside. Większość ludzi zakłada, że jest Włochem. To nieprawda. Kallisto to nazwisko południowoamerykańskie – brazylijskie, choć podejrzewamy, że przodkowie Joego pochodzili z Argentyny. Ma ciemne oczy, ciemne włosy i śniadą skórę. Dzieciaki tak samo. Ich włosy są czarne, lśniąco i proste, odziedziczyły też po Joem niezwykle długie rzęsy. Oczywiście Sally uważa, że jest brzydka. Myśli, że wszystkie jej przyjaciółki są piękne, a ona nie. Pracuję nad tym, ale oczywiście ona nie wierzy w moje zapewnienia, bo jestem jej

matką. Co ja mogę wiedzieć?

– Masz dzisiaj wuef? – pytam.

– Nie. Zajęcia techniczne.

– Co robicie?

Nigdy nie wiem do końca, na czym właściwie polegają zajęcia techniczne. Wydaje mi się, że obejmują stolarkę, szycie, projektowanie, właściwie wszystko...

Sally odkłada łyżkę i patrzy na mnie tak, jakby chciała spytać, czy sobie nie żartuję.

– Zajmujemy się teraz technologią żywności – mówi, patrząc mi prosto w oczy. – Żywnością. Gotowaniem. Nie mów, że zapomniałaś przygotować składniki. Lista jest tam – dodaje, wskazując na lodówkę.

– Cholera – odpowiadam cicho. – Kompletnie o tym zapomniałam. Czego potrzebujesz?

Sally wstaje, odsuwając krzesło ze zgrzytem. Ja przez cały czas myślę: „Niech to będą ciastka z płatkami owsianymi, proszę, niech to będą ciastka”. Mam płatki owsiane, resztę skądś bym wzięła. Albo szarlotka. Mogłaby zużyć te jabłka i dorzucić ewentualnie kilka owoców. Szarlotka byłaby w porządku.

Sally bierze do ręki kartkę z lodówki.

– Pizza.

– Nie... – jęczę, załamana. – Naprawdę?

– Potrzebuję koncentratu pomidorowego, mozzarelli, czegoś na podkład, może być bagietka albo pita, i dodatków według własnego wyboru. Myślałam o pikantnym kurczaku i zielonej papryce. Ale może być też tuńczyk, jeśli nie mamy nic innego.

Nie mamy żadnego z tych składników. Ani jednego.

Zamykam oczy.

– Dlaczego mi nie przypomniałaś? Prosiłam cię, żebyś mi przypomniała. Dlaczego nie zrobiłaś tego, kiedy...

– Przypomniałam ci.

– Kiedy?

– Po szkole w piątek – odpowiada. – Siedziałaś przy swoim laptopie.

Rzeczywiście, przypominam sobie. Próbowałam zamówić artykuły spożywcze,

a sieć nie chciała przyjąć numeru mojej karty kredytowej. Wpadłam wtedy we wściekłość.

Wyraz satysfakcji na twarzy Sally ustępuje miejsca panice.

– Zajęcia techniczne są na trzeciej lekcji – mówi podniesionym głosem. – Skąd ja wezmę te rzeczy na trzecią lekcję?

– Nie możesz wytłumaczyć nauczycielce, że matka o tym zapomniała?

– Powiedziałam jej tak ostatnio, a ona na to: Więcej nie chcę tego słyszeć. Mówi, że to także mój obowiązek. Że mogę sama pójść do sklepu i kupić co trzeba.

– Tłumaczyłaś jej, że mieszkamy w Troutbeck?

– Nie, bo uznałaby, że się z nią kłócę.

Stoimy przez chwilę i patrzymy na siebie w milczeniu. Ja mam nadzieję, że rozwiązanie samo się nasunie, a Sally żałuje, że nie umiem radzić sobie lepiej z tym wszystkim.

– Zostaw to mnie. Zajmę się tym – mówię w końcu.

Myślę o czekającym mnie dniu i nalewam sok jabłkowy do szklanek dwóch chłopców, którzy siedzą przy kuchennym stole. Obecnie mamy w schronisku czternaście psów i jedenaście kotów. Jest dość miejsca dla psów, ale jedna z moich najlepszych kocich opiekunek idzie jutro na operację wycięcia macicy, więc rano sama muszę pojechać po następne cztery koty. Przyjadą też dwa psy z Irlandii Północnej, o których zupełnie zapomniałam.

Chłopcy kłócą się, który z nich zje resztki płatków ryżowych, bo żaden nie chce starego müsli leżącego w szafce od lata. James ma jedenaście lat, a Sam siedem. Obaj są chudzi, mają wielkie brązowe oczy i są zupełnie pozbawieni rozsądku. Przypominają włoskie dzieciaki, które matki ciągle tłuką po głowie. Kochani chłopcy, ale głupiutcy. Ogromnie ich kocham.

Godzę się z myślą, że będę musiała obudzić Joego i wysłać go po składniki do pizzy, kiedy dzwoni telefon. Jest siódma dwadzieścia, co z pewnością nie zapowiada nic dobrego. Nikt nie dzwoni do mnie o tej porze z dobrymi wiadomościami.

– Lisa, tu Kate.

– Cześć, Kate – odpowiadam. – Coś się stało? Coś złego?

– Tak... nie... w pewnym sensie. Posłuchaj, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale chciałam cię złapać, zanim chłopcy wyjdą z domu.

Przyjaźnię się z Sally od pięciu lat. Ma dwoje dzieci, w podobnym wieku do mojej Sally, najstarszej, i Sama, najmłodszego.

– To nic poważnego. Pomyślałam po prostu, że chciałabyś o tym wiedzieć, żebyś mogła rozwiązać problem, zanim wymknie się spod kontroli. – Milczę, pozwalam jej mówić dalej. – Chodzi o to, że w zeszłym tygodniu Fergus przyszedł do domu i powiedział, że potrzebuje trochę pieniędzy do szkoły. Wtedy się tym nie przejęłam – wiesz, jak to jest, ciągle na coś potrzebują pieniędzy. Więc mu dałam i pewnie bym o tym zapomniała, ale wczoraj, kiedy rozmawiałam z Guyem, okazało się, że jego też prosił o pieniądze, więc postanowiliśmy z nim porozmawiać.

Nie mam pojęcia, do czego zmierza ta opowieść, ale w przypadku rozmowy z Kate to całkiem normalne, więc staram się udawać zainteresowanie.

– Więc na co ich potrzebował?

Pewnie powie mi, że nauczyciele postanowili otworzyć sklepik szkolny, choć ona się na to nie zgadza. Mówi, że jest temu przeciwna *dla zasady*.

– Chodzi o Sama – mówi Kate wprost. – Pobiera od dzieci opłaty za zabawę.

– Co robi?

– Dzieci mu płacą, żeby móc się z nim bawić. Nie wiem dokładnie ile, bo... zdaje się, że nie stosuje stałych opłat. Fergus jest trochę zdenerwowany tą historią. Dowiedział się, że płaci znacznie więcej niż inni chłopcy.

Odwracam się i spoglądam na Sama. Jest ubrany w piżamę z Mario Kart i karmi łyżką naszego starego rudego kocura.

Wzdycham ciężko.

– Nie jesteś na mnie zła, że z tym zadzwoniłam, prawda?

Krzywię się. Kate próbuje być miłą, ale jej głos przybrał ostry, nieprzyjemny ton.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. – Cieszę się, że mi powiedziałaś.

– Chodzi o to, że gdybym to była ja... gdyby chodziło o któreś z moich dzieci,

chciałabym o tym wiedzieć.

– Oczywiście – powtarzam. Potem wygłaszam standardową kwestię, którą raczę wszystkich bez względu na sytuację, jakiej muszę stawić czoła. – Zostaw to mnie – oświadczam stanowczo. – Zajmę się tym.

Zamierzam odłożyć słuchawkę, ale słyszę jeszcze, jak Kate pyta:

– U dziewczynek wszystko dobrze?

– Słucham? A, tak – odpowiadam, bo jestem zdenerwowana i zakłopotana, nie myślę normalnie. Zastanawiam się, jak mam rozwiązać problem nowego przedsięwzięcia Sama.

Jednak odłożywszy słuchawkę, myślę: „Dziewczynki?”. Co właściwie miała na myśli? Potem odsuwam to od siebie, bo Kate często mąci mi w głowie. Często nie rozumiem, co właściwie chce powiedzieć. Musiałam do tego przywyknąć.



## ROZDZIAŁ 2

Mieszkamy w wynajmowanym, pełnym przeciągów domu w miejscowości Troutbeck.

Troutbeck leży na wschód od jeziora Windermere i należy do miejsc, które można znaleźć w książkach zatytułowanych „Urocze wioski Anglii”. Podobno liczy dwieście sześćdziesiąt domów, ale nie wiem, gdzie ukrywają się ich mieszkańcy, bo prawie nigdy ich nie widuję.

Oczywiście wiele z tych domów używanych jest głównie latem, gdy wynajmuje się je turystom. W wielu innych mieszkają emeryci, którzy nie zawsze uczestniczą w codziennym życiu Troutbeck, choćby dlatego, że nie mają tu dzieci. Ani wnuków, które odbieraliby ze szkoły kilka razy w tygodniu czy też zawozili do parku i na basen.

Kiedyś myślałam, że to okropne, jak rodziny tracą ze sobą kontakt, odcinają się od siebie, przedkładając piękno miejsca, w którym zamierzają spędzić jesień życia, nad bliskość rodziny. Teraz jednak wiem, że niektórzy właśnie tego pragną. Że nie zawsze zależy im na byciu razem.

Moja mama ma mieszkanie w miejscowości Windermere. Nigdy wyszła za mojego tatę – byliśmy jego drugą rodziną – i z powodu jakiejś paskudnej historii, która wydarzyła się w moim dzieciństwie i o której nigdy nie rozmawiamy, w ogóle się z nim nie widujemy. Poprosiłabym mamę, żeby kupiła składniki do pizzy dla Sally, ale mama nie jeździ samochodem, więc zwróciłam się z tym do Joego. Biedak jest wykończony. Też spał tylko kilka godzin.

Wyjeżdżam sprzed domu samochodem, wioząc obok siebie Sama, i macham do dwójki starszych dzieciaków, które czekają na minibusa.

Nie wiem, czy ta zasada obowiązuje w całym kraju, czy tylko w Kumbrii, ale jeśli

mieszkaś dalej niż pięć kilometrów od najbliższej szkoły albo jeśli przy drodze do szkoły nie ma chodników, twoje dzieci mają prawo do bezpłatnego transportu. Ponieważ do Troutbeck nie kursują normalne autobusy, ich rolę przejmuje taksówka – a właściwie minibus. (Joe to co innego. On pracuje na własny rachunek. Głównie przewozi starsze panie do lekarza, do sklepów ogrodniczych albo do klubów karcianych).

Sam również mógłby jeździć taksówką, ale boję się, że jakiś podły kierowca ukradłby go i zapakował na prom do Zeebrugge, nim zorientowałabym się, że maluch nie dotarł do szkoły (sprawdzałam, nie wymagają od kierowców zaświadczeń o niekaralności). Wysadzam więc Sama w drodze do schroniska, co ma tę dobrą stronę, że w ciągu normalnego tygodnia pracy jest to jedna z niewielu chwil, gdy możemy być razem.

Rozmawiamy o różnych rzeczach. Sam wierzy jeszcze w Świętego Mikołaja i uważa, że Jezus był superbohaterem. To dla niego oczywiste, że Jezus dysponował mocami superbohatera, bo „jak inaczej mógłby robić te wszystkie rzeczy?”.

Sam przechodził przez fazę fascynacji Jezusem w zeszłym roku i wciąż o nim mówił. Ja nie widziałam w tym niczego złego. Jednak pewnego dnia przy kolacji Joe się zdenerwował, odłożył z hukiem widelec na stół i powiedział:

– Ta szkoła go psuje.

Jedziemy powoli wąską dziurawą drogą, na której nie ma się nawet gdzie wyminąć. Muszę wyjechać o odpowiedniej porze, bo inaczej natykam się na minibus jadący z naprzeciwka. Zawsze to ja muszę cofać, bo kierowca minibusu ma kłopoty z szyją i nie może odwracać głowy. Prawdę mówiąc, jego pojazd jest też znacznie szerszy od mojego.

W samochodzie jest okropnie zimno, więc Sam naciągnął kaptur na czapkę i nie słyszy, co do niego mówię. Poza tym mam dziurawy tłumik. Powinnam go wymienić już miesiąc temu, a z dnia na dzień jest coraz gorzej. Gdy tylko naciskam na gaz, rozlega się ogłuszający ryk. Pytam Sama o szkołę.

– Co?

– Słucham – poprawiam go.

– Słucham? Co?

– Czy w szkole dzieje się coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

Wzrusza ramionami i wygląda za okno. Potem odwraca się i mówi z przejęciem o dzieciaku, który przyniósł lampę z lawą na lekcję „pokaż i opowiedz”. I, po pierwsze, kiedy kupimy lampę z lawą, a po drugie, dlaczego on nigdy nie może przynieść czegoś na „pokaż i opowiedz”.

Przeklinam w duchu matkę, która przysporzyła mi tylko kłopotów. Pokaż i opowiedz. Cudownie.

– Lekcje „pokaż i opowiedz” – tłumaczę cierpliwie – to amerykański zwyczaj. Jak „cukierek albo psikus”. Anglicy po prostu tego nie robią.

– Wszyscy oprócz nas bawią się w „cukierek albo psikus”.

– Nie, nie wszyscy.

– A właśnie że wszyscy.

– No dobrze – kończę szybko temat. – Czy to prawda, że każesz dzieciom płacić za to, że będziesz się z nim bawił?

Nie odpowiada. Nie widzę jego twarzy ukrytej pod kapturem, a muszę się skoncentrować, bo wjechałam na główną drogę, która nie została należycie posypana piaskiem. Ktoś zrobił to od niechcienia.

Na moment ogarnia mnie panika, gdy wyobrażam sobie, jak kierowca minibusu wchodzi za szybko w zakręt, wylatuje z drogi i leci w dół, na samo dno doliny.

Widzę oczami wyobraźni, jak pojazd dachuje, przetacza się z boku na bok i zatrzymuje dopiero obok prasy do siana. Okna minibusu są wybite, moje dzieci zwieszają się bezwładnie z siedzeń niczym manekiny po teście zderzeniowym.

Wzdrygam się.

– Słucham? – mówi w końcu Sam w odpowiedzi na moje pytanie.

– Słyszałeś, co mówiłam.

– Nie każę płacić *wszystkim* – tłumaczy z ociąganiem. Widzę, że jest nie tyle zawstydzony, co rozczarowany. Myślał pewnie, że będzie mógł w ten sposób zarabiać na życie, a z mojego tonu wnioskuje, że to dochodowe przedsięwzięcie skończy się znacznie wcześniej, niż planował.

Odwracam się do niego.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego dzieciaki chcą ci płacić. Dlaczego dają ci pieniądze, skoro równie dobrze mogłyby się bawić same albo z kimś innym?

– Nie wiem – odpowiada z niewinną miną, ale jednocześnie rzuca mi szelmowskie spojrzenie, które mówi: „Ja wiem. Bo są głupie, prawda?”.

Pięć minut później zatrzymujemy się przed szkołą. Sprawdzam, czy samochód Kate stoi tam, gdzie zwykle, przy bramie, ale jeszcze jej nie ma. Lubię ją, ale irytuje mnie, że nadal codziennie wchodzi do szkoły. Bo moim zdaniem naprawdę nie ma takiej potrzeby.

Jej syn Fergus ma niemal osiem lat. Potrafi sam się przebrać i dojść do klasy. W szkole uczy się tylko osiemdziesięcioro dzieci. Nie zgubi się, choćby się starał. Ale Kate należy do tych rodziców, którzy lubią sobie pogawędzić z nauczycielem. Lubi obserwować, jak Fergus zdejmuje powoli buty, a ona przewraca wtedy oczami i klaska w dłonie, wołając:

– Ruszaj się, raz, dwa, raz, dwa! No już, podaj mamie buty!

Kate nie pracuje. Oboje z mężem utrzymują się z pieniędzy za wynajem domków letniskowych. Więc po powrocie do domu musi jedynie włączyć pralkę i napisać kartki z podziękowaniami do ludzi, których wcale nie lubi.

Zazdroszczę jej takiego życia.

No dobrze, powiedziałam to.

Potrzebowałam trochę czasu, żeby dojść do takiego wniosku. Wcześniej nie potrafiłam się do tego przyznać. Skarżyłam się Joemu. W pokrętny sposób winałam go za to, że muszę pracować na pełny etat, że codziennie rano wstaję zmęczona, że...

Dzwoni mój telefon.

Wyciągam komórkę z kieszeni i widzę, że to Sally. Może minibus nie przyjechał. Albo kierowca nie mógł odpalić w taką pogodę.

– Cześć, Sal, co się dzieje?

Sally płacze. Rozpaczliwie szlocha. Nie może wydobyć głosu z gardła.

– Mamo... – Słyszę w tle jakieś hałasy, płacz... warkot samochodu. – Mamo, stało się coś naprawdę okropnego.

## ROZDZIAŁ 3

Joanne Aspinall, policjantka z wydziału dochodzeniowo-śledczego, jedzie na komisariat, kiedy dostaje wiadomość o zaginionej dziewczynce. Trzynastolatce. I nie chodzi o trzynastolatkę wyrobioną życiowo. Joanne zastanawia się, czy w ogóle istnieją takie trzynastolatki. Poza tym gdyby nawet była sprytna i obyta, co by to zmieniło? Gdyby nawet często wychodziła gdzieś sama. Czy to zmieniałoby obraz sprawy? Czy czyniłoby ją mniej niepokojącą?

Zaginiona to zaginiona. Doświadczenie dziewczyny nie odgrywa tu żadnej roli.

Jednak gdy Joanne widzi zdjęcie, przebiega ją zimny dreszcz. Trzeba przyznać, że dziewczyna rzeczywiście wygląda młodo jak na swój wiek. Zdziwiająco młodo. Joanne musi też przyznać – choćby tylko przed sobą – że trzynastolatki, które paradują w stanikach wonderbra i szpilkach, zwykle wcześniej czy później się odnajdują. Zwykle wracają do domu skruszone i zawstydzone, smutne i wystraszone, przepraszając, że sprawiły rodzicom tyle bólu. Bo w gruncie rzeczy chciały jedynie udowodnić, jakie są samodzielne.

Kiedy Joanne była młoda, zachowywała się podobnie. Wychodziła bez pozwolenia z domu, wrzeszczała na matkę, że jest wystarczająco duża, żeby się o siebie zatroszczyć, desperacko pragnęła, by traktowano ją poważnie. Koniecznie chciała być dorosła, choć w rzeczywistości była to ostatnia rzecz, jaką dało się o niej powiedzieć.

Joanne myśli o tej dziwnej pewności siebie, którą emanują dziewczyny w tym wieku, i dochodzi do wniosku, że w przypadku chłopców następuje to nieco później. Mniej więcej w wieku szesnastu lat. Wtedy nabierają śmiałości graniczącej z arogancją i zaczynają sprawiać kłopoty, nawet jeśli do tej pory nigdy im się to nie zdarzyło.

W zeszłym tygodniu dostali ulotkę od wojska. Armia szukała dzieciaków, których

życie „można odmienić, jeśli należycie się nimi pokieruje”.

„Mogą wiele zaoferować Armii Brytyjskiej” – głosiła ulotka. „Jasne – pomyślała Joanne – to oczywiste”. Instykt samozachowawczy działa wyjątkowo słabo w przypadku takich młodziaków – chętnie pójdą w ogień, przekonani, że są nieśmiertelni, niezniszczalni. Nic dziwnego, że cholerna armia chce ich przygarnąć.

Joanne zapoznaje się szybko z informacjami o zaginionej dziewczynie, a potem rusza pod wskazany adres. Zna ten dom. Kiedyś mieściła się tam stara plebania, nim jeszcze sprzedano kościół. Był za duży, duchownym brakowało pieniędzy na ogrzewanie.

Rodzina nie jest znana policji – niewielu mieszkańców Troutbeck kiedykolwiek miało z nią styczność. To nie jest *takie* miejsce.

Joanne zajmuje się nielicznymi przestępstwami cięższego kalibru, do których dochodzi w obrębie Parku Narodowego. To jeden z najbezpieczniejszych rejonów Wielkiej Brytanii. Codziennie widuje się tutaj tych samych ludzi, więc jeśli już ktoś rzeczywiście ewidentnie naruszy prawo, trudno to ukryć przed innymi.

Ludzie przenoszą się tutaj w poszukiwaniu lepszego życia dla siebie i swoich dzieci, więc zwykle starają się nikomu nie narażać, nie wchodzić w konflikt z sąsiadami. Traktują mieszkanie w takim miejscu jako przywilej, więc robią wszystko, co w ich mocy, żeby tego nie zmieniać.

Ale nie tak łatwo tu żyć.

Ceny domów są wyśrubowane, a przemysł praktycznie nie istnieje. Dlatego jeśli ktoś chce się tu przeprowadzić, powinien mieć pewność, że zarobi na życie, inaczej nie pomieszka tu długo. Ludzie, którzy przyjeżdżają do Krainy Jezior w przekonaniu, że otworzą kawiarnię, kwaciarnię czy pracownię artystyczną i utrzymają się z tego, wcześniej czy później stają w obliczu bankructwa.

Joanne zauważyła, że nowo przybyli z dumą nazywają siebie „miejscowymi” już po roku czy dwóch. Jakby to był powód do dumy. Joanne nigdy tego nie rozumiała. Jest miejscowa. Mieszka tu od urodzenia, ale nie wie, czy rzeczywiście jest się czym chwalić.

Jej matka i ciotka Jackie przeprowadziły się tutaj z Lancashire, gdy były jeszcze

nastolatkami, by pracować jako pokojówki. Na samą myśl, że miałyby siebie nazywać miejscową, parska pogardliwie.

– Miejscowa? A niby dlaczego chciałabym się do nich zaliczać? Zero poczucia humoru...

Joanne zbliża się do podjazdu pod domem rodziny Riverty i zwalnia.

Ich córka nie należy do dziewczyn, które znikają z własnej woli. Joanne dobrze o tym wie. Nie, Lucinda Riverty jest zupełnie inna.

Joanne poprawia stanik i wysiada z auta, myśląc o tym, że kiedy jeszcze musiała pracować w mundurze, przynajmniej nie zaprzętała sobie myśli wyglądem. Teraz wyszukiwanie odpowiednich ciuchów zajmuje jej prawie tyle samo co papierkowa robota. Ponieważ nosi stanik w okrutnym rozmiarze 38GG, trudno jej znaleźć bluzkę czy sweter, w którym nie wygląda jak beczka.

Zapina kurtkę, a potem rusza w górę ścieżki. Myśli o tym, że teraz może dzwonić do drzwi bez obawy, że ktoś weźmie ją za striptizerkę.

Choć dziś, tak czy inaczej, nie musiałyby się tym martwić.

– Pani Riverty?

Kobieta kręci głową.

– Jestem jej siostrą, mam na imię Alexa. Proszę wejść, wszyscy tu są.

Joanne pokazuje legitymację policyjną, ale kobieta nie patrzy. Nie pyta, kim jest Joanne, bo w takiej chwili nikt się nie bawi w konwenanse. Zapraszają cię szybko do środka, nie chcą tracić ani chwili.

I tak mają już do siebie pretensje o każdą minutę, którą zmarnowali do tej pory. Kiedy wiedzieli, że coś jest nie tak, że dzieje się coś złego, kiedy świat szeptał im do ucha, że mają kłopoty.

Kobieta pokazuje Joanne, by przeszła korytarzem i skręciła w prawo. Policjantka wchodzi do przedsiionka i wyciera buty. Patrzy przed siebie. Stonowane kolory farb Farrow & Ball, maty z trawy morskiej na schodach, kilka gustownych czarno-białych zdjęć dzieci. Joanne dostrzega na jednym z nich pięcioletnią dziewczynkę przebraną za baletnicę, która trzyma w dłoniach tulipany i kolorową torebkę. Przypuszcza, że to jest właśnie Lucinda.

W pokoju jest już pełno ludzi, to normalne w takich sytuacjach. Wszyscy przychodzą prosto tutaj. Wszyscy członkowie rodziny, wszyscy przyjaciele. Chcą być razem, czekać.

Joanne jest do tego przyzwyczajona. Zna ten wyraz twarzy – wyczekujący, ale nieco zmieszany. Kim jest ta kobieta w czarnej kurtce? Po co przyszła?

– Detektyw Aspinall – przedstawia się Joanne.

Zaczyna zawsze od stopnia, żeby zebrani wiedzieli, z kim mają do czynienia. Zwykle trudno im zrozumieć, że kobieta w cywilnym ubraniu to policjantka. Zastanawiają się, czy przyszła pocieszać rodzinę, przekazać im jakieś wiadomości?

Nie są pewni. Lepiej przedstawić się od razu i przejść do rzeczy.

Wszyscy odwracają się od Joanne i patrzą na załamana blondynkę, która siedzi na środku szerokiej, lekko zapadniętej sofy.

To pokój dla dzieciaków. Stoją w nim stare meble, rzeczy, które nie są już nikomu potrzebne i można je spokojnie poplamieć albo zabazgrać flamastrami.

W rogu stoi czteroletni telewizor, pod nim leżą konsole do gry: PlayStation, Wii, Xbox. Joanne zna nazwy tych urządzeń, nawet jeśli nie potrafi ich odróżnić, bo sama nie ma dzieci.

Blondynka chce wstać, ale Joanne powstrzymuje ją gestem.

– Pani Riverty?

Kobieta kiwa lekko głową, rozlewając przy tym herbatę z kubka, który trzyma w dłoni. Oddaje naczynie mężczyźnie, który siedzi obok niej.

Joanne przenosi wzrok na niego.

– Pan Riverty?

– Guy – odpowiada, siląc się na uśmiech, ale nie potrafi zmusić mięśni twarzy, by ułożyły się w taki grymas.

Wstaje. Jego oczy są pełne bólu, na twarzy maluje się smutek.

– Przyszła pani nam pomóc? – pyta.

– Tak – odpowiada Joanne.

Oczywiście, właśnie po to przyszła. Żeby im pomóc.



To już druga zaginiona dziewczyna. Dlatego właśnie przysłano Joanne. Gdyby to Lucinda była pierwsza, najpierw do rodziców przyjechałoby mundurowi. Ale wydział Joanne współpracuje w tej sprawie z Lancashire, a po serii nieudanych śledztw w sprawie porwań na południu wszyscy są w stanie najwyższego pogotowia.

Dwa tygodnie wcześniej młoda dziewczyna zaginęła w Silverdale w hrabstwie Lancashire, tuż za granicą hrabstwa Kumbria.

Molly Rigg. Kolejna dziewczyna, która wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości. Kolejna dziewczyna, która *nie powinna zaginąć*, jak powiedział szef Joanne.

Molly Rigg pojawiła się w porze popołudniowej herbatki, trzydzieści kilometrów od domu, gdy weszła do biura podróży w miejscowości Bowness-on-Windermere.

Listopad gnębił wszystkich ponurą pogodą, więc w biurze pełno było ludzi, którzy chcieli uciec przed jesiennym mrokiem – na przykład na Dominikanę. Joanne widziała reklamę tych wczasów w witrynie: 355 funtów za osobę, all inclusive.

Naga od pasa w górę Molly nie wiedziała, gdzie jest. Nie miała pojęcia, do jakiego miasteczka trafiła. Wybrała biuro podróży, bo pomyślała, że tamtejszy personel będzie „miły”.

I był.

Kierownik grzecznie wyprosił wszystkich klientów, podczas gdy dwie pracownice biura okryły Molly swoimi ubraniami. Nim dotarła tam Joanne, tuliły dziewczynkę tak mocno i troskliwie, że nie mogła ich uprosić, by ją puściły.

Jedna z nich, Danielle Knox, opowiadała potem, jak podniosła wzrok znad rozkładu lotów i zobaczyła Molly stojącą nieruchomo przed wejściem. Deszcz spływał strumieniami po jej nagich ramionach i małych piersiach, a ona obejmowała się rękami i drżała.

Opowiedziała też o swoim zdumieniu, gdy Molly zapytała cicho i uprzejmie:

– Przepraszam, czy mogłaby pani zadzwonić do mojego domu? Muszę się skontaktować z mamą.

Molly zeznała później, że mężczyzna, który mówił jak postacie z serialu *The Darling Buds of May*, zabrał ją do kawalerki i co najmniej raz zgwałcił. Mama Molly

była wielbicielką tego serialu i w niedzielne popołudnia oglądała powtórki na ITV3, podczas gdy Molly odrabiała lekcje przed kominkiem.

Joanne zastanawia się, co Kate i Guy Riverty wiedzą o tej sprawie. Albo ile uwagi poświęcili biednej Molly, zanim sami znaleźli się w równie dramatycznej sytuacji.

Kate Riverty pyta Joanne, czy jej zdaniem porwania mógł dokonać ten sam mężczyzna, na co policjantka odpowiada:

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Na tym etapie nic jeszcze nie wskazuje, że to ten sam człowiek.

Oczywiście wcale tak nie myśli. Jednak dobrze wie, że choć pani Riverty wydaje się opanowana, nie chce słyszeć takich rzeczy.

Joanne nie zamierza spekulować, czy Lucinda została porwana, czy nie.

Dziecko nie wraca do domu? Rodzice zakładają porwanie.

Nieważne, co mówią statystyki. Nieważne, ile nieletnich ucieka z domu. Sugerujesz, że dziecko nie zostało porwane, i doprowadzasz do kompletnego załamania rodziców.

Joanne spogląda na wystraszone twarze ludzi zgromadzonych w pokoju. Nie, nie chce, by wszyscy pogrążyli się w rozpacz.

## ROZDZIAŁ 4

Siedzę z głową w dłoniach przez dziesięć minut? Pół godziny? Nie wiem, jak długo. Z otępienia wyrywa mnie pukanie w szybę samochodu.

– Wszystko w porządku? – pyta bezgłośnie mama Jessiki. Nie znam jej imienia, a ona pewnie nie zna mojego, ale należy do tego typu kobiet, które zawsze reagują na cudze nieszczęście.

Kiwam głową.

– Jest pani pewna? – nie ustępuje, wyraźnie zatroskana. Muszę wyglądać naprawdę fatalnie.

Ponownie potakuję, tym razem bardziej zdecydowanie, bo nie mogę się tym z nikim podzielić. Nie teraz, jeszcze nie.

Odchodzi, ale wcześniej zerka na mnie jeszcze, sprawdza, czy rzeczywiście daję sobie radę – bo to właśnie robią matki. Sprawdzają. Upewniają się kilka razy. Muszą mieć pewność, że wszystko jest w porządku.

A ja tego nie zrobiłam.

Byłam tak zajęta... czym właściwie? Co takiego robiłam? Bo kiedy wracam myślami do wczorajszego dnia, nic nie przychodzi mi do głowy. Zupełnie nic.

Rozglądam się dokoła. Nadal nie ma samochodu Kate. Oczywiście, że nie. Nie przyjedzie dzisiaj do szkoły. Nie przywiezie Fergusa, nie będzie gawędzić z sekretarką o zbiórce pieniędzy dla pomocnicy nauczyciela, która odchodzi po świętach. Nie będzie przeglądać zgubionych rzeczy, oddawać szkolnych bluz ich właścicielom. Nie będzie wołać do Fergusa: Pospiesz się! Raz, dwa, słoneczko, zdejmuj buty.

Kładę dłonie na kierownicy. Muszę stąd odjechać, stoję przecież przed bramą szkoły. Ludzie zaczynają się na mnie gapić.

Nikt jeszcze nie wie.

Nikt nie wie, co zrobiłam.

Zaczynam płakać. Potrzebuję Joego. Potrzebuję go tak, jak potrzebuje matki małe, zrozpaczone dziecko. Kiedy niebo wali mu się na głowę. Potrzebuję go, ale boję się usłyszeć jego głos.

W końcu dzwonię na jego komórkę. Odbiera po ósmym dzwonku, odkasłuje, a potem woła:

– Już wstałem, wstałem! Zaraz pojedę do Booths. Nie bój się, nie zapomniałem.

– Joe?

Natychmiast zdaję sobie sprawę, że nie zadzwoniłam, by spytać go o składniki do pizzy.

– O co chodzi, kochanie? Co się stało?

– Chodzi o Lucindę – mówię, starając się nie histeryzować. – O córkę Katy, Lucindę. Zaginęła.

– O Jezu, Lisa. Kiedy? Gdzie była? Rozmawiałaś z Kate? Zawiadomiła policję?

– Joe, to nie wszystko – dodaję łamiącym się głosem. – To moja wina. Lucinda zaginęła przeze mnie.

– Jak to może być twoja wina? – dziwi się. – To nie ma sensu.

Cały Joe. Staje w mojej obronie, choć nie zna wszystkich faktów. Nieważne, co zrobiłam. Nieważne, czy rzeczywiście jestem winna, czy nie. Joe natychmiast atakuje każdego, kto zaatakuje mnie, nawet jeśli nie mam racji.

Ale dziś w niczym mi nie pomoże.

– Lucinda miała być wczoraj wieczorem u nas – tłumaczę. – Po szkole miały wrócić do domu razem z Sally i pracować nad projektem. Nie wiem, na jaką lekcję, może geografię, nie pamiętam. Ale Sally nie... – Nie mogę wydobyć głosu z gardła. – Sally nie...

– Sally nie poszła wczoraj do szkoły – kończy za mnie.

– Zgadza się – odpowiadam cicho. – Nie poszła. Mówiła, że źle się czuje, a ja nie miałam czasu się z nią kłócić, więc pozwoliłam jej zostać w domu. Kiedy Sally wsiadła rano do minibusu, a Lucindy tam nie było, przestraszyła się, co z ich

projektem, i zadzwoniła na jej komórkę. Lucinda nie odbierała, więc zadzwoniła do Kate...

– A Kate powiedziała: „A nie jest z tobą?”

– Tak.

Groza tego, co się wydarzyło, uderza we mnie z pełną siłą po raz drugi, gdy prawda dociera również do Joego. Wyobrażam sobie, jak siedzi na skraju łóżka, w samej bieliźnie, z nisko zwieszoną głową.

– Więc od kiedy właściwie jej nie ma? – pyta. – Od wczorajszego popołudnia?

Milczę.

– Cholera... – rzuca, tknięty tą samą myślą, co ja. – Czyżby zaginęła już wczoraj rano?

– Tego jeszcze nie wiemy, Joe – mówię. – Ale nie wróciła do domu na noc, Joe. Przepadła na całą noc, a ma dopiero trzynaście lat. Trzynaście! Ma tylko trzynaście lat... – Teraz już otwarcie szlocham. – Co się z nią stało? Jezu, Joe, czuję się tak, jakby to spotkało nas, ale jest jeszcze gorzej, bo to nie nasza córka zaginęła, bo z mojej winy zniknęła córka... Kate.

Joe wzdycha, a potem pyta najłagodniej, jak potrafi:

– Liso, dlaczego im nie powiedziałaś, że Sally jest chora?

– Kazałam Sally wysłać esemesa i uprzedzić, że nie przyjdzie do szkoły, ale powinnam była to zrobić sama, powinnam była zadzwonić do Kate...

– *Kate* – mówi dobitnie. – Dobry Boże, *Kate* – powtarza.

Wyobrażam sobie jego minę.

– Joe – zaczynam ostrożnie – chcesz powiedzieć, że byłoby łatwiej, gdyby chodziło o córkę kogoś innego? Nie Kate? To chcesz powiedzieć?

– Nie – odpowiada zdecydowanie, ale potem przyznaje: – Wiesz, co mam na myśli... prawda?

Tak, ale nie pozwalam sobie myśleć w ten sposób. Zamykam oczy. Czuję się tak, jakby ktoś strzelił mi w brzuch. Nie mogę się ruszyć.

– Pomóż mi, Joe – płaczę. – Pomóż mi. Nie wiem, co robić.

– Pomogę ci, kochanie – odpowiada kojącym tonem. – Pomogę. Gdzie jesteś?

Przyjadę po ciebie. Nie ruszaj się stamtąd. Przyjadę.

Podobnie jak my Kate i Guy Riverty mieszkają w Troutbeck, ale ich dom stoi po drugiej stronie doliny. Zostawiamy mój samochód przed szkołą Sama, a Joe wiezie nas tam swoją taksówką.

Sam już wyskoczył z samochodu i pognął do szkoły, gdy Sally zadzwoniła z tą straszliwą wiadomością. Chyba nawet się z nim nie pożegnałam. Sally była w kiepskim stanie. Nie mam pojęcia, co z nią zrobić, zabrać do domu czy zostawić w szkole. Powiedziała, że w szkole jest policja, która spisuje ich zeznania, i że nie wie, czy puszczą ją do domu, zanim z nimi nie porozmawia.

Mam pustkę w głowie, jestem dziwnie ociężała. Spoglądam na Joego.

– Nie wiem, co powiedzieć Kate i Guyowi. Co ja im powiem, do cholery?

– Powiedz im, że jest ci przykro. Kate powinna to usłyszeć.

Ma rację oczywiście. Tylko że ja okropnie się boję.

– A jeśli zaczną na mnie krzyczeć? Jeśli mnie wyrzuci?

– Będziesz musiała się z tym pogodzić. Nie masz wyboru. – Patrzy na mnie z przygnębieniem. – Nie pozwolę, żeby cię skrzywdziła, jeśli tego się obawiasz. Zostanę z tobą.

Odwracam głowę, zniesmaczona samą sobą.

– Posłuchaj mnie tylko: boję się jej pokazać na oczy, kiedy jej jedyna córka zniknęła. Czy to nie jest popieprzone? Powinnam się zastanawiać, jak jej pomóc.

Joe wyciąga rękę i kładzie ją na moich zaciśniętych mocno dłoniach.

– To nie twoja wina, Liso – mówi.

Milczę. Jesteśmy już niemal pod domem Kate i Guya. Jeśli teraz powiem, co ciśnie mi się na usta, jeśli wykrzyczę: „Oczywiście, że to moja wina! Wiesz, że to moja wina!”, jeśli pozwolę, by histeria, którą staram się opanować, wzięła górę, nie będę w stanie wysiąść z samochodu.

Zamykam oczy i uspokajam oddech. W końcu mówię:

– Dziękuję, że po mnie przyjechałeś, Joe.

Patrzy na mnie smutnymi oczami.

– Zawsze – mówi krótko.

## ROZDZIAŁ 5

Detektyw Joanne Aspinall wsiada za kierownicę szarego mondeo. Miała do wyboru „Niebo o północy” albo „Księżycowe niebo”. Tak czy inaczej, różne odmiany szarości. Jednak kolor nie miał dla Joanne znaczenia: liczyła się tylko moc silnika. W ostatnich latach obniżyli fundusze dla policjantów w cywilu, uznawszy, że detektywi raczej nie biorą udziału w pościgach samochodowych i że lepsze auta potrzebne są drogówce, która ściga pijanych kierowców i złodziei aut. Joanne nie była z tego zadowolona, bo lubiła szybką jazdę.

Na komisariacie żartowali, że Joanne zna tylko dwie prędkości: albo stoi, albo znika w sienie dali.

Czasami zastanawiała się, czy słusznie zrobiła, przechodząc do wydziału dochodzeniowo-śledczego. Słabe samochody. Na pewno też zarabiałaby więcej jako mundurowa – byłaby sierżantem. W dochodzeniówce awans nie przychodził tak łatwo. Dlatego właśnie ciągle brakowało tam ludzi. Młodszy policjanci nie chcieli czekać bez końca na podwyżkę, szczególnie jeśli mieli rodziny na utrzymaniu.

Joanne zerka na dom i rozmyśla o scenie, której przed chwilą była świadkiem. Oczywiście najpierw jej podejrzenia kierują się ku rodzinie. Statystyki nie kłamią. Dzieci zwykle padają ofiarą znanych sobie osób.

To jedno z najtrudniejszych zadań, jakie stoją przed detektywem – musi wydobyć od rodziny wszystkie potrzebne informacje, traktując ją z należytych współczuciem, a jednocześnie wypatrując wszelkich szczegółów, które mogą budzić podejrzenia.

Oczywiście Joanne nauczono, że nigdy nie powinna zakładać z góry gotowych scenariuszy. Nie w tym zawodzie. To tylko strata czasu. Takie podejście zaburza właściwy osąd i nie pozwala dostrzec innych rozwiązań.

Joanne wyjmuje notes i patrzy przez chwilę na listę, którą sporządziła wcześniej.



Nie rozumie, dlaczego właściwie podkreśliła imię i nazwisko ojca zaginionej dziewczyny. Guy Riverty. Zapisała je też większymi literami niż pozostałe. Kilka razy nieświadomie pogrubiała „G” podczas rozmowy z rodzicami Lucindy.

Co takiego w nim zauważyła? Nie był wcześniej karany, zachowywał się bardzo poprawnie. Mimo to coś jej w nim nie pasowało. Joanne rozgląda się w zamyśleniu po ośnieżonej dolinie. Może wydał jej się nienaturalny, spięty. Dużo paplał, ale właściwie niczego nie mówił. Przywodził jej na myśl prezentera Richarda Madeleya.

Samo paplanie nie było w tym przypadku niczym dziwnym. Kiedy dochodzi do wypadku, gdy dzieje się coś niepokojącego, ludzie albo milczą, albo nieustannie mówią: nie ma stanów pośrednich. Albo chcą powiedzieć Joanne absolutnie wszystko, od momentu swoich narodzin aż chwili obecnej, albo zamykają się w sobie i milczą jak zakłęci.

Joanne świetnie sobie radziła z milczkami. Szczególni z winnymi. Nie używała żadnych sztuczek. Nie bawiła się w złego i dobrego gliniarza. Nie stosowała techniki „Zaufaj mi”, jak wąż Kaa z *Księgi Dżungli*, który śmiertelnie ją przerażał, gdy była dzieckiem. Nie, Joanne działała metodycznie i skrupulatnie. Zaczynała od samego początku i przesuwiała się krok po kroku do samego końca, aż dostała to, na czym jej zależało. Nie obchodziło jej, czy wychodzi przy tym na nudziarę ani czy irytuje swoich kolegów z pracy. Pracowała tak, bo to był jedyny skuteczny sposób. Jeśli ktoś traktuje śledztwo niefrasobliwie, jeśli jest zbyt pewny siebie, rezultat może być tylko jeden – wychodzi na kompletnego dupka. Przez kilka ostatnich lat Joanne pracowała z durniami różnego asortymentu i przekonała się wielokrotnie, że bez ciężkiej pracy do niczego nie dojdzie.

Policjantka stuka długopisem w kierownicę i myśli o zaginionej dziewczynie.

Lucinda Riverty.

Trzydzieści lat, drobna, niska, z jasnymi włosami przyciętymi na wysokości brody. Lubi szkołę, uczy się grać na pianinie, nie przepada za sportem, raczej trudno ją nazwać towarzyską. Ale nie można też powiedzieć, że jest introwertyczką. Zwykła dziewczyna.

Ale dla swoich rodziców jest kimś niezwykłym. Jest ich dziewczynką, która

przepadła bez śladu.

– Kto ją zabrał? – zastanawia się głośno Joanne.

## ROZDZIAŁ 6

„Zawsze”, mówi Joe.

Ja i Joe razem, zawsze.

Mówił to do mnie, kiedy rodziłam nasze dzieci. Mówi to, gdy wypiję za dużo wina, a potem wymiotuję w toalecie. Albo gdy w pubie siedzi piękna kobieta, a ja nagle tracę humor i sprawdzam, czy na nią patrzy, ale nie, on patrzy na mnie i uśmiecha się, rozbawiony moim brakiem pewności siebie. „Zawsze”, mówi, a ja odzyskuję humor. Znów jestem sobą.

Jeśli coś spieprzę, to nie ma znaczenia. Bo dla Joego wszystko, co robię, jest w porządku.

Nie zrozumcie mnie źle, Joe bywa równie nerwowy, porywczy i irytujący, jak każdy mężczyzna. I miewamy trudne chwile. Ale to tylko chwile. Zna to każda para, która ma dzieci, która musi być coraz lepsza, musi radzić sobie coraz lepiej – lepiej, niż kiedykolwiek przypuszczaliśmy. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu.

W końcu dojeżdżamy do domu Kate, widzę, że stoi przed nim mnóstwo samochodów. Nagle oddech zamiera mi w piersiach.

– O Chryste, Joe, ja nie mogę tam wejść. Zatrzymaj się, dobrze?

Posłusznie zatrzymuje auto i gasi silnik.

Zatrzymaliśmy się jakieś pięćdziesiąt metrów od domu Kate. Wygląda naprawdę olśniewająco. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd. To duży budynek, wzniesiony w całości z kamienia Lakeland. Dziś jest ponury i cichy. Na dziedzińcu stoi choinka, ale światełka się nie palą.

– Co chcesz zrobić? – pyta Joe.

– Wiem, że muszę wejść. Ale wolałabym pojechać do domu i schować się pod kołdrą. Przykryć głowę poduszką i ukryć się. – Odwracam się do niego, łamie mi

się głos. – Nie chcę widzieć, co jej zrobiłam, Joe.

Kiwa ze zrozumieniem głową.

– Ale nie masz wyboru. Gdybyś się tu nie pokazała, byłoby jeszcze gorzej.

– Wiem.

Przez minutę siedzimy w milczeniu. Ja myślę o tym, co powinnam powiedzieć, a Joe daje mi trochę czasu i przestrzeni, bym sobie z tym poradziła. Czuję w ustach paskudny smak zgnilizny. Przełykam, żeby się go pozbyć, ale bezskutecznie. Brakuje mi śliny.

Kiedy Joe wyczuwa, że powoli biorę się w garść, mówi:

– Jak sądzisz, co myślą teraz Kate i Guy? Przypuszczasz, że biorą pod uwagę... najgorsze?

– Co, że nie żyje?

Joe wzdryga się mimowolnie.

– Cóż, taka możliwość istnieje. – Kiwa głową. – Ale miałem na myśli coś podobnego do tego, co spotkało tę dziewczynę, która pojawiła się w Bowness. Pamiętasz? Ta, którą zgwałcono?

Zakrywam twarz dłońmi. Całkiem zapomniałam o tej biednej dziewczynie. Ktoś porzucił ją na ulicy, nie wiedziała nawet, gdzie jest.

Kiedy o niej czytałam, natychmiast pomyślałam o Sally. O tym, jak bywa wstydliva. Do tego stopnia, że kiedy się rozbiera, odwraca się ode mnie. Kiedy jesteśmy razem na zakupach, przymierza ubrania w taki sposób, żebym nie widziała jej stanika. Gdy przeczytałam artykuł o tamtej dziewczynie, natychmiast zobaczyłam oczami wyobraźni Sally. Sally nagą od pasa w górę. Sally, która wchodzi do zatłoczonego biura podróży i prosi o pomoc, umierając w środku po cichu.

– Proszę, nie – jęczę. – Proszę, niech to nie będzie Lucinda. Jest taka młoda.

Joe drapie się pod brodą. Nie golił się dzisiaj jeszcze, zarost zaczyna go kłuć.

– Czy to możliwe, że zrobiła to celowo? – zastanawia się głośno Joe.

– Co masz na myśli?

– Znasz tę dziewczynę lepiej niż ja, Liso. Ja nie zwracam uwagi na koleżanki Sally... Staram się nie wchodzić im w drogę.

Rzucam mu ostre spojrzenie, zaskoczona jego słowami.

– Tak, ale Lucindę akurat znasz całkiem dobrze. To nie jest po prostu jedna z koleżanek Sally, prawda? Przez kilka ostatnich lat często u nas bywała. Jak możesz mówić, że jej nie znasz, skoro...

– Próbuję powiedzieć, że byłoby dziwne, gdybym się nią jakoś wyjątkowo interesował – przerywa mi Joe. – Ty znasz Lucindę. Ty wiesz, co się z nią dzieje. Często widzisz się z Kate. Dużo rozmawiacie o dziewczynkach?

– Bo ja wiem? Chyba tyle, ile zwykle rodzice rozmawiają o swoich dzieciach. Kate nie wspominała, że się o nią martwi, przynajmniej nie pamiętam niczego takiego.

– A Sally nie mówiła, że Lucinda jest nieszczęśliwa? Że ma chłopaka? Albo że Kate ją strasznie wkurza i najchętniej uciekłyby z domu?

– Myślisz, że Kate ją wkurza? – pytam.

– A czy nie jest tak, że wszystkie matki wkurzają swoje nastoletnie córki?

– Pewnie tak, ale... – Przerywam w pół zdania. – Chryste, Joe, nie powinniśmy o tym rozmawiać. Naprawdę nie powinniśmy. Kate szaleje z rozpaczy, a my się zastanawiamy, czy jej córka nie jest rozwydrzoną gówniarą.

– Ale to możliwe – upiera się Joe.

– Tak. Możliwe też, że *nasza* córka uciekłyby z domu, ale naprawdę myślisz, że by to zrobiła?

Nie odpowiada. Spogląda tylko na dom i rozpina pas, dając mi do zrozumienia, żebyśmy już poszli, zanim ktoś nas zauważy.

Zostawiamy taksówkę w zatoczce i idziemy w stronę domu Kate. W zetknięciu z zimnym powietrzem nasze oddechy zamieniają się w białe obłoczki. Wchodzimy właśnie na ścieżkę prowadzącą do drzwi, kiedy z domu wychodzi umundurowany policjant. Niesie pod pachą dwa laptopy, a ja na jego widok martwieję. Czuję się tak, jakbym oglądała wiadomości, wydarzenia z życia kogoś zupełnie mi obcego. Nie Kate. Młody policjant kiwa do nas głową, kiedy przesuwamy się na bok, by go przepuścić. Dopiero wtedy dostrzega Joego.

– Cześć, Joe – mówi.

– Cześć, Rob – odpowiada mój mąż. Ale na tym kończy się ich rozmowa, nie

mówią nic więcej. Nie pytam Joego, skąd go zna, bo jestem już przy drzwiach i czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Czerwone, lśniące drzwi są otwarte na całą szerokość. Nie naciskam dzwonka. Jego przenikliwy głośny dźwięk byłby teraz obrazą dla uszu zgromadzonych wewnątrz ludzi. Pukam więc tylko lekko i wchodzę od razu do środka, choć odkąd znam Kate, nigdy jeszcze tego nie robiłam.

Słyszę szum rozmów, przystaję w korytarzu i zbieram się na odwagę. Joe jest za mną, czuję dotyk jego ręki na ramieniu. „Idź” – mówi mi w ten sposób. „Idź dalej, wszystko będzie dobrze”. Jakoś w to nie wierzę.

Drzwi po prawej – do salonu – są zamknięte. Wszyscy zebrali się w pokoju dla dzieciaków.

Wchodzę. W środku jest mnóstwo ludzi. Początkowo nie widzę twarzy Kate, bo siedzi na sofie. Zasłania ją dwóch rolników z głębi doliny, którzy mówią Guyowi, gdzie zaczną poszukiwania. Wiem jednak, że tam jest, i zamieram w bezruchu. Nie jestem w stanie zrobić następnego kroku.

Siostra Kate, Alexa, stoi jakieś dwa metry dalej. Dostrzega mnie i zaciska zęby. Jest z nią jej mąż, Adam. Przez moment wydaje się, że do mnie podejdzie, wyczuwam jednak, że wcześniej mu tego zabroniono. Zakłopotany odwraca wzrok.

Dwaj rolnicy stojący przed Kate przesuwają się na bok, teraz ją widzę.

Spogląda na mnie i osuwa się na sofę. Jakby ktoś pozbawił ją nagle kości. Zanosz się płaczem, nie może mówić.

Kucam przed nią i ujmuję jej dłonie. Są zimne jak lód.

– Kate, tak mi przykro... – mówię. – Tak mi przykro, że ci to zrobiłam. Że dopuściłam do tego.

Kiwa głową i płacze, bo wie. Wie, że nie jestem złym człowiekiem. Wie, że nie jestem niedbała, zimna ani leniwa.

Wie, że choć nigdy nie będę taką matką jak ona, staram się, jak mogę.

Zamykam jej dłonie w swoich, czuję drżenie, które dociera z głębi jej ciała aż po końce palców. Czuję się tak, jakbym trzymała małego uwięzionego ptaszka, odruchowo chcę opuścić głowę i podnieść jej palce do ust.

Okropnie się bałam, że będzie mnie publicznie oskarżać. Bałam się jej reakcji.

Teraz rozumiem, że sama jest zbyt wystraszona i załamana, by krzyżeć. Nie może nawet usiedzieć prosto.

– Co mogę zrobić, Kate? – pytam. – Powiedz mi, jak mogę ci pomóc? Muszę coś zrobić...

Słyszę kroki za plecami.

– Nie wydaje ci się, że dość już narobiłaś?

To Alexa.

Zamykam na moment oczy, bo wiem, co się za chwilę stanie.

– Alexa... nie... – mówi słabo Kate.

– Co nie? Mam nie mówić tego, co wszyscy myślą?

– Nie pogarszaj sytuacji. – Kate wyjmuje dłonie z mojego uścisku.

– Gorsza nie może być. Co mogłoby się zdarzyć jeszcze gorszego?

W pokoju zapada cisza. Przed momentem wszyscy rozmawiali przyciszonymi głosami, układali plany, umawiali się, teraz wszyscy milczą.

Podnoszę się i odwracam do Alexy. Jest wściekła. Trzyma ręce sztywno wzdłuż tułowia, jakby w obawie, że inaczej rzuci się na mnie. Jej czoło przecina pionowa nabrzmiała żyła.

Nie mam dokąd uciec. Muszę stawić temu czoło. Niemal tego chcę. Potrzebuję jakiejś kary, żeby potem nie zadręczyły mnie wyrzuty sumienia.

Patrzę prosto w stalowe oczy Alexy i mówię najspokojniejszym tonem, na jaki mogę się zdobyć:

– To moja wina. Masz prawo na mnie krzyżeć. Masz prawo mnie obwinać. Zasluguje na twoją złość.

Uderza mnie mocno w twarz.

Cofam się o krok.

– Ty głupia suko! – wrzeszczy. – Myślisz, że jak tu przyjdiesz i powiesz, że to twoja wina, to wszystko będzie w porządku?

– Nie – odpowiadam i podnoszę dłoń do piekącego policzka. – Nie o to mi chodziło.

– Córka Kate zniknęła! Rozumiesz to? Rozumiesz, że swoją niekompetencją

wyrządziłaś krzywdę tej rodzinie?

Płacze.

– Tak, oczywiście, że wiem. Ale nie wiem, co powiedzieć, nie wiem, co robić. Cokolwiek zrobię, nie zmienię tego i...

Guy idzie przez pokój, a ja cofam się odruchowo, przekonana, że on też na mnie napadnie.

Gdzie jest Joe? Rozglądam się po pokoju, ale nigdzie go nie widzę. Potrzebuję go. Gdzie się podział?

– Alexa, wystarczy – mówi Guy stanowczo. – Spójrz na Kate.

Wszyscy odwracamy się do Kate. Widzimy, że przewróciła się na bok, a jej ciałem wstrząsają konwulsje. Ma otwarte oczy, jej usta wykrzywione są w niemym krzyku.

Podchodzę do niej.

– Wynoś się – rozkazuje Alexa. – Wynoś się stąd, do cholery.

Stoję bezradna obok sofy.

– Zadzwońię po karetkę – mówi Guy.

Rozglądam się ponownie dokoła i widzę, że wszyscy na mnie patrzą. Zakrywam twarz dłońmi, bo nie mogę tego dłużej znieść. Nie mogę znieść ich potępienia.

Czuję, że tracę siły, nogi uginają się pode mną. Nagle u mojego boku pojawia się Joe, obejmuje mnie.

– Chodź, kochanie – szepcze mi do ucha. Opieram głowę o jego ramię, szlocham. – Chodź – powtarza.

– Tak, Joe – warczy Alexa. – Zabierz ją stąd.

Joe prowadzi mnie do wyjścia, ale kiedy jesteśmy już przy drzwiach, nie potrafię się powstrzymać, odwracam głowę i raz jeszcze spoglądam na Kate. Wydaje się, że przestała szlochać, ale nadal leży na boku i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Kate – szepczę błagalnie.

Ledwie dostrzegalnie kiwa głową.

– Znajdź ją – mówi bezgłośnie.



## ROZDZIAŁ 7

Siedzimy z powrotem w samochodzie, a ja wrzeszczę na Joego.

– Gdzieś ty był, do cholery?! Jak mogłeś zostawić mnie tam samą?!

Patrzy na mnie w osłupieniu.

– Szukałem Guya – odpowiada krótko. – A jak myślisz, co robiłem? Usunąłem się na bok, żeby mogli się na tobie wyżyć? – Kręci głową. – Skąd mogłem wiedzieć, że Alexa się na ciebie rzuci?

Płaczę gwałtownie, nie mogę złapać tchu.

– Pomyślałem, że powinienem porozmawiać z Guyem – tłumaczy. – Powiedzieć mu, jak strasznie się z tym czujesz, zapewnić, że zrobimy wszystko, co możemy... Nie znalazłem go w kuchni, więc poszedłem porozmawiać z Kevem Bellem. Zbiera ludzi na poszukiwania.

Joe ponownie kręci głową, jakby nie dowierzał, że oskarżam go o podobną podłość.

– Nie za wcześnie na poszukiwania? – pytam. – A jeśli Lucinda się znajdzie?

– A jeśli nie?

– Słyszałeś, co mówiła Alexa?

– Nie wszystko.

Szukam w kieszeniach chusteczki, nie znajduję żadnej, więc muszę się zadowolić szmatką, której Joe używa do wycierania przedniej szyby.

– Powiedziała, że moja niekompetencja zniszczyła tę rodzinę.

– Więc nie przebierała w słowach.

Nie patrzy na mnie. Siedzi zwrócony do przodu.

– Joe...? – jęczę.

– Co? – pyta wciąż zdenerwowany.

Włącza silnik i kładzie rękę na drążku zmiany biegów. Widzę, że dłoń mu drży,

czego nie spodziewałabym się po nim nawet w takich okolicznościach. Kiedy sam to dostrzega, szybko zabiera rękę.

– Liso, oni wszyscy są zdenerwowani – mówi w końcu z westchnieniem. – Zrozpaczeni... To było nieuniknione... muszą znaleźć winnego. Ciebie. Kogokolwiek. Taka już ludzka natura. Czego się spodziewałaś?

Wiem, że ma rację, ale te słowa bolą. Potrzebuję teraz mojego starego Joego, który wspiera mnie bez względu na okoliczności.

Próbuję sobie wyobrazić, co bym zrobiła, gdyby spotkało to mnie. Gdybym znalazła się na miejscu Kate. Czy tak łatwo przyszłoby mi obarczyć winą kogoś innego?

Odwracam się do niego.

– Joe, mówimy o tym tak, jakbym to ja była za to odpowiedzialna, i wiem, że tak jest, ale czy naprawdę uważasz, że winę ponoszę tylko ja? Czy może...

Nie kończę zdania. Atak Alexy tak mną wstrząsnął, że sama nie wiem, co mam myśleć.

Joe zaczyna bawić się ogrzewaniem, przekierowuje strumień ciepłego powietrza z naszych stóp na przednią szybę. Kiedy uświadamia sobie, że rzeczywiście chcę usłyszeć odpowiedź, przestaje. Odwraca się do mnie.

– Szczerze? – pyta. – Chcesz, żebym był z tobą całkowicie szczerzy?

– Tak – odpowiadam stanowczo, choć strach widoczny w moich oczach podpowiada mu, by zachował ostrożność.

– Powinnaś była do nich zadzwonić i powiedzieć, że nie ma u nas Lucindy.

Zaciskam mocno powieki.

– Ale nie uważasz, że Kate powinna sprawdzić? – naciskam. – Nie uważasz, że sama też jest trochę winna, bo przez cały dzień nie interesowała się Lucindą, nie zadzwoniła, nie zapytała, jak sobie daje radę?

Wyraz twarzy Joego się nie zmienia.

– Nie. Przecież myślała, że Lucinda jest u ciebie, więc nie musiała tego robić.

Nie mogę wydobyć głosu z gardła. Bo gdy Joe dzieli się ze mną swoją opinią, przypominam sobie, że Kate jednak pytała o Lucindę. Dziś rano, gdy dzwoniła

w sprawie Sama. „U dziewczynek wszystko dobrze?” – spytała, a ja potwierdziłam.

Twarz Joego łagodnieje, ale robi się smutna.

– Możemy jechać? – pyta, a ja kiwam głową.

Rusza powoli. Po chwili ma skrócić w prawo, w głąb doliny i w stronę naszego domu, ale zapomina wcisnąć sprzęgło. Coś zgrzyta przeraźliwie w skrzyni biegów, samochód skacze do przodu dwa razy i zatrzymuje się przed pocztą.

– Jezu, Joe! – wrzeszczę, wystraszona. – Co się z tobą dzieje?

Do końca podróży oboje milczymy.

Kiedy docieramy już do domu, kładę się na łóżku, przykrywam kołdrą i podciągam kolana pod brodę, kuląc się w pozycji embrionalnej. Właśnie wtedy dopadają mnie naprawdę złe myśli. Ta nowa sytuacja miesza się ze starą nienawiścią do samej siebie. Z innym błędem z przeszłości, poczuciem winy, z którego nie zdążyłam się jeszcze otrząsnąć. Zdarzyło się to cztery lata temu.

„Wszystko jest kwestią perspektywy” – myśli, siedząc przed domem za trzy i pół miliona funtów, z dostępem do jeziora.

Na przykład w Hiszpanii prawo dopuszcza współżycie od trzynastego roku życia. Oczywiście nie chce w ten sposób usprawiedliwiać swoich poczynań. Uważa po prostu za interesujący fakt, że rozwinięte państwo leżące tak blisko Wielkiej Brytanii może mieć diametralnie różne podejście do tej kwestii. Podobnie jak Japonia. U nich również prawo pozwala trzynastolatkom na współżycie. W Anglii ludzie cieszyli się podobną wolnością jakieś dwieście lat temu, kiedy dziewczęta mogły wychodzić za mąż w wieku dwunastu lat.

Nie znaczy to oczywiście, że chciałby ożenić się z dwunastoletnią dziewczyną. Absurd. Mówi tylko, że wtedy mógłby to zrobić, gdyby zechciał, po prostu.

Spogląda na zegarek. Agentka nieruchomości spóźnia się już szóstą minutę. Dlaczego oni wszyscy muszą być tacy nieprofesjonalni? Stuka palcami w kierownicę, a potem, co weszło mu w nawyk, wyciera odciski palców rękawem.

Dla zabicia czasu koncentruje się na odbiciu we wstecznym lusterku i na jego twarzy pojawia się uśmiech. Już od kilku tygodni ćwiczył ten grymas przed lustrem. Jego naturalny uśmiech wydaje się zbyt unizony, odsłania za dużo zębów, więc stara się go poprawić. Robi wszystko, by jego oczy lśniły uwodzicielsko, co tak podoba się kobietom.

Uśmiechnij się do kobiety tak, by zrozumiała, że ją zauważyłeś, a już jest twoja. Żadna filozofia.

Jego umysł mimowolnie wraca do rzeczy, o której nie może przestać myśleć, uśmiecha się szeroko. Wie, że szczerzy zęby jak idiota i że powinien przestać, zanim przyjedzie agentka.

Kto by pomyślał, że to będzie takie łatwe?

Jasne, nie wszystko poszło zgodnie z planem. Ale co z tego? Chyba nawet lepiej. Może powinien być zadowolony, że pojawił się element zaskoczenia, coś

*nieoczekiwanego, co dodaje smaczku.*

*Czy nie dlatego znudzeni finansiści uprawiają sporty ekstremalne? A grubi bankierzy pieprzą się ze zdzirami w schowku na miotły? Oczywiście, że tak.*

*Choć to nie jest sport ekstremalny. Wie o tym. Nie może się zachowywać jak jakiś schizofrenik i udawać, że nie wie, co robi. Bo doskonale wie.*

*Uśmiech znika z jego twarzy, gdy przyznaje się do tego przed sobą. Ponownie patrzy na zegarek i zastanawia się, czy nie dać sobie spokoju. Była wystraszona. Nawet kiedy ją odurzył, okropnie się bała.*

*Wcześniej miał nadzieję, że może się do tego przekona.*

*Bo przecież mogło się tak zdarzyć, prawda?*

*Jednak nie. Nie zdarzyło się. Więc może lepiej to zostawić, poszukać czegoś innego.*

*Nagle przychodzi mu do głowy pewna myśl.*

*A jeśli następnej się to spodoba? Jeśli czekała na coś takiego? Na kogoś takiego jak on. To może się zdarzyć. To prawdopodobne.*

*Obok zatrzymuje się srebrne bmw z3. Wysiada z niego czterdziestokilkuletnia kobieta o zmęczonej twarzy i podchodzi do niego.*

*Niesie stertę papierów, które trzyma przed sobą, próbując ukryć fakt, że jej brzydki brzuch rozpycha spódnicę.*

*On otwiera drzwi samochodu, patrzy jej prosto w oczy i uśmiecha się. Odwraca wzrok, próbuje się pozbierać.*

*– Przepraszam, że kazałam panu czekać, panie...*

*– Nic nie szkodzi. – Wzrusza ramionami, pokazując, że nic się nie stało, i wyciąga do niej rękę. – Proszę mówić do mnie Charles – dodaje, próbując zająć się ponownie czarowaniem tej nieudolnej kobiety.*

*Ale nie jest to łatwe.*

*Nie jest, bo wciąż myśli o dziewczynach: Jasne, to możliwe, że następna zachowa się zupełnie inaczej.*

*Przecież wszystko jest możliwe, prawda?*

## ROZDZIAŁ 8

Cztery lata temu Kate zaprosiła nas na uroczystą kolację, co nie zdarzyło się nigdy przedtem ani nigdy potem. Miało nas być sześcioro – Kate i Guy, Alexa i Adam, ja i Joe. Kate niedawno posłała dzieci do szkoły i choć znałyśmy się już od jakiegoś czasu, postanowiła zrobić to, co zwykle robią ludzie jej pokroju – poszerzyć krąg znajomych o rodziców nowych przyjaciół swoich dzieci.

Chciałam pójść, by zobaczyć coś nowego, innego od moich dotychczasowych doświadczeń. Nikt z moich znajomych nie wydawał uroczystych kolacji. Z pewnością nie robili tego rodzice innych dzieci z naszej szkoły, którzy – zapewne tak jak ja i Joe – nie mogli znieść myśli, że w piątkowy wieczór, po całym tygodniu pracy, będą musieli wysprzątać cały dom i do tego jeszcze coś ugotować. A może wydawali po kryjomu przyjęcia, tylko nas nie zapraszali. Tak czy inaczej, nigdy nie uczestniczyłam w czymś takim, więc byłam podekscytowana i zdenerwowana zarazem.

W towarzystwie Kate czułam się już swobodnie, Guya znałam z widzenia, bo mijaliśmy się czasem w szkole i w wiosce. Ale Alexy się bałam. Powiedziałam o tym Joemu, kiedy stanęliśmy pod domem Kate, a on zamiast mnie uspokoić i dodać otuchy, jak to miał w zwyczaju, spojrzał na mnie z miną cierpiętnika i spytał:

– Co my tu robimy, kochanie?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Guy otworzył drzwi. W wolnej ręce trzymał butelkę wina. Gdy go zobaczyłam, natychmiast zeszło ze mnie powietrze, opuściłam ramiona i pochyliłam się do przodu, przyjmując obronną postawę.

Przywitał nas żywiołowo, niemal krzycząc:

– Witajcie, Kallisto! Wchodźcie, wchodźcie!

Uśmiechał się do nas serdecznie, zręcznie maskując reakcję na naszą pierwszą gafę: eleganckie ubrania.

Joe założył swój jedyny garnitur, tani czarny burton, który nosił tylko wtedy, gdy musiał zawieźć kogoś na pogrzeb. Do tego dołożył nową białą koszulę i krawat w groszki. Wyglądał wspaniale – jak zawsze w białej koszuli, która kontrastuje z jego ciemną cerą – ale Guy miał na sobie wytarte dżinsy i sweter.

Ja specjalnie na tę okazję kupiłam w sklepie Next sukienkę bez ramiączek i nad kolana, z lśniącego czerwonego materiału zdobionego wielkimi czarnymi różami. W dodatku, jakby tego było mało, zafundowałam sobie opalanie natryskowe.

Bałam się zobaczyć, w co ubrane są pozostałe kobiety.

Spojrzałam z przerażeniem na mojego męża, gdy Guy zaprosił nas gestem do środka. Joe powiedział:

– No tak, jesteśmy – po czym delikatnie dotknął mojego ramienia, zachęcając mnie, bym weszła do domu.

Byłam niczym mój dziadek – wtedy już nie żył, ale przez ostatnie dziesięć lat życia cierpiał na chorobę Parkinsona. Zawsze, gdy musiał przejść przez drzwi, zamierał. Górna część jego ciała pochylała się do przodu, gotowa do czynu, ale dolna trwała w bezruchu, jakby ktoś przykleił mu buty do podłogi. Dawał się ruszyć tylko wtedy, gdy prowadziliśmy go marszowym krokiem w rytm pieśni *Naprzód, żołnierze Chrystusa*.

Ja także zaczęłam nucić tę pieśń i stwierdziłam ze zdumieniem, że naprawdę pomaga.

Kate i Guy niedawno się wprowadzili, więc w powietrzu wciąż unosił się zapach świeżego drewna. Położyli w całym domu dębowy parkiet, a ja nie wiedziałam, czy w związku z tym mam zdjąć buty – pomyślałam, że jeśli uszkodzę tanimi szpilkami podłogę o wartości osiemdziesięciu funtów za metr kwadratowy, będzie to prawdziwa katastrofa. Ale Guy nic o tym nie mówił, więc postanowiłam ich nie zdejmować. Staralam się chodzić tylko na palcach.

Z kuchni dobiegała muzyka, kojący śpiew jakiejś nieznannej mi piosenkarki jazzowej. Kiedy tam weszłam, Kate i Alexa stały przy kuchence, próbowały jedzenia i mieszały coś. Obie miały na sobie ubrania z jasnego lnu, obie też nosiły minimalny makijaż i luźno spięte włosy, jakby występowały w reklamie kosmetyków Nivea czy

Neutrogena. Czułam się jak kompletna idiotka, kiedy się do nas odwróciły. Ich szerokie uśmiechy nie pasowały do zaniepokojonych spojrzeń, którymi zmierzyły mnie i Joego. Potem niemal jednocześnie wykrzyknęły:

– Lisa, wyglądasz... fantastycznie! Cudowna sukienka, skąd ją masz?... Joe, miło cię widzieć.

Zakłopotana wymamrotałam coś w odpowiedzi, podając Kate butelki wina, które przynieśliśmy ze sobą. Potem szybko przyciągnęłam sobie stołek spod blatu, próbując się choć trochę ukryć.

Joe przywitał się szybko, pocałował obie panie w policzek i wypowiedział obowiązkowe:

– Świetnie wam idzie remont.

Kate westchnęła ciężko i odpowiedziała:

– Cóż, pomału zbliżamy się do końca – jakby nie odnawiali domu, tylko budowali szkołę w Namibii i nie mogli znaleźć źródła pitnej wody.

– Otworzę drugą butelkę – powiedziała gospodyni, przechodząc przez kuchnię. Po drodze odwróciła się i dodała: – Joe, idź do chłopaków, pozwól dziewczynom poplotkować. Adam przyniósł absurdalnie duży wybór butelkowanych piw, których musicie spróbować.

Alexa odwróciła się do nas plecami i ponownie spróbowała czegoś, co gotowało się w garnku na kuchence.

– Kate – zaczęła krytycznym tonem. – Cebula jeszcze nie zmiękła, nie możesz podać takiego tadżinu, będzie okropny.

Kate, która stanęła właśnie przy lodówce, nie zareagowała.

– Powinnaś to robić tak jak ja – mówiła dalej Alexa. – Rozmiękczam naraz mnóstwo cebul, czasem też szalotek. Potem dzielę wszystko na porcje, mrozę i używam, kiedy potrzebuję. Dzięki temu oszczędzam mnóstwo czasu.

– Zapamiętam – odpowiedziała Kate, uśmiechając się z przymusem.

– Tak samo robię z paprykami i bakłazanami – dodała Alexa. – Mrozą się lepiej, niż mogłabyś przypuszczać.

– Zjem wszystko, co mi podacie – powiedziałam cicho do Kate. – Umieram



z głodu. Nie miałam w ustach nic od śniadania.

Miałam w pracy urwanie głowy. W piątki zawsze jest najwięcej adopcji. Potem musiałam pojechać prosto do Ambleside, żeby zabrać mamę Joego, która opiekowała się teraz dziećmi. Joe był jeszcze w pracy, więc nie mógł tego sam zrobić. Później musiałam jeszcze wszystkich nakarmić, bo choć mama Joego świetnie sobie radzi, nie chce używać naszej kuchenki – mówi, że jej nie zna – a łatwiej przymknąć na to oko, niż stwarzać problemy.

– Boże... – powiedziała Alexa, zostawiając tadzin i siadając obok mnie. – Pracujesz jak mrówka. Ciągłe w schronisku, tak?

Skinęłam głowę. Pociągnęłam duży łyk wina, które postawiła przede mną Kate.

– Cudownie – zwróciłam się do niej. – Właśnie tego mi było trzeba.

Alexa napiła się wina.

– Ja też pracuję, w galerii na rogu, naprzeciwko kina – powiedziała. Ponownie skinęłam głowę. – Z czegoś trzeba płacić chesne! – dodała żartobliwym tonem.

Uznałam to za bzdurę, bo wszyscy wiedzieli, że to teściowa Alexy płaci za szkołę jej dzieci – sama wszystkim o tym mówiła. Dorothy Willard, matka Adama, była jedną z tych hałaśliwych, irytujących kobiet, które kilka razy w tygodniu pracują na ochotnika w sklepie z używanymi rzeczami wspomagającym biednych, i uwielbiała opowiadać na prawo i lewo o swoich utalentowanych wnuczkach. O tym, jak po prostu *rozkwitły* w świetnej szkole, za którą płaciła ona i jej mąż.

– Cóż, czego się nie robi dla wnuków – mówiła, gdy kładłam na stole prawie nieużywany płaszcz zimowy albo stertę romansów, które lubiła czytać moja mama. Odpowiadałam wtedy z uśmiechem:

– Na pewno jest pani z nich bardzo dumna.

Krzywiła się wtedy z fałszywą skromnością i mówiła:

– Cóż, pewnie nie powinnam się chwalić, ale...

Myślę, że Alexa pracowała dla zabicia czasu albo po prostu, żeby wyjść z domu, ale wstydziała się przyznać do tego ludziom mojego pokroju – ludziom, którzy musieli pracować, żeby mieć co jeść i tak dalej. Nie miałam jej tego za złe. To nie miałyby sensu. W Krainie Jezior zawsze mieszkały dwa rodzaje kobiet – te, które nigdy nie

pracują, i te, które nigdy nie przestają.

– Jak często pracujesz w galerii? – spytałam, bo nie miałam pojęcia, o czym jeszcze mogłabym z nią rozmawiać.

– Och, dwa–trzy dni w tygodniu. Staram się to pogodzić ze studiami.

– Ze studiami?

– Tak, robię studia magisterskie na kulturoznawstwie.

– To chyba dosyć... trudne.

– Tak. Zajmuje znacznie więcej czasu, niż przypuszczałam. Adam ciągle narzeka, że *znów* musi się mną dzielić ze światem nauki.

Zauważyłam, że Kate nie komentuje studiów swojej siostry, a ponieważ wydawało mi się, że znam przyczynę, nie ciągnęłam tego tematu.

Alexa nie tylko wykonywała bzdurną, bezsensowną pracę, ale na dodatek uwielbiała studiować. Nie wiem, czego uczy się na kulturoznawstwie, ale domyślałam się, dlaczego to robiła. Żeby maluczcy, tacy jak ja, myśleli: „Kurczę, jesteś nie tylko nieprawdopodobnie ładna, ale i naprawdę mądra! Jak to możliwe?”

Nie jest jedyną atrakcyjną kobietą z tego rodzaju ułomnością, które miałam okazję poznać. Zawsze chcę im powiedzieć: „Przestańcie. Proszę, przestańcie. Macie już to, czego chcemy wszystkie. Macie urodę i pieniądze, a wszystkie drzwi swoją przed wami otworem. Wystarczy”.

– Będiesz potem robić doktorat, Lex? – spytała Kate.

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. – Boże, nawet nie chcę o tym myśleć. Dwóch doktorów w jednym domu!

Jakby na zawołanie do kuchni weszli mężczyźni z piwem w dłoniach. Szukali czegoś do jedzenia.

Mąż Alexy, doktor Adam Willard, był ubrany swobodnie, podobnie jak Guy. Kiedy pojawił się w kuchni, *znów* się zawstydziałam.

– Liso, poznałaś już Adama? – spytała Kate. – Nie? Och, Liso, to jest Adam. Adamie, to jest Lisa.

Skinęłam uprzejmie głową, a on uśmiechnął się do mnie. Wydawał się miły. Nie był może przystojny, ale jego twarz miała w sobie pociągającą łagodność.

– Cześć – powiedział. – Miło cię poznać. To ty pracujesz w schronisku dla zwierząt, tak?

– Zgadza się.

– To chyba ciężka praca. Masz pewnie do czynienia z bardzo różnymi ludźmi.

Miałam już opowiedzieć mu kilka anegdot, ale zanim zdążyłam otworzyć usta, ubiegła mnie Alexa:

– O tak, ludzie są naprawdę okropni. Nie uwierzylibyście, o jakie bzdury pytają w galerii. I dlaczego wszystkim się wydaje, że mogą dostać rabat? To przez te programy, w których namawiają, żeby się targować. Dawno już minęły czasy, gdy gotowi byli zapłacić uczciwą cenę.

Adam kompletnie ją zignorował. Wciąż patrzył na mnie.

– Co jest największym problemem w takim miejscu? – spytał.

– Pieniądze – odparłam. – A właściwie ich brak. Opłaty za leczenie często przekraczają nawet dwadzieścia tysięcy funtów rocznie, do tego dochodzi jedzenie i...

– A skąd bierzecie pieniądze? – spytała Alexa.

– Głównie z datków. Niektóre miłe, bogate staruszki zostawiają nam swój majątek. Resztę zbieramy sami, dostajemy też trochę pieniędzy od miejscowej organizacji charytatywnej, która płaci nam, kiedy mamy przejąć jakieś zwierzaki z innego schroniska.

Joe przysłuchiwał się z uśmiechem. Widziałam, że jest ze mnie dumny. Nie zrobił tego, co mógłby moim zdaniem zrobić, czyli zdjąć marynarkę oraz krawat i rozpiąć górny guzik koszuli. Był ubrany tak samo jak w chwili, gdy tu przyszliśmy. Spojrzałam na niego z czułością, a on uśmiechnął się nieśmiało, co oznaczało, że wypił już co najmniej trzy piwa i próbuje to ukryć. Robi to, gdy nie czuje się swobodnie. A właściwie zawsze, gdy ktoś postawi przed nim piwo. Jest jak dziecko, które nie potrafi odmówić.

Jakąś godzinę później, gdy zjedliśmy już tadżin z niedogotowaną cebulą, a wino rozwiązało nam języki na tyle, że mogliśmy swobodnie rozmawiać, zniknęło w końcu początkowe skrępowanie.

Opisywałam właśnie fabułę serialu BBC, który oglądałam od jakiegoś czasu, i mówiłam: „I to właśnie dzięki temu, że ci dwaj detektywi ciągle sobie dokuczają, ten film jest taki życiowy...”, gdy Alexa odchrząknęła i zupełnie zbiła mnie z tropu, mówiąc:

– Właściwie my nie oglądamy telewizji, Liso. Większość z nas woli czytać, prawda?

Poczułam, jak energia wypełniająca pokój nagle się zmienia.

Nikt nie próbował sprzeciwić się Alexie. Ja oczywiście poczułam się jak głupia prostaczka, a kiedy rozejrzałam się dokoła, wszyscy unikali mojego spojrzenia. Nie wiedziałam, czy robią to dlatego, że już od jakiegoś czasu robiłam z siebie idiotkę, ale wszyscy byli zbyt uprzejmi, by mi to powiedzieć, czy też czuli się zakłopotani komentarzem Alexy.

Spojrzałam na Joego, ale zrozumiałam od razu, że nie mogę na niego liczyć. Miał tę rozluźnioną, diaboliczną minę, która oznaczała, że jest już kompletnie pijany i że za moment albo zaśnie albo zacznie śpiewać. Spojrzałam na zegarek, była dopiero dziewiąta trzydzieści. Wiedziałam już, że na pewno nie dotrwa do końca wieczoru.

Kate rozładowała nieco atmosferę, podając lody z owocami i bitą śmietaną, które wszyscy szczerze wychwalali. Otworzono następną butelkę wina, a Guy zagonił dzieciaki, które oglądały telewizję w swoim pokoju (więc one jednak nie wołały czytać) do sypialni na górę.

Potem było już coraz gorzej.

Alexa, wyczuwając być może, że zepsuła wcześniej atmosferę, próbowała teraz ożywić rozmowę najnowszymi plotkami. Pochyliła się nad stołem i zaczęła nam opowiadać o znanej im wszystkim parze, która miała kłopoty małżeńskie.

– Oczywiście Tammy do niczego się przyznaje, ale wszyscy wiedzą, że spotyka się potajemnie z innym mężczyzną. Widziałam, jak kupowała nową bieliznę... a to znaczy, że coś jest na rzeczy. Szczególnie że należy do kobiet, które nie używają nawet tuszu do rzęs. Mówiłam Pippie, że mogę się założyć...

– Nie wiesz, czy to prawda – wtrąciła nieoczekiwanie Kate z kamienną twarzą.

– Wszyscy wiedzą, Katy...

– Nie wiesz na pewno, czy ma romans – powtórzyła Kate. Alexa przewróciła oczami, jakby chciała jej powiedzieć, by nie była taka naiwna, na co jej siostra zareagowała krzykiem: – Pomyśl o dzieciach! Nie rozpuszczaj paskudnych plotek, skoro nie masz żadnych dowodów. Pomyśl o dzieciach Tammy.

Przy stole znów zapadła niezręczna cisza. Wszyscy byli zaskoczeni reakcją Kate i tonem jej głosu, jakże do niej niepodobnym. Nigdy dotąd nie słyszałam, by zareagowała tak gwałtownie.

Alexa spojrzała na siostrę z urazą.

– Niby co mam myśleć o dzieciach? Jeśli Tammy i David nie są ze sobą szczęśliwi, to na pewno nie powinni zostać razem tylko ze względu na dzieci.

Kate odstawiła kieliszek.

– Jak możesz tak mówić?

– Bo to prawda.

– Nie, to nie jest prawda! Wszyscy mówią, że to nic złego, że trzeba odejść, kiedy ma się na to ochotę. Mówią: „Dzieciom nic nie będzie!”, „Lepiej, żeby się wychowywały w rozwiedzionym małżeństwie niż w nieszczęśliwym domu”. Powinnaś wiedzieć, że wcale tak nie jest. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć to najlepiej.

Alexa westchnęła, jakby okropnie nudziła ją ta rozmowa.

– Nie zaczynajmy znowu...

Guy, który wszedł właśnie do pokoju, odchrząknął głośno.

– Drogie panie...

– Zamknij się, Guy – warknęła Kate.

Opuściłam głowę i rozejrzałam się ukradkiem dokoła. Joe otwarcie się uśmiechał – uwielbia, kiedy ludzie są pijani i zaczynają się kłócić, szczególnie w rodzinie. Mąż Alexy, Adam, udawał, że nic się nie dzieje i dojadł resztki lodów.

– Skoro dwoje ludzi chce mieć romans, to dlaczego mielibyśmy im przeszkadzać? – kontynuowała Alexa. – Chryste, Kate, życie jest cholernie krótkie, a miłość to towar deficytowy. Ludzie pragną korzystać, gdy tylko nadarzy się okazja. Skoro Tammy chce, żeby jej życie było trochę bardziej romantyczne, to pozwól jej na to i nie bądź

taka cholernie świętoszkowata. – Po krótkiej pauzie dodała: – Tracisz na urodzie, kiedy się wściekasz, Kate. Naprawdę nie służy ci to.

Kate, dziwnie rozedrgana, odpowiedziała cicho:

– Dlaczego udajesz, że nie pamiętasz przeszłości? Po prostu nie mogę uwierzyć...

– Takie jest życie, Kate. Pogódź się z tym.

Podniosłam się z sofy, pytając:

– Czy ktoś chce coś z kuchni?

Alexa skarciła mnie spojrzeniem.

– Siadaj, Liso – rzuciła krótko, po czym odwróciła się ponownie do Kate. – Nie my jedno miałyśmy rozwiedzionych rodziców. Nie możesz nienawidzić wszystkich, którzy narażają na to swoje dzieci.

– To nieprawda, że ich nienawidzę – odparła Kate. – Nienawidzę ich zachowania, tego kompletnego braku poczucia winy. Sprowadzają do domu obce osoby i udają, że nic się nie stało, choć wszyscy wiedzą, że jest inaczej. Nie pamiętasz, jak to przeżywałyśmy? Jak się czułaś, gdy jako trzynastolatka wychodziłaś z łazienki, a w korytarzu stał obcy mężczyzna? To było koszarne, Alexo, dobrze o tym wiesz. Jeśli chcesz udawać, że było inaczej, proszę bardzo, twój wybór. Ale ja tak nie potrafię.

Kate chlipnęła cicho, wstała i wyszła z pokoju.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. W końcu po minucie Adam spojrzał na Alexę i spytał:

– Naprawdę musiałaś?

Alexa rzuciła w niego swoim winem.

– Odpierdol się, ty żałosny typie! – krzyknęła i również wybiegła z pokoju.

Mężczyźni westchnęli unisono i rozsiedli się wygodniej. Nie wiedziałam, co robić.

– Powinnam po nie pójść? – spytałam. – Sprawdzić, czy wszystko w porządku?

– Jeśli chcesz zachować wszystkie zęby, nie rób tego – odpowiedział Guy. Napełnił ponownie kieliszki. – Z doświadczenia wiem, że najlepiej dać im trochę czasu i pozwolić, żeby same sobie poradziły. Jeśli tam teraz pójdziesz, pogorszysz sytuację. Uwierz mi, Liso, znalazłabyś się między młotem i kowadłem.

– To siostry, Liso – wtrącił Joe bełkotliwie. – Nie rozumiesz tego jako jedynaczka.

Miał rację. Nie rozumiałam. Ale mimo wszystko poczułam się dotknięta tym komentarzem, może dlatego, że byłam pijana, nie myślałam racjonalnie. Poza tym człowiek chyba zawsze czuje się trochę dotknięty, kiedy ktoś mówi mu, że nie jest w stanie czegoś zrozumieć, bo tego nie doświadczył.

– Jasne, ty za to doskonale rozumiesz, Joe – odparłam sarkastycznie.

Joe utrzymywał dobre stosunki ze swoją siostrą, głównie dlatego, że właściwie nigdy się nie widywali. Wzruszył ramionami, zaczerwieniony od nadmiaru alkoholu, po czym zmrużył oczy i patrząc na mnie, powiedział:

– Może gdyby twój ojciec nie spieprzył wtedy, gdy...

– Joe! – syknęłam i zgromiłam go spojrzeniem. Nie rozmawialiśmy o tym. Nigdy nie poruszaliśmy tego tematu przy innych ludziach. Szczególnie przy ludziach tego pokroju. Lecz Joe wkroczył już na terytorium, które nazywałam Nieprzyjemnym Uchlaniem. I choć generalnie upijał się na wesoło, po ósmym piwie robił się kłótniwy i nieprzyjazny.

Czułam się nieswojo. Sytuacja diametralnie się zmieniła. Byłam teraz jedyną kobietą w pokoju, siedziałam w towarzystwie mojego pijanego męża – taksówkarza – oraz wygadanego, bogatego dewelopera i specjalisty dermatologa. To wszystko wydawało mi się niewłaściwe i krępujące. Gdyby Adam nie uśmiechnął się do mnie pocieszająco, jakby chciał powiedzieć „Nie denerwuj się”, chyba bym wtedy wyszła.

I powinnam była to zrobić. Powinnam była pójść do Kate i Alexy, sprawdzić, czy dobrze się czują. Z perspektywy czasu właśnie takie zachowanie wydaje mi się najwłaściwsze. Ale nie zrobiłam tego. Zostałam na dole i piłam dalej. Kiedy Alexa wróciła na dół jakieś czterdzieści pięć minut później, wszyscy właściwie zapomnieliśmy już o niej i Kate. Joe zasnął (wiedziałam, że tak będzie) na ładnym prążkowanym fotelu, a ja nieco za bardzo spoufaliłam się z pozostałymi mężczyznami.

Zrzuciłam buty i tańczyłam do muzyki z MTV, trzymając w dłoni kieliszek z winem. Wszyscy troje śmialiśmy się głośno i krzyczeliśmy. Alexa stanęła w drzwiach i powiedziała:

– Wylewasz się z tej sukienki, Liso. Powinnaś usiąść.

A ja, głupia, zaczęłam się z niej śmiać. Było to naprawdę nierozsądne, bo Alexa się wściekła. Całkiem zrozumiałe, wtedy jednak ogromnie rozbawił mnie fakt, że beszta mnie jak małą dziewczynkę.

Gromiąc mnie wzrokiem, krzyknęła:

– Wyglądasz jak pierdolona zdzira, Liso! Siadaj!

Znieruchomiałam.

Potem odwróciła się do swojego męża.

– Wychodzimy. Weź z góry płaszcz i zadzwon po taksówkę. Kate czuje się już dobrze, miło, że zapytaliście.

Guy ruszył w jej stronę, rozkładając szeroko ręce.

– Och, nie bądź taka, Alexo – zagrmiał. – Bawimy się tylko.

Próbował ją uściskać, lecz Alexa odepchnęła go i ruszyła energicznym krokiem po swoją torebkę.

Wycofałam się do drzwi, mówiąc:

– Przepraszam, muszę iść do toalety.

Skierowałam się w stronę schodów, by ukryć się do czasu, aż Alexa wyjdzie. Czułam się niczym nastolatka na domówce w chwili, gdy wrócili rodzice i zapalili światło.

Kilka sekund później weszłam do łazienki, zamknęłam drzwi i usiadłam na podłodze obok wanny.

Było to naprawdę piękne pomieszczenie, pełne modnych chromów, marmurów i lusterek. Rozejrzałam się dokoła, zachwycona. Zastanawiałam się, czy stać mnie chociaż na mydło, którego tu używają, nie wspominając o grubych ręcznikach ułożonych starannie na wpuszczonych w ścianę półkach. Myślałam właśnie o tym, co gotowa byłabym zrobić dla takiej łazienki, gdy powoli obróciła się gałka w drzwiach.

Adam wsunął głowę do środka i spytał:

– Mogę wejść?

Otworzyłam szeroko oczy.

– Nie – syknęłam, poprawiając odruchowo sukienkę. – Oczywiście, że nie.



– Proszę – nalegał. – Chciałem tylko zamienić z tobą kilka słów. To nie potrwa długo.

– Dobrze, ale pospiesz się. Twoja żona czeka.

– Guy udobruchał ją kieliszkiem wina.

Wsunął się do środka i zamknął drzwi. Nie wiedziałam, czy powinnam wstać, ale prawdę mówiąc, byłam pijana jak bela. Bałam się, że nie zdołam utrzymać się na nogach.

– O co chodzi? – spytałam tylko.

– Nienawidzę jej – odpowiedział beznamiętnie, a ja nie mogłam się powstrzymać i wybuchnęłam śmiechem. Musiałam zakryć usta dłonią, żeby się powstrzymać.

– To nie jest zabawne – powiedział. – Naprawdę jej nienawidzę.

– Trochę jest – stwierdziłam, wciąż się śmiejąc. Potem dodałam: – Przepraszam, przepraszam, zaraz przestanę.

Przyklęknął i pochylił się nade mną. Jego twarz była zbyt blisko, rozmywała mi się w oczach. Poruszałam głową w przód i w tył, próbując wyostrzyć obraz.

– Przepraszam – powtórzyłam, a on bez ostrzeżenia pocałował mnie w usta.

– Przestań – rozkazałam, przerażona. – Nie możesz tego robić.

– Pozwól mi... proszę.

– Mam męża.

– A ja żonę.

– Tak, ale...

Pocałował mnie jeszcze mocniej, gwałtowniej, a ja byłam zbyt zszokowana, by go powstrzymać. Nie oddawałam pocałunku, ale i nie odpychałam Adama od siebie. Czułam się dziwnie odrętwiała. Odrętwiała i zmieszana. Miałam wrażenie, że oglądam tę scenę z boku, z drugiego rogu łazienki. Jakbym nie brała w tym udziału.

Potem przestał i spojrzał na mnie.

– Jestem naprawdę bardzo, bardzo pijana – bąknęłam bezradnie, a on położył mi palec na ustach.

– Jesteś piękna.

Chciałam powiedzieć: „Nie, nie jestem piękna, jestem tandetna”. Ale nie

odezwała się. Podobał mi się jego komplement, choć wiedziałam, że wcale tak nie myśli.

– Co z twoją żoną? – spytałam w końcu, a on pokręcił głową, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że to przegrana sprawa.

– Widziałaś ją, przekonałaś się, jaka jest podła – powiedział. – Zaatakowała cię, bo nie mogła znieść myśli, że to nie ona jest w centrum zainteresowania.

– Zaatakowała mnie, bo uważa, że jestem głupia. I ma rację. Jestem głupia w porównaniu z ludźmi takimi jak ona.

Pocałował mnie ponownie, szepcząc:

– Daleko jej do ciebie.

I wtedy stało się to, czego wstydzę się najbardziej. To, czego najbardziej nienawidzę. Nienawidzę siebie z tamtej chwili.

Pozwoliłam mu.

Pozwoliłam mu się całować. Pozwoliłam mu podnieść moją sukienkę i ściągnąć majtki aż do kostek. Mogłabym skłamać i powiedzieć, że wszystko dlatego, że przez jego żonę czułam się bezwartościowym śmieciem i nienawidziłam jej za to. Owszem, rzeczywiście tak się czułam, ale nie był to jedyny powód. Tak naprawdę chodziło o to, że wcześniej patrzyłam na Joego, który leżał upity do nieprzytomności w kącie, i patrzyłam na Adama i Guya, elokwentnych i czarujących, i nie mogłam uwierzyć, że Adam mógł mnie pragnąć. Pragnąć i ryzykować, że ktoś go przyłapie. Był inteligentny, zabawny i przystojny, a do tego miał mnóstwo pieniędzy. Był wszystkim, czym ja nigdy nie mogłam być. Wszystkim, czego nigdy nie mogłam mieć.

Zanim zrozumiałam, co się dzieje, był już we mnie, poruszał się miarowo i jęczał. Było to wyuzdane, ekscytujące i rozpaczliwe zarazem.

Gdy otworzyłam oczy, przejęta słodkim bólem, zobaczyłam twarz wysuniętą zza drzwi, patrzącą na mnie. Na nas.

Potem zniknęła.

## ROZDZIAŁ 9

Dochodzi jedenasta rano. Zadzwoiłam do schroniska i uprzedziłam, że nie przyjadę do pracy w... właściwie nie powiedziałam nic konkretnego. Tak czy inaczej, drzwi mojego biura będą dziś zamknięte, nie przeprowadzę żadnej adopcji.

Muszę też skończyć rozpoczęte adopcje. Najpierw odwiedzam domy nowych właścicieli, by sprawdzić, czy nie wysyłamy naszych psów i kotów w jakieś okropne miejsce. Obowiązuje zasada, że jeśli kiedyś już przywiozłeś do nas więcej niż jedno zwierzę, nie możesz wziąć następnego. Nie obchodzi mnie, czy zmieniły się twoje warunki życiowe, nie obchodzi mnie, czy teraz masz więcej czasu ani czy żałujesz, że oddałeś poprzedniego zwierzaka. Masz dwie szanse i na tym koniec.

Joe stawia filiżankę z herbatą na nocnym stoliku i całuje mnie w czubek głowy. Siadam prosto i podnoszę filiżankę do ust, ale tak bardzo trzęsą mi się ręce, że nie mogę upić nawet łyka.

Joe odebrał przed chwilą telefon z policji. Wkrótce ma do nas przyjść jakiś detektyw, żeby porozmawiać o wszystkim, co wiemy w tej sprawie. Protestuję. Mówię, że nic nie wiemy i że byłby z nas większy pożytek, gdybyśmy się zajęli szukaniem Lucindy.

Ale Joe głaszcząc mnie po twarzy i mówi:

– Muszą z nami porozmawiać. Nie martw się, damy radę.

Jak zawsze wie, co kryje się za moimi słowami. Wie, co naprawdę chciałam powiedzieć: „Nie przepytujcie mnie i nie obwiniajcie mnie. Nie wińcie mnie”.

– Chodź na dół – mówi mój mąż. – Chyba nie chcesz rozmawiać z nimi, leżąc w łóżku.

Schodzimy na dół i w tym momencie dzwoni dzwonek u drzwi.

Joe otwiera szybko, a ja słyszę kobiecego głosu:

– Pan Kallisto? Dzień dobry, jestem detektyw Aspinall.

Joe mamrocze coś w odpowiedzi, a kilka sekund później policjantka siedzi w mojej kuchni. Nasze psy natychmiast zaczynają krążyć wokół jej nóg, obwąchiwać ją i łaścić się. Przepraszam i chcę je odgonić, ale Aspinall uspokaja mnie:

– Nic nie szkodzi, lubię psy.

Joe mówi, że właśnie zagotowała się woda, i pyta, czy ma ochotę na herbatę. Owszem, chętnie, mocną, słodzi półtorej łyżeczki cukru.

– Jak się pani czuje? – pyta, bo czyta z mojej twarzy, że nie jest ze mną dobrze. Czasami nawet nie zdaję sobie sprawy, że płaczę. – Podobno państwo Riverty myśleli, że ich córka została tutaj na noc, zgadza się?

Kiwam ze smutkiem głową i siadam przy stole, prosząc gestem, by zrobiła to samo. Na blacie sosnowego stołu wciąż widnieją ślady porannego bałaganu. Kryształki cukru, kółka wilgoci pozostawione przez filiżanki i kubki. Kładę łokieć na czymś lepkiem, potem szybko go przesuwam.

– To moja wina – mówię, ale ona milczy. Nie dodaje: „To mogło przydarzyć się każdemu” albo „Jest pani dla siebie zbyt surowa”. Żadnego z pocieszających frazesów, które ja z pewnością powiedziałabym w takiej sytuacji.

Ubrana w czarną kurtkę i buty na płaskim obcasie, wydaje się przysadzista, dopiero gdy ściąga kurtkę, widzę, że to wydatny biust nadaje jej taki wygląd. Ma ciemne włosy, które nosi ściągnięte w kucyk. Kilka kosmyków wyswobodziło się z gumki i okala teraz jej twarz. Przypuszczam, że jest mniej więcej w moim wieku, ma jakieś trzydzieści siedem lat. Nie nosi obrączki.

Joe podaje jej herbatę.

– Mam zostać? – pyta. – Czy chce pani przesłuchać nas oddzielnie?

Nie mieliśmy dotąd do czynienia z policją, więc Joe trochę panikuje.

– Proszę zostać – mówi łagodnie Aspinall. Wyjmuje notes, przewraca kartki.

– Kate nie czuje się najlepiej – mówię jej.

– To zrozumiałe.

– Musieli wezwać lekarza. Dlatego wyszliśmy. Uznaliśmy, że najlepiej będzie... – Milknę. Teraz to ja panikuję. Mówię jej rzeczy, których wcale nie musi wiedzieć.

Próbuję wytłumaczyć, dlaczego nie jesteśmy przy Kate, nie próbujemy pomóc.

Zmieniam taktykę i pytam, czy to ona przesłuchiwała rodzinę Lucindy.

– Widziała się pani z Kate? – pytam.

– Byłam u państwa Riverty dziś rano – odpowiada, zapisując coś w notesie. – Potem pojechałam do szkoły w Windermere, żeby porozmawiać z nauczycielami i dowiedzieć się, o której Lucinda skończyła lekcje. Staramy się odtworzyć jej ruchy do momentu, gdy zniknęła...

– Moja córka też chodzi do tej szkoły – wtrącam. – Rozmawiała pani z nią? Ma na imię Sally, mówiła, że policja ma...

– Uczniów przesłuchuje inny policjant.

Wydaje mi się, że wszystko robię źle. Chciałabym sprawiać wrażenie osoby rozsądnej i kompetentnej, a wychodzę na głupią kobietkę, która skupia się na niewłaściwych rzeczach.

W końcu policjantka podnosi na mnie wzrok.

– No dobrze, zaczynajmy.

Przypuszczam, że będzie chciała omówić dokładnie wydarzenia wczorajszego dnia, dowiedzieć się, co i kiedy robiłam, do kogo dzwoniłam, komu wysyłałam wiadomości. Zakładam, że chce poznać najmniejsze szczegóły, więc jestem kompletnie zaskoczona, gdy pyta:

– Jaką pani zdaniem matką jest Kate?

– Słucham? – jąkam po chwili. – Nie rozumiem.

– Kate – powtarza. – Jaką jest matką?

– Najlepszą – odpowiadam już bez wahania. – Najlepszą, jaka może być.

Wracam myślami do problemów zdrowotnych Fergusa.

– Jej siedmioletni synek zawsze był chorowity – opowiadam. – Miał jakiś problem z oczami, nikt nie umiał sobie z tym poradzić. Ja wpadłabym w rozpacz i pewnie załamałabym ręce, a Kate jeździła z nim do specjalisty w Londynie i potrafiła zamienić te podróże w prawdziwą przygodę. Sprawiała, że Fergus nie mógł się ich doczekać.

Pamiętam, jak Kate pozwalała Fergusowi przebierać się za superbohatera, rycerza

albo wojownika. Przygotowywała mapy, gry i łamigłówki, które rozwiązywali razem w pociągu. Nigdy nie słyszałam, by się skarżyła, nigdy nie narzekała na uciążliwości związane z tymi wizytami.

Spoglądam na detektyw Aspinall.

– Kate jest matką, jaką chciałyby być każda kobieta i jaką chciałby mieć każdy człowiek.

– A Guy Riverty? – pyta. – Czy on pani zdaniem także jest oddanym rodzicem?

– Oczywiście.

Przez chwilę patrzy mi w oczy, potem opuszcza wzrok na notes.

Zerkam na Joego, a on podnosi brwi. Myśli to samo, co ja – że policjantka podejrzewa o coś Guya, a to jest absurdalne.

Nie znam Guya dobrze, a oprócz tej jednej okazji, kiedy poszliśmy do nich na kolację, nie spotykamy się wszyscy razem. Wiecie, co mam na myśli – zaprzyjaźnione pary składają sobie wizyty, mężczyźni idą do pokoju i rozmawiają o swoich męskich sprawach, a kobiety w kuchni narzekają, że ich mężowie nic nie robią w domu. Joe i ja mamy raczej osobne grona przyjaciół. Ja spotykam się z Kate w szkole, ale Joe i Guy nigdy nie poszliby razem na piwo. Zastanawiam się teraz, dlaczego tak się dzieje. Czuję ukłucie irytacji, choć nie mam pojęcia dlaczego.

– Jak dobrze zna pani Guya Riverty’ego? – pyta Aspinall.

– A czy można dobrze poznać innego człowieka? – odpowiadam pytaniem i natychmiast zdaję sobie sprawę, że takie filozofowanie u niej nie przejdzie. Milczy i czeka, aż odpowiem należycie na pytanie.

– Nie jesteśmy bliskimi przyjaciółmi – mówię. – Ale mogę zaręczyć, że jest oddanym rodzicem i dobrym człowiekiem, jeśli o to pani chodzi.

– Na tym etapie staramy się tylko stworzyć sobie obraz rodziny państwa Riverty.

– Chyba nie uważa pani, że on ma z tym coś wspólnego, prawda? – pytam, a Joe natychmiast mnie karci.

– Lisa! – mówi surowo.

– Co? Przecież to właśnie robią, prawda? Najpierw sprawdzają rodzinę.

Detektyw Aspinall patrzy na Joego, a potem na mnie. Mówi powoli i ostrożnie:

– Co roku ginie bez wieści mnóstwo dzieci. Większość z nich sama ucieka z domu, więc musimy jak najszybciej ustalić, czy dziecko miało jakiegokolwiek powody, by uciekać od własnych rodziców. Dlatego wypytujemy o stosunki w rodzinie. Musimy wiedzieć, jak one wyglądały, zanim przejdziemy do następnego etapu.

– Więc pyta mnie pani, czy Guy mógł być odpowiedzialny za ucieczkę Lucindy? Przechyliła lekko głowę, jakby chciała powiedzieć: „No właśnie, czy to możliwe?”.

– Na pewno nie – odpowiadam.

– Skąd taka pewność, skoro nie zna go zbyt dobrze?

– Bo znam Kate i... – Przerywam na moment, bo sama nie wiem, czy powiedzieć to, co ciśnie mi się na usta. – Nie wiem, jak ująć to w słowa, więc może powiem tak... Załóżmy, że Guy jest jakimś popaprańcem, który zatruwa życie swoim dzieciom, Kate natychmiast by się tym zajęła. Bez ustanku obserwuje swoje dzieci, wszystkim się zajmuje, zna imiona wszystkich uczniów z klasy Fergususa, zna rodziny przyjaciółek Lucindy – wie, gdzie mieszkają, czym się zajmują. To dla niej bardzo ważne. Niczego nie przegapi. Te dzieci to całe jej życie. Są najważniejsze.

– Rozumiem – mówi detektyw Aspinall, podnosząc filiżankę do ust. Kiwa głową na Joego. – Smaczna herbata.

– Żona dobrze mnie wyszkoliła – odpowiada z uśmiechem.

– Wróćmy w takim razie do wczorajszego dnia – mówi policjantka. – Czy często dziewczynki nocowały u siebie w ciągu tygodnia?

– Tak – odpowiadam. – Są bliskimi przyjaciółkami, więc... – Nagle milknę. – Właściwie to nie jest całkiem normalne. – Skonsternowana, odwracam się do Joego. – Czy Lucinda spała u nas kiedyś w ciągu tygodnia?

– Nie mam pojęcia. – Wzrusza ramionami. – Bywa tu często, więc nigdy nie zwracałem uwagi na dzień tygodnia.

Spoglądam ponownie na detektywa Aspinall.

– Nie wiem – przyznaję, nieco zażenowana.

– Od kogo wyszła propozycja? – pyta. – Pamięta pani?

– Tak. Od Sally. Mówiła, że muszą popracować z Lucindą nad jakimś projektem. Kate na pewno wie, o co konkretnie chodziło. Tak czy inaczej, Sally spytała, czy

Lucinda może zostać u nas na noc, żeby mogły pracować razem po południu i wieczorem. Przyznam, że nie zwróciłam na to uwagi, bo jak wspomniał Joe, Lucinda często u nas bywa.

– A co z dojazdem do szkoły następnego dnia? – pyta. – Czy pani Riverty mogła uznać po prostu, że pani zawiezie obie dziewczynki?

– Nie, bo obie dojeżdżają do szkoły minibusem, który zabiera wszystkich uczniów z Troutbeck.

– Do jakiej firmy należy minibus?

– South Lake Taxis – odpowiadam, a policjantka notuje szybko nazwę.

– Mogę o coś spytać?

– Proszę bardzo.

– Kiedy zniknęła Lucinda? Dojechała wczoraj do szkoły czy nie ma jej już całą dobę?

– Jesteśmy niemal pewni, że zaginęła po zajęciach. Wiemy, że uczestniczyła w ostatniej lekcji, bo sprawdzano wtedy obecność. Ale upewnimy się. Czy pani zdaniem należało się spodziewać, że matka Lucindy zadzwoni, kiedy córka będzie u państwa?

– Raczej tak, szczególnie znając Kate.

Czy Kate próbowała skontaktować się z Lucindą i nie dostała od niej żadnej odpowiedzi? W przypadku Sally zdarzało się to nader często. Początkowo robiliśmy jej awantury, ale po jakimś czasie, jak zapewne większość rodziców nastolatków, daliśmy sobie spokój.

Staram się nie kłócić z Sally o głupstwa i wybierać starannie kwestie, które warte są uwagi. Zrezygnowałam z walki o esemesy mniej więcej w tym samym czasie, gdy przestałam jej wypominać wieczny bałagan w pokoju.

– Kate wysłała Lucindzie wiadomość, ale nie dostała odpowiedzi – mówi detektyw Aspinall. – Zastanawiałam się, czy zaniepokoiłoby to panią na tyle, żeby zadzwoniła pani do rodziców koleżanki, u której nocuje córka?

Myślałam przez chwilę. Czy naprawdę można mieć pretensje do Kate, że po przedłużającej się ciszy nie sprawdziła, co się dzieje z Lucindą?



– Zdarzało się, że Sally spała u Lucindy i nie odpowiadała na moje esemesy. Dziewczynki robią się roztrzepane, zapominają o całym świecie, kiedy czymś się zajmą. Wie pani, jak to jest.

Najwyraźniej detektyw Aspinall nie wie, bo nie zareagowała na moją uwagę.

– Ale prawdę mówiąc – kontynuuję – kiedy Sally była u Lucindy, nigdy się o nią nie martwiłam, bo wiedziałam, że jest pod opieką Kate. Gdyby nocowała u kogoś innego, u koleżanki, której nie znam tak dobrze, być może zadzwoniłabym do jej rodziców.

Wydaje się, że ta odpowiedź zadowala policjantkę, bo zamyka ten temat i wypytuje mnie o samą Lucinę. Czy mogła coś ukrywać przed rodzicami? Gdy wydaje mi się, że przesłuchanie dobiegło już końca, zadaję pytanie, z którym czekałam od samego początku tej wizyty.

– Jak pani myśli, co się z nią stało?

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć.

– Ale gdyby pani musiała. Gdyby trzeba było wybrać jakąś konkretną hipotezę, czy powiedziałaaby pani, że Lucinda...

– Na tym etapie sprawdzamy różne możliwości.

Kiwam głową. Miałam chyba nadzieję, że detektyw Aspinall uzna Lucinę za uciekinierkę. Wtedy poczucie winy nie byłoby tak przytłaczające. Ale przecież Lucinda nie odeszła z własnej woli. Dlaczego miałyby to robić?

– Jeszcze jedno – mówi policjantka rzeczowym tonem, podnosząc się z krzesła. – Poprosimy, żeby opisali państwo szczegółowo wasz wczorajszy dzień od trzeciej po południu.

– No dobrze, Charles... – Agentka nieruchomości przygląda mu się z uwagą, mruga oczami. – Chcesz oglądać takie posiadłości jak ta, położone nad jeziorem, czy jesteś otwarty na inne opcje?

– Prawdę mówiąc, wolałbym tylko te z dostępem do jeziora. Najchętniej kupiłbym dom z hangarem dla łodzi, ale jeśli coś wpadnie mi w oko, nie będę wybrzydzał.

– Rozumiem. – Kiwa głową. – Jestem pewna, że ta posiadłość przypadnie ci do gustu, jest naprawdę wyjątkowa.

Czeka z tyłu, gdy ona otwiera frontowe drzwi i wyłącza alarm, co oznacza, że prawdopodobnie nikt tutaj nie mieszka. Wchodzi do środka i uśmiecha się do niego promiennie, czekając na ochy i achy. Spodziewa się wyrazów zachwytu nad dębową boazerią i oryginalnymi zdobieniami, jakby to ona budowała ten dom.

– Imponujące – oznajmia, żeby sprawić jej przyjemność, ale wcale tak nie myśli. Właściciel tego domu nie ma za grosz poczucia smaku. Dywan na schodach jest tani i brzydki, a witraż w przedsionku kiczowaty.

– Pokażę ci kuchnię – mówi kobieta. – Jest niesamowita.

Stuka obcasami o parkiet. Zauważa, że rozpruł się brzeg jej sukienki. Luźna bawełniana nić przykleiła się do jej łydki.

– To wspaniałe pomieszczenie, pełne światła – mówi po drodze. – Idealne dla rodziny, nie uważasz?

Nawet nie chce mu się komentować. Czuje się tak, jakby trafił do jednego z tych okropnych programów o przeprowadzkach, w których kobiety zapewniają wszystkich, że kuchnia jest „sercem domu”. Kobiety, które chcą „użytecznej przestrzeni, gdzie cała rodzina może być razem”, a ich nastoletnie dzieciaki mają takie miny, jakby nie mogły wyobrazić sobie nic gorszego.

Agentka podchodzi do przeszklonej ściany jadalni i pyta:

– A gdzie teraz mieszkasz?

– W Grasmere – odpowiada.

– Naprawdę? Nie słyszałam wcześniej twojego nazwiska, więc pomyślałam, że nie jesteś stąd.

Nieudolnie próbuje wybadać, czy stać go na ten dom. Uśmiecha się i czeka na więcej informacji. On milczy.

Przygląda się jej badawczo. Patrzy na zwały tłuszczu wciśnięte w coś, co ma uchodzić za oficjalny strój. Wystarczy spojrzeć na twarz tej kobiety, by zobaczyć całe jej życie. Wyobraża sobie, jak wybiega rano z domu, wpychając do ust pączka i udając, że włożyła świeżą bieliznę. Przeżuwając w pośpiechu ciastko, wsiada do samochodu zaśmieconego okruchami chipsów i starymi papierami.

Wracając do kuchni, kobieta przesuwając dłońmi po blacie z różowego marmuru.

– Czym się zajmujesz? – pyta od niechcienia.

– Prowadzę kilka hoteli – odpowiada, spoglądając na obrączkę, która wrzyna się jej w palec.

– Doprawdy? A które konkretnie?

– Wolałbym teraz o tym nie mówić, bo zamierzam je sprzedać i nie chcę, żeby ktoś się dowiedział. Często się zdarza, że goście nie chcą mieszkać w hotelach wystawionych na sprzedaż.

– Zapewniam cię, że nigdy nie rozmawiam z postronnymi osobami o interesach mojego klienta.

Uśmiecha się w odpowiedzi.

– Ale ja właściwie nie jestem jeszcze klientem, prawda? – stwierdza.

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że to się zmieni.

Spogląda na niego zalotnie spod rzęs.

– Chcesz zainwestować w jakieś inne hotele?

– Prawdę mówiąc, chciałbym już skończyć z tym biznesem. Jest zbyt wyczerpujący. Trudno o dobrych menedżerów, a i goście coraz mniej... Myślę, że zajmę się sprzedażą internetową. Chcę sprowadzać towary, które już sprzedają się dobrze w Stanach Zjednoczonych.

Kobieta kiwa z powagą głową, a on nie po raz pierwszy tego dnia dziwi się, jak chętnie ludzie wierzą we wszystko, co usłyszą. Chcą wierzyć, nawet jeśli rozsądek

każe im wątpić. Rozluźnia się, niemal bawi go ta sytuacja.

– Masz jakąś nieruchomości na sprzedaż? – pyta agentka.

Odwraca się do niej gwałtownie.

– C...co? – jąka.

– Jakiś dom. Wynajmujesz teraz coś czy chcesz sprzedać swój dom, zanim się przeprowadzisz?

Dlaczego nie przygotował sobie odpowiedzi na takie pytanie? Dlaczego nie sprawdził jakichś adresów, zanim tu przyszedł?

Kręci głową, odwraca się. Zaczynają go swędzieć dłonie.

– Mogę rzucić okiem? – Wskazuje głową na dokumenty dotyczące domu, które przyniosła ze sobą.

– Och, nie masz tego? – dziwi się kobieta. – Myślałam, że już wszystko przejrzałeś.

Podchodzi i kładzie na blacie otwartą broszurę. Kiedy się zbliża, wyczuwa jej zapach i robi mu się niedobrze.

Kobieta pochyla się, zza rozchyłonego żakietu wypływa gryząca woń potu i samoopalacza, która miesza się z jej nieświeżym oddechem.

Co ona sobie wyobraża? Dlaczego podchodzi tak blisko?

Przestępuje z nogi na nogę. Dłonie swędzą go coraz mocniej. Próbuje się odsunąć, ale ona nie zauważa jego reakcji. Przesuwa po tekście grubym palcem wskazującym z resztkami lakieru na krawędzi paznokcia. Nagle zaczyna trajkotać w szalonym tempie o dzierzawie wieczystej, wodociągach i prywatnej kanalizacji. Kręci mu się w głowie, nie może oddychać, bo ta odrażająca kobieta zabiera mu cały tlen.

Przełyka z trudem.

– Proszę się ode mnie odsunąć – mówi.

– Słucham?

– Odsuń się.

Urażona, spełnia jego prośbę.

– Coś się stało? Zapewniam cię, że cena tego domu jest bardzo atrakcyjna. Jeśli porównasz ceny innych nieruchomości nad jeziorem, przekonasz się, że...

Podnosi rękę, prosząc ją, by umilkła. Zamyka oczy i bierze głęboki oddech.

*– Dziękuję – mówi – ale nie jestem zainteresowany.*

*Rusza do wyjścia. Kiedy stoi przy drzwiach, docierają do niego jej słowa.  
Zatrzymuje się w pół kroku.*

*– Nie stać cię na ten dom.*

*Odwraca się, próbuje zrozumieć, o co jej chodzi.*

*– Zmarnowałeś tylko mój czas – kontynuuje agentka. – Jezu! Jakbym nie miała nic innego do roboty...*

*Zaciska zęby i mierzy go pogardliwym spojrzeniem.*

*Co niestety nie pozostawia mu innego rozwiązania.*

*Podchodzi do niej i zaciska dłoń w pięść. Nie sprawia mu to żadnej przyjemności.  
Nie lubi uciekać się do przemocy, lecz kiedy uderza ją w twarz, kobieta leci do tyłu,  
ląduje na podłodze i zatrzymuje się dopiero przy drzwiach lodówki.*

*Jest zbyt zszokowana, by wydać jakikolwiek dźwięk, być może nawet nie jest w stanie, bo jej nos zamienił się w krwawą miazgę.*

*Przejęta grozą, podnosi rękę do twarzy, krztusi się krwią i śliną, które wypełniają jej usta.*

*On kręci tylko głową.*

*– Nie nadajesz się do tej pracy – mówi z rezygnacją, chowając w kieszeni zakrwawioną dłoń.*

## ROZDZIAŁ 10

Patrzę na zegarek. Jest dopiero dwunasta dwadzieścia. Czuję się tak, jakbym od rana kilka razy przeżyła swoje życie. Joe poszedł z innymi na poszukiwania. Okoliczni mieszkańcy zorganizowali trzy ekipy poszukiwawcze. Jedna z nich przeczesuje pola między szkołą i domem Kate. To kilka kilometrów kwadratowych, ale korzystają z quadów, tych samych, których używają pasterze do zagania owiec na wzgórzach. Druga grupa przeszukuje teren w okolicach szkoły, boiska i las ciągnący się od budynku szkoły do brzegu jeziora Windermere. Ostatnia ekipa sprawdza obszar pomiędzy szkołą i miejscowością Windermere. Wielu uczniów chodzi tam po lekcjach do cukierni, pizzerii lub do biblioteki (jeśli nie mają w domu stałego łącza internetowego). To zaledwie dwa kilometry, a niektórzy zakładają, że Lucinda mogła pójść właśnie w tym kierunku, jeśli rzeczywiście postanowiła uciec z domu.

Ja jednak wiem, że szukają na darmo.

Lucinda nie uciekła i nie wybrała się do Windermere. Została porwana, wywieziona w jakieś odludne miejsce i zgwałcona. Jak Molly Rigg.

Na myśl o Lucindzie czuję nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wiem, że nie uciekłyby z domu, nigdy nie przysporzyłyby swoim rodzicom tylu cierpień. Sally często narzekała, że Lucinda to takie niewiniątko. Irytował ją fakt, że Lucinda nigdy nie dostała bury, nigdy nie przyszła na lekcje nieprzygotowana, że zawsze to jej przypadła nagroda za najschludniejszy mundurek.

Lucinda nigdy nie odeszłaby z domu z własnej woli. Nigdy.

Nagle ogarnia mnie panika. Czuję, że muszę jak najszybciej zobaczyć swoje dzieci, upewnić się, że nic im nie jest. Z bijącym sercem biegnę na dół, gorączkowo szukam kluczyków do samochodu. Muszę przywieźć dzieci do domu, w jedyne naprawdę bezpieczne miejsce. Pieprzyć szkołę – powinny być tutaj.

Wyrzucam papiery, rękawiczki, czapki i niezapłacone rachunki z szafki przy drzwiach. W końcu znajduję kluczyki w kieszeni płaszcza i dopiero gdy jestem na zewnątrz, przypominam sobie, że samochód nadal stoi przed szkołą Sama, skąd rano zabrał mnie Joe.

Na razie jestem bezsilna. Wracam do domu i dzwonię do mamy. To jedyny pomysł, jaki przychodzi mi do głowy.

Po kilku sygnałach podnosi słuchawkę.

Słyszę, jak zaciąga się głęboko papierosem.

– Halo? – mówi po krótkiej pauzie i natychmiast zanosi się kaszlem.

– To ja – odpowiadam łamiącym się głosem.

Wie, co się stało. To mała miejscowość, wieści rozchodzą się błyskawicznie. Rano mama sprząta w oddziale banku NatWest, potem w prywatnych domach. Mogłaby sprzątać trzy domy mniej w tygodniu, gdyby nie paliła czterdziestu papierosów dziennie. Tłumaczy, że to jej jedyna przyjemność i że bez nikotyny ma kłopoty z wypróżnianiem, więc nie wypominam jej tego często.

Mówię, że chcę zabrać dzieci do domu, że boję się, by ktoś ich nie porwał.

– Liso – odpowiada mama stanowczo. – Zostaw dzieciaki w szkole. Nie powinny siedzieć z tobą w domu, kiedy jesteś w takim stanie. Poza tym dziś nikt nie próbowałby ich porwać, nie w taki dzień, kiedy wszyscy są wyjątkowo czujni.

Mama zawsze umiała się zachować w trudnych chwilach. Pewnie dlatego, że musiała, skoro byliśmy drugą rodziną mojego taty. Mieszkał w Wigton, na północy hrabstwa, widywałyśmy się z nim raz na trzy–cztery tygodnie. Żyłyśmy biednie, mama chwytła się różnych prac dorywczych, by jakoś związać koniec z końcem, tata oddawał nam pieniądze, które zdołałyśmy zaoszczędzić. Miał jednak na utrzymaniu czwórkę dzieci w Wigton, więc nie było tego dużo.

Pewnej srogiej zimy wraz z grupą dzieciaków urządziliśmy sobie tor saneczkowy na chodniku przed naszym domem. Nikt nie miał wtedy sanek, jeździliśmy na tacach do herbaty i na workach. Pamiętam, że ktoś przyniósł nadmuchiwany materac do pływania.

Ustawiliśmy się w kolejce do zjazdu, gdy zza rogu wyjechał samochód. Była to

taksówka, zbudowany jak czołg jeden z tych wielkich roverów o pojemności trzy i pół litra. Zatrzymał się obok nas, a ze środka wysiadła jakaś kobieta.

Była elegancko ubrana. Bogato. Nosiła wełniany płowy płaszcz z broszką w klapie, włosy ściągnęła w starannie ułożony kok na czubku głowy. W dłoni trzymała trapezową torebkę z lakierowanej skóry, podobną do tych, jakie nosiła Margaret Thatcher i królowa. Omiotła spojrzeniem naszą grupkę i spytała:

– Które z was to bękart Harolda?

Kilku starszych chłopców zachichotało. Kobieta oczywiście miała na myśli mnie. Nie wiedziałam do końca, co znaczy słowo „bękart”, ale nazywano mnie tak już wcześniej i wiedziałam, że to nic dobrego.

Kiedy nikt nie odpowiedział, przeszła między nami do drzwi frontowych domu. Mama otworzyła i wpuściła kobietę do środka.

Wtedy zaczął padać śnieg, grube płaty wielkości małych pomarańczy. Byłam ubrana tylko w cienki anorak, więc weszłam do domu.

Kobieta siedziała na skraju sofy w salonie – jedynym obok łazienki ogrzewanym pomieszczeniu – a na mój widok podskoczyła i klasnęła w dłonie.

– Lisa! Tak się cieszę, że mogę cię poznać – oświadczyła radośnie. Spojrzałam pytająco na mamę, ale wyglądała na równie skonsternowaną, jak ja.

– Jestem żoną twojego taty – dodała, wciąż się uśmiechając. Potem zwróciła się do mojej mamy: – Chętnie napiłabym się herbaty, Marion. Może zaparzysz nam coś, kiedy ja będę dawała dziecku prezenty?

Moja mama posłusznie przeszła do kuchni. Słyszałam trzask tylnych drzwi, gdy mama wyszła do sąsiadów pożyczyć mleka albo cukru, albo herbaty... czego nam tam brakowało tamtego dnia. Żona mojego taty sięgnęła do torebki i wyjęła z niej dwa opakowania owocowych batonów Opal Fruit i dużą paczkę miętowych czekoladek Aero Mint.

Potem, kiedy siedziałam zadowolona przed kominkiem, ponownie sięgnęła do torby i tym razem wyjęła z niej nóż do wykładzin. Pomachała nim kilka razy przed nosem, mówiąc:

– Liso, chcę, żebyś opowiedziała tacie o tym wszystkim.



Ja skinęłam z powagą głową, bo byłam pewna, że mówi o słodyczach. Nie miałam pojęcia, do czego potrzebuje noża.

Potem zrobiła coś nieprawdopodobnego. Podciągnęła rękawy płowego płaszcza do łokci, odsłaniając mlecznobiałe przedramiona, a później nacięła głęboko oba nadgarstki.

Byłam zbyt przerażona, by się ruszyć, a nim wróciła moja mama, żona taty leżała na sofie, a na jej kolanach rozrastała się wielka plama krwi.

– Idź do sąsiedniego pokoju – poleciła moja mama ze stoickim spokojem. Potem dodała, jakby tylko do siebie: – Ostrzegałam go, że do tego dojdzie. Wiedziałam, że tak to się skończy.

Już nigdy nie spotkałam żony mojego ojca. Mama sama radziła sobie z wszystkimi problemami. Zawsze tak samo – spokojnie, bez paniki i niepotrzebnych emocji.

– Co powinnam zrobić? – pytam ją, bliska hysterii.

– Z czym? Powiedziałaś ci, żebyś zostawiła dzieci w szkole.

– Z Kate. Muszę coś zrobić. Nie mogę tu zostać, bo zwariuję.

– Joe jej szuka – odpowiada. – Co więcej możesz zrobić?

– Obiecałam Kate, że znajdę Lucindę.

Zaciąga się ponownie.

– Głupio zrobiłaś. Co ci strzeliło do głowy, żeby składać takie obietnice?

– Bo Kate powiedziała: Znajdź ją. Co miałam odpowiedzieć? Nie?

– Więc lepiej już zacznij.

– Nie mam samochodu.

– Ale masz nogi, prawda? Możesz z nich skorzystać.

Wychodzę z domu i postanawiam przejść na tę stronę doliny, gdzie mieszka Kate, i szukać Lucindy na własną rękę. Wiem, że nie jest to najlepszy pomysł, i wątpię, by coś z niego wynikło. Ale jak powiedziałam mamie, nie mogę siedzieć w domu z założonymi rękami.

Potrzebuję dwudziestu pięciu minut, żeby przejść na drugą stronę doliny. Włożyłam buty turystyczne, bo na podeszwach moich gumowców nie ma już bieżnika. Okryłam

się też grubą warstwą ubrań, starając się, by nie krępowały mi ruchów. Gdybym nie była kompletnie przytłoczona wydarzeniami, czułabym się dziwnie, wychodząc bez trzech psów – jakbym próbowała je oszukać, wybierając się samotnie na spacer.

Kilka razy tracę równowagę na asfalcie pokrytym warstwą zbitego śniegu i lodu. W zamrzniętych kryształkach na chodniku odbija się blady blask słońca. Mój cień mnie wyprzedza, kładzie się przede mną na drodze. Mam około sześciu metrów wysokości, a moja głowa przypomina piłkę do tenisa.

Mniej więcej o tej porze zaginęła wczoraj Lucinda. Zastanawiam się, czy była odpowiednio ubrana na taką pogodę. Ja niemal codziennie toczę walkę z Sally i Jamesem, by zechcieli włożyć kurtki.

– Nikt nie nosi kurtek – protestują oboje. Na dodatek James nie założy na siebie żadnych ubrań firmy Gap.

– Wiesz, co oznacza ta nazwa, mamó? Gej albo bubek, właśnie to.

– Wcale nie – protestuję, ale on wycofuje się już z pokoju, a moja opinia wcale go nie interesuje.

Ma teraz dwanaście lat, widzę, jak powoli staje się typowym nastolatkiem. Coraz częściej przemyka się po domu ukradkiem, by uniknąć rozmowy. Wchodzę do kuchni i słyszę jego kroki na schodach. Pamiętam strach, który czułam przed jego narodzinami, paralizującą pewność, że nie zdołam pokochać drugiego dziecka tak, jak kocham Sally. Przecież to niemożliwe, bym miała w sobie tyle miłości. Ale potem przyszedł na świat, a wraz z nim pojawiła się miłość. Nie musiałam jej wcale szukać. Teraz próbuję mu tę miłość przekazać, ale on się wykręca. Nie potrzebuje jej teraz. Nie potrzebuje mnie.

Wracam myślami do Lucindy i zastanawiam się, czy wyszła wczoraj bez kurtki. W takiej temperaturze nie da się przeżyć bez ciepłego ubrania. Zwykle pogoda w Krainie Jezior jest łagodna i jeśli nie zrobisz czegoś wyjątkowo głupiego – na przykład nie wybierzesz się na Great Gable albo Scafell w klapkach – prawdopodobnie przetrwasz noc pod gołym niebem.

Ale nie w taką pogodę. Nie minionej nocy.

Nagle wyobrażam sobie Lucinę, która leży martwa pod kamiennym murem,

porzucona i obnażona do pasa, jak tamta dziewczynka.

Ale w odróżnieniu od Molly Rigg Lucinda nie żyje. Tym razem facet postanowił ją zabić i dopiero potem porzucić przy drodze.

Jestem teraz w zacienionej części doliny, wspinam się na drugą stronę, w kierunku domu Kate i Guya. Staram się odsunąć od siebie ponure myśli i obrazy. Zrobiło się zimniej i choć dzień jest pogodny i jasny, po tej stronie zalega cień. Dziwne.

Umysł płata mi figle. Widzę rozbłyśki koloru na białym tle. Odwracam gwałtownie głowę, słysząc głos kawek wśród drzew, jakbym spodziewała się zobaczyć tam uśmiechniętą Lucindę.

Dotarwszy na górę, skręcam w lewo i nagle słyszę jakiś hałas. Zamieszanie, głosy. Idę szybko wzdłuż drogi, a gdy wychodzę z zakrętu, wiem już, skąd dochodzą te dźwięki.

Furgonetki. Samochody. Dziennikarze. Kamery i anteny satelitarne na dachach pojazdów. Droga przed domem Kate jest niemal całkiem zablokowana.

„Jezu Chryste!” – myślę. „Znaleźli ją!”.

Podrywam się do biegu.

Ale mylę się.

Niczego nie znaleźli. Kate i Guy zorganizowali konferencję prasową przed domem, przy dużych czerwonych drzwiach.

Guy coś mówi – to on rozmawia z dziennikarzami. Kate stoi obok w milczeniu. Wydaje się udręczona, wystraszona, jakby to ona zaginęła. Jej oczy pozbawione są życia, twarz zupełnie nieruchoma, martwa. Pusta.

Stoję z tyłu, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Alexa zauważa mnie i rzuca piorunujące spojrzenie, wściekła, że się tu pojawiłam.

Guy mówi i mówi, ale nie słyszę słów. Porusza szybko ustami, gestykuluje i wskazuje w głąb doliny. Jakby to miało uzmysłwić zgromadzonym, gdzie może być jego córka. Potem patrzy na twarz swojej żony i milknie, nie może mówić dalej.

To najgorsza scena, jaką kiedykolwiek musiałam oglądać.

Gorsza niż usypianie skatowanego psa, bo lepiej aby biedak umarł, niż cierpiał bez potrzeby. Gorsza niż widok żony mojego ojca podcinającej sobie żyły na moich

oczach.

Nie ma nic gorszego od zaginięcia dziecka. Nic.

*Przechadza się sklepowymi alejkami, udaje, że szuka czegoś na półkach. Próbuje zabić czas w supermarkecie budowlanym. Sam nie wie, czy powinien kupić potrzebne mu rzeczy już teraz, by mniej rzucać się w oczy, czy też lepiej spróbować szczęścia w sklepie żelaznym w Windermere.*

*Oba rozwiązania mają swoje wady. Tutaj są kamery, tam gadatliwy, plotkarski personel.*

*W dużym mieście nie miałyby takiego problemu. Nikogo nie obchodzi, do czego ci potrzebne rolki folii, jeśli mieszkasz w Newcastle czy w Liverpoolu.*

*Wychodzi na zewnątrz i udaje, że porównuje wielkość worków z ozdobnym żwirem. Nie chce zbyt długo zatrzymywać się w jednym miejscu, bo ludzie by zwrócili na niego uwagę.*

*Zauważył też, że ma wielbicielkę.*

*Rudowłosa kobieta o smutnej minie, ubrana w dżinsowy żakiet i szpilki, idzie jego śladem. Na razie zapakowała do wózka sodę kaustyczną, środek do usuwania pleśni i cztery paczki folii ochronnej. Przypuszcza, że w rzeczywistości nie potrzebuje żadnej z tych rzeczy, i ma ochotę zostać przy żwirze trochę dłużej tylko po to, by zobaczyć, jak dźwiga trzydziestokilogramowy worek.*

*Po powrocie do środka postanawia rozdzielić zakupy na dwa sklepy. Tutaj kupi środki czyszczące, a folię w składzie budowlanym. Właśnie sobie przypomniał, że tamtejszego personelu ani trochę nie obchodzi, co kupują klienci.*

*Powtarza w głowie liczbę zakupów. Wybielacz. Ubrania. Czarne worki. Może powinien też wziąć mop i wiaderko, szybciej sobie z tym poradzi.*

*Jego żona lubi mopy firmy Vileda. Mówi, że podłoga wysycha po nich szybciej niż po mopach starego typu, więc może powinien wybrać właśnie ten.*

## ROZDZIAŁ 11

Kate widzi, że kręcę się przy drodze, i patrzy na mnie pustym wzrokiem. Zawracam, by pójść tam, skąd przyszedłam, bo bez wątplenia popełniłam błąd. Niepotrzebnie się tutaj pokazywałam.

Myślałam, że jeśli zobaczą, jak szukam Lucindy, jak bardzo mi na tym zależy, być może łatwiej mi przebaczą.

To było głupie. Głupie i egoistyczne. Wstyd mi, że w ogóle tu przyszedłam.

Odwracam się i robię kilka kroków, gdy nagle ktoś za mną woła:

– Halo?! Można na słówko?!

Jakaś kobieta idzie w moją stronę. Ja także ruszam w jej kierunku, ale potem uzmysławiam sobie, że to dziennikarka. Wygląda jak wycięta z żurnala, z pewnością nie jest przedstawicielką miejscowej prasy, raczej pracuje w jakimś krajowym dzienniku. Ma granatowy płaszcz z kaszmiru, perfekcyjnie ułożoną fryzurę i dopracowany w każdym szczególe makijaż.

– Zna pani tę rodzinę? – pyta.

– Jestem ich przyjaciółką.

– Co może pani powiedzieć o zaginionej? Jaka to była dziewczynka?

Spoglądam na nią wymownie.

– Jaka jest – poprawiam z naciskiem. – Chciała pani powiedzieć, jaka to *jest* dziewczynka.

– Oczywiście. Przepraszam – mówi szybko. – Dobrze pani zna rodzinę Rivertych?

Kiwam głową, ale czuję się nieswojo. Nie powinnam rozmawiać z tą kobietą. Zerkam na dom, by sprawdzić, czy Kate i Guy wrócili do środka.

– Przepraszam – mówię, odwracając się od niej. – Muszę już iść.

– Bardzo proszę, to nie potrwa długo. – Widzę w jej oczach życzliwość

i zastanawiam się, czy jest szczerą. Nie wiem. – Nie zabiorę pani dużo czasu, ale jak pani zapewne wie, media odgrywają bardzo ważną rolę w poszukiwaniach zaginionych dzieci. Możemy błyskawicznie informować społeczeństwo o postępach w sprawie. Czasami od tego zależy, czy dziecko zostanie odnalezione żywe... czy...

Nie kończy zdania. Nie musi. Wie już, że ulegnę.

– Co chce pani wiedzieć? – pytam.

Wyjmuje z torebki dyktafon.

– Proszę podać swoje nazwisko i przeliterować je.

Literuję K-A-L-L-I-S-T-O i w tej samej chwili dostrzegam Kate w oknie salonu.

– Przepraszam – mówię – ale naprawdę nie wiem, czy powinnam z panią rozmawiać.

Twarz dziennikarki natychmiast tężeje.

– Dobrze, ale czy może pani potwierdzić jedną tylko rzecz? – Nie czeka na odpowiedź. – Czy to prawda, że Lucinda Riverty ma starszego chłopaka? O wiele starszego. Może to pani potwierdzić?

– Słucham? – mówię, zszokowana. – Nie.

– Czy „nie” oznacza, że to nieprawda, czy też, że nie może pani tego potwierdzić, bo nic pani o tym nie wie?

Mamrocę coś pod nosem, próbuję jej powiedzieć, że to nieprawda, ale nie mogę się otrząsnąć ze zdumienia. Skąd ma takie informacje? Kto opowiada dziennikarzom takie bzdury?

Patrzę jej prosto w oczy, ogarnięta irytacją.

– Widziała pani zdjęcie Lucindy?

– Owszem, szkolne. Prawdę mówiąc, przydałoby się nam jakieś inne.

– Więc skoro ją pani widziała, to chyba pani wie, że nie wygląda na zdzirę, którą próbujecie z niej zrobić...

– Ani przez moment nie sugerowałam, że jest zdzirą.

– Owszem, sugerowała pani. *Lucinda prowadzi się ze znacznie starszym chłopakiem.* Drukujecie takie bzdury i ludzie natychmiast przestają się tym przejmować. Myślą, no tak, sama jest sobie winna. Pewnie w końcu znajdą ją martwą.

Próbuje mi przerwać, bronić swojej profesji, ale ja nie zamierzam jej na to pozwolić.

– Właśnie tym zajmują się dziennikarze. Piszecie: „Pan Taki-a-Taki, który padł ofiarą napadu w swoim domu *wartym osiemset tysięcy funtów*”. To ta sama sztuczka. Podpowiadacie ludziom, do jakiego stopnia powinni współczuć ofiarom, zamiast po prostu opisywać daną sprawę. Robi mi się niedobrze, kiedy czytam takie wypociny.

– Na tym polega dziennikarstwo... pani... – Milknie i spogląda na mnie wyczekująco.

– Kallisto – podpowiadam.

Na jej ustach pojawia się cień uśmiechu.

– Tak, właśnie. Czyżby to ta sama pani Kallisto, która miała się opiekować Lucindą Riverty? W czasie gdy dziewczynka zaginęła?

Zszokowana, rzucam jej złe spojrzenie.

– To nie tak – mówię w końcu. – Nie tak to wyglądało... – zaczynam, ale dziennikarka już podsuwa mi pod usta dyktafon.

– Więc może opowie mi pani, jak to wyglądało z pani strony?

Spoglądam na dom Rivertych. Kate stoi w oknie salonu, przywołuje mnie wymownymi gestami.

Odwracam się do dziennikarki. Czuję się winna. To przeze mnie zaginęła Lucinda. Ale nie powiem tego wprost, nie przyznam się tej kobiecie. Nie pozwolę, by włożyła w moje usta te słowa, nie pozwolę, by cały naród mnie osądzał. Nie mogę. Wiem, że zachowuję się jak tchórz, ale nie potrafię się na to zdobyć.

– Pani Kallisto? – próbuje mnie sprowokować. Nie przychodzi mi do głowy żadna dowcipna, cięta odpowiedź, więc mówię jej po prostu, żeby się odwaliła, i ruszam w stronę domu.

Kiedy wchodzę do środka, Kate stoi w korytarzu. Waham się przez sekundę. Widzi moją niepewność i obejmuje mnie. Wydaje się zadziwiająco drobna i krucha. Zastanawiam się, kiedy tak bardzo straciła na wadze i jak to możliwe, że nie dostrzegłam tego wcześniej.

– Co ci mówiła ta dziennikarka? – pyta.



– Nic – odpowiadam z zakłopotaniem. – Chciała tylko wiedzieć, czy cię znam. Potwierdziłam, ale potem dodałam, że nie odpowiem na jej pytania.

– Obserwuję ją od jakiegoś czasu.

– Jest bardzo rzeczowa. W tym zawodzie to pewnie konieczność. – Nie mówię Kate, co powiedziała mi dziennikarka. – Szybko się tutaj pojawili – dodaję.

– To przez tę pierwszą dziewczynę – odpowiada Kate. – Lucinda jest druga, dlatego tak się tym interesują.

Chciałabym coś powiedzieć, ale nie mogę wydobyć głosu z gardła. Chciałabym zapytać Kate, jak się czuje, ale wiem, że zabrzmiałoby to idiotycznie. Bo wszyscy wiedzą, że nie czuje się dobrze. Wszyscy wiedzą, że z trudem utrzymuje się przy zdrowych zmysłach, że stąpa po krawędzi.

Patrzy na mnie, jakby wyczuwała, o czym myślę, i mówi:

– Boję się, Liso. Okropnie się boję.

Serce pęka mi ze współczucia.

– Wiem – odpowiadam łagodnym tonem. – Wiem.

– Gdzie ona jest?

– Znajdą ją.

Kate pociera twarz dłońmi. Jest wyczerpana. Przechodzimy do kuchni. Słyszę tupot nóg na górze, ale w porównaniu z dawnymi czasy dom wypełnia ogłuszająca cisza. Wszyscy wyruszyli zapewne na poszukiwania.

Siadamy przy blacie w kuchni. Wzdłuż tylnej ściany domu Kate ciągnie się duża, przeszklona oranżeria. Światło przenikające przez warstwę śniegu na szklanym dachu wypełnia kuchnię chłodną bielą.

Z miejsca, na którym usiadłam, widać dziecięcy domek zabaw pomalowany tak, by przypominał piernikową chatkę z bajki o Jasiu i Małgosi. Sally i Lucinda przesiadywały tam całymi dniami, gdy miały dziewięć–dziesięć lat. Zakładały kluby, wymyślały szyfry, bawiły się jak wszystkie dziewczynki w ich wieku. Teraz wydaje mi się, że było to wieku temu.

– Wiem, że to brzmi głupio – mówi cicho Kate – ale nigdy nie przypuszczałam, że to przydarzy się właśnie mnie. Że będą mówić o mnie w wiadomościach, że stanę się

kobietą, którą nigdy nie chciałam być. Zawsze zakładałam, że jestem bezpieczna, że coś takiego nigdy mnie nie spotka. – Próbuje się uśmiechnąć. – To naprawdę naiwne.

– Ma przekrwione oczy, jej skóra jest niemal przezroczysta.

– Kate, tak mi przykro. Nie umiem wyrazić, jak bardzo.

Ujmuje moje dłonie.

– Przestań to powtarzać, Liso. Już mi to mówiłaś. Nie jesteś niczemu winna. Nikt z nas nie zawinił. Przecież ja też powinnam była zadzwonić, sprawdzić, jak sobie radzą dziewczynki.

Kręcę głową.

– Nie wiem, jak ty to robisz – mówię, szczerze zdumiona jej opanowaniem, jej podejściem do tej sytuacji. – Jesteś niezwykle wyrozumiała. Naprawdę tak myślisz?

– Gniew mi nie pomoże. – Wzrusza ramionami. – Nie mam na to siły. Chcę tylko, żeby wróciła do domu.

– Wróci.

Patrzy na mnie, a jej twarz wypogadza się na moment.

– Wiesz co? – mówi. – Ja naprawdę w to wierzę. Wierzę, że wróci do domu. Jestem już na takim etapie, że nie obchodzi mnie, co się z nią stało, byle tylko wróciła. Poradzimy sobie ze wszystkim, jeśli tylko żyje.

Staram się również przybrać pełną optymizmu minę. Staram się pokazać, że myślę: „Tak, oczywiście, Lucinda wróci do domu”. Ale nie wiem, czy dam radę, bo nie do końca w to wierzę. Jak mam wierzyć, kiedy już dziesiątki razy widziałam podobne sytuacje w wiadomościach? Rodziny szalejące z bólu na wieść, że ich dziecko nie żyje.

Wstaję i ponownie biorę Kate w objęcia.

– Gdzie jest Fergus? – pytam.

– Na górze, z Alexą.

– Jak się czuje?

– Wie, że stało się coś okropnego, wie, że nie ma tu Lucindy, ale nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji. Nie ma pojęcia, co może jej grozić, a my celowo mu o tym nie mówimy.

– Oczywiście.

– A jak się miewa Sally? – pyta.

Cała Kate – w takiej chwili troszczy się o moje dzieci.

– Kiepsko, ale nie rozmawiałam z nią od rana. Próbowałam dzwonić. W szkole jest policja, przesłuchują wszystkich uczniów z klasy Lucindy. Sally czuje się winna, zresztą trudno jej się dziwić.

– Dlaczego nie poszła wczoraj na lekcje?

– Bolał ją brzuch, nic poważnego. Nie mogłam zostać z nią w domu, bo miałam mnóstwo pracy, więc...

– Powinnaś była zadzwonić – przerywa mi Kate. – Zajęłabym się nią...

Milknie raptownie, bo obie myślimy o tym samym.

Gdybym tylko zadzwoniła.

Siedzimy w milczeniu, rozważając wszystkie „co by było gdyby” i „gdybym tylko”.  
Wzdrygam się nagle, słysząc kroki na górze.

Kate wyczuwa mój niepokój.

– Idzie tylko do toalety. Nie będzie tu schodzić.

Oczywiście ma na myśli Alexę. Wypuszczam powoli powietrze z płuc.

– Przepraszam za jej zachowanie – mówi Kate. – Taka już jest. Musi znaleźć winnego.

Odwracam wzrok. Zawsze to robię, gdy rozmawiamy o Alexie.

– Miała rację, ja rzeczywiście jestem winna – mówię cicho, ale Kate myśli już o czymś innym. Patrzy w róg pokoju, a jej oczy zachodzą mgłą.

## ROZDZIAŁ 12

Detektyw Joanne Aspinall wchodzi na schody wiodące do gabinetu lekarza. Jest siedemnasta czterdzieści.

Nadal nie ma wieści o drugiej zaginionej dziewczynie, a presja rośnie. Joanne zamierzała odwołać tę wizytę. Chciała zostać w komisariacie i pracować, ale szef powiedział jej, że dziś i tak nie posuną się już do przodu z śledztwem. Wysłał ją do domu i polecił, by po drodze wstąpiła do Rivertych.

– Powiedz im, że robimy, co w naszej mocy. Wypytaj ich jeszcze o różne szczegóły, porozmawiaj z prasą, jeśli trzeba.

Guy Riverty dołączył do jednej z grup poszukiwawczych i wybrał się w teren, Kate towarzyszyła siostra. Joanne nie zabawiła u nich długo.

Detektywi pracują zwykle w tych samych godzinach co większość pracowników umysłowych – od dziewiątej do piątej – ale jeśli wymaga tego śledztwo, zarywają noce. Czasami Joanne tęskniła za pracą zmianową z czasów, gdy była jeszcze mundurowym policjantem – miała służbę w nocy, więc mogła załatwić więcej spraw w ciągu dnia. Widzi swoje odbicie w szklanych drzwiach i dotyka włosów. Nie pamięta, kiedy ostatnio była u fryzjera.

Poczekalnia jest pełna ludzi, a Joanne odruchowo opuszcza głowę. Stara się nie rzucać w oczy w Windermere. Dobrze wie, że nie powinna mówić bez potrzeby, czym się zajmuje.

Czytała ostatnio, że policja powinna być „bardziej widoczna”. Jakiś głupawy doradca rządowy sugerował, że ze względu na cięcia budżetowe trzeba w jak największym stopniu wykorzystywać pracujących policjantów. Starać się, żeby ludzie dostrzegali ich obecność.

Proponował, żeby policjanci chodzili do pracy w mundurach. Joanne parsknęła

śmiechem, kiedy to przeczytała. Gdyby policjanci zaczęli wychodzić z domu w mundurach, już po kilku dniach musieliby ścierać jajka z okien i kupować nowe opony do samochodów – a w gorszych dzielnicach zapewne doszłoby do gorszych incydentów.

Joanne wpisuje swoje dane do terminala wiszącego na ścianie, który informuje personel o przybyciu pacjenta. Starsi ludzie nigdy tego nie używają, więc czasami można przeskoczyć o parę miejsc w kolejce. Siada obok staruszki, która pyta z uśmiechem:

– Po szczepionkę na grypę?

Joanne potwierdza dla świętego spokoju.

Obok gabinetu jest również apteka, co Joanne uważa za świetny pomysł. Koniec z jeżdżeniem po mieście w ulewnym deszczu w poszukiwaniu apteki czynnej dłużej niż do piątej. Ta placówka działa w tych samych godzinach co gabinet, więc można upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Joanne dostrzega egzemplarz magazynu wnętrzarskiego, zostawia go jednak i sięga po grudniowy numer „Dobrej Gospodyni”. Nieco zaskoczona, że znalazła tu bieżące wydanie czasopisma, zastanawia się, jak urozmaicić kolację wigilijną: Może spróbuje w tym roku upiec gęś? Albo perliczkę? Przegląda przepis na terrinę łososiową (potrawa dobra dla cukrzyków), ale jej myśli wciąż krążą wokół zaginionej dziewczynki.

Kiedy Joanne przeniosła się do dochodzeniówki, początkowo nie umiała pogodzić życia prywatnego z pracą. Nie była jak detektywi z seriali telewizyjnych, którzy nigdy nie przestają pracować, dużo piją, zadzierają ze swoim szefami i tracą rodziny na rzecz służby w policji.

Problem Joanne był subtelniejszy. Przekonała się, że gdy tylko przestaje myśleć o prowadzonym właśnie śledztwie, gdy zaczyna się zajmować codziennym życiem, dopadają ją okropne wyrzuty sumienia.

Jeśli nawet nie myślała o pracy, czuła, że powinna poświęcać jej każdą myśl.

Teraz umiała już sobie z tym radzić. Przyrównywała to do procesu twórczego, o jakim mówili artyści. Kiedy zajmowali się czymś innym, pracowała ich

podświadomość, która w kreatywny, niczym nieskrępowany sposób rozwiązywała dany problem.

Joanne przekonała się, że gdy pozwalała myślom błędzić swobodnie i odpocząć umysłowi, odpowiedzi i pomysły pojawiały się jak grzyby po deszczu. W jednej chwili ich nie było, a w następnej nie mogła się od nich opędzić.

Słyszy brzęczyk sygnalizujący, że do gabinetu może wejść następny pacjent. Na ekranie pojawia się jej nazwisko. Starsza pani z sąsiedniego siedzenia wydaje się nieco zdenerwowana faktem, że to nie ona zostanie przyjęta pierwsza, ale Joanne nie ma ochoty wyjaśniać, że jednak nie przyszła po szczepionkę na gripę.

Denerwuje się trochę, bo będzie się musiała rozebrać. Nie jest pruderyjna ani nawet nieśmiała, nie lubi tylko widzieć miny osoby, dla której się rozbiera.

Puka i wchodzi do środka. Wita ją doktor Ravenscroft, który od dzieciństwa Joanne jest jej lekarzem rodzinnym.

– Joanne! Miło cię widzieć. Siadaj. Jak się czujesz?

– Dobrze, dziękuję.

– A co słyhać u twojej ciotki? Dawno jej nie widziałem.

– Bez zmian, panie doktorze. Nie bez powodu nazywają ją Szaloną Jackie.

Lekarz chichocze.

– Nadal mieszka z tobą? – pyta.

– Owszem, i tak już chyba zostanie.

Doktor uśmiecha się ze współczuciem.

– A co z tobą? Wciąż walczysz z przestępczością?

– Staram się.

– Świetnie. Świetnie. – Zaczyna pisać coś w komputerze, otwiera jej kartę. – No dobrze, co cię tu dzisiaj sprowadza?

– Chciałabym zmniejszyć piersi.

Nie podnosi na nią wzroku.

– Też za nimi nie przepadam – mruczy z roztargnieniem, a Joanne nie wie, jak zareagować. – Miewasz bóle w górnej części pleców, potówki?

– Tak – odpowiada. – Ból dopada mnie tylko czasami, ale jest wtedy naprawdę

nieznośny. Ale największy problem tkwi tutaj – dodaje, wskazując odcinek między szyją i barkiem.

– Mięsień czworoboczny. – Kiwa głową. – Ciągłe jest napięty, prawda?

Joanne dźga mięsień palcem.

– Twardy jak kamień. Po obu stronach mam wgniecenia od pasków biustonosza.

Sięga pod bluzkę i odpina prawy pasek. Odczuwa chwilową ulgę i pociera skórę. Wkłada palec w rowek wygnieciony przez ramiączko – ma centymetr głębokości i jest gorący.

– Przeszkadza ci to w pracy? – pyta lekarz.

– Czasami.

Nie chce mu tłumaczyć, w jaki sposób. Ani opowiadać, że nie może biegać bez poczucia upokorzenia, że gdy zaczyna przesłuchanie, zawsze czuje się zawstydzona. W przeszłości starała się to ignorować, ale z upływem lat coraz trudniej jej pozbyć się strachu przed szyderstwami i kpiącymi uśmieszkami.

Doktor Ravenscroft kiwa ze zrozumieniem głową.

– Wiesz, że nie będziesz mogła karmić piersią.

– Nie mam nawet chłopaka. Karmienie piersią nie należy do moich priorytetów.

– To się może zmienić – odpowiada pogodnym tonem. – Pojawi się jakiś miły facet, zawróci ci w głowie...

Joanne tylko patrzy wymownie.

– Nigdy nie mów nigdy! – mówi z uśmiechem lekarz. – Taka ładna dziewczyna jak ty na pewno trafi kiedyś na chłopaka, który ożeni się z tobą...

– A gdzie się wtedy podzieje mój jednorożec? – pyta Joanne ze śmiertelną powagą.

Joanne dostaje skierowanie do chirurga plastycznego.

Wychodzi od doktora Ravenscrofta, mija gabinet zabiegowy, gdzie wszyscy starszycy szczepią się na gripę, i schowek sprzętaczek, a potem przechodzi ponownie przez poczekalnię. Zamierza już otwierać drzwi wyjściowe, nagle jednak słyszy coś, co każe jej się zatrzymać.

– Ma pan pełnopłatne recepty? – pyta aptekarka mężczyznę stojącego przy okienku.

– Tak – odpowiada ten. – Chociaż, nie, ta nie jest płatna. To dla dziecka, widzi pani?

– Oczywiście – kaja się kobieta. – Proszę chwileczkę poczekać, zaraz wszystko przygotuję.

Klientem jest Guy Riverty. Co on tutaj robi? Przecież miał uczestniczyć w poszukiwaniach.

Joanne myśli w pierwszej chwili, że kupuje proszki dla Kate. Coś, co pomoże jej się uspokoić, zasnąć. Potem przypomina sobie, że lekarstwo ma być dla dziecka.

Postanawia poczekać w samochodzie.

Wsiada, patrzy na termometr. Minus siedem. Uruchamia silnik, żeby się ogrzać, a z głośników grzmi muzyka. To Michael Bublé, jedna z płyt ciotki Jackie.

– Zarozumiały bubek – mruczy Joanne i wyłącza odtwarzacz.

Włącza reflektory, by trudniej było ją dostrzec we wnętrzu samochodu. Przypomina sobie nagle coś, co powiedziała jej wcześniej Lisa Kallisto. Mówiła, że syn Kate ma problemy ze zdrowiem. Pewnie dlatego Guy przyjechał do apteki.

Postanawia, że nie będzie sobie tym dłużej zawracać głowy. Dochodzi do wniosku, że Guy Riverty kupuje lekarstwa dla swojego synka i że nie ma w tym nic podejrzanego. Wciska sprzęgło i wrzuca bieg. Ma już ruszać, gdy z budynku wychodzi Guy. Wygląda na umęczonego.

„To zrozumiałe” – myśli Joanne.

Rozgląda się dokoła ukradkiem.

„Zaginęła mu córka” – tłumaczy sobie policjantka.

Odjeżdża swoim audi q7 v12 – samochodem za sto tysięcy funtów – nie zapaliwszy świateł.

No tak, ma co innego na głowie.

Ale kiedy dociera do skrzyżowania, zamiast skręcić na lewo, do domu, jedzie w prawo.

„To trochę dziwne” – myśli Joanne i rusza za nim.



## ROZDZIAŁ 13

Joanne trzyma się w bezpiecznej odległości za autem Guya Riverty'ego. Jeśli zwolni, a ona za bardzo się zbliży, zobaczy ją we wstecznym lusterku. Ma indywidualną tablicę rejestracyjną – GR 658 – a jego wielkie białe audi jest oświetlone jak choinka. Gdyby ktoś chciał robić jakieś podejrzone interesy, z pewnością nie wybrałby takiego samochodu. Chyba żaden inny nie rzuca się bardziej w oczy.

Jadą przez miejscowość Bowness. W lecie to najbardziej zatłoczone miejsce w Parku Narodowym, ale w środku grudnia nie ma tu nikogo. Sklepy są zamknięte. Joanne pamięta, że w zeszłym roku przed świętami były czynne do siódmej. „Kupujcie do samego wieczora!” – głosiły reklamy, ale w tym roku najwyraźniej nikomu się to nie opłaca. Ludzie nie mają pieniędzy. Wszyscy są spłukani.

Widzi, jak Guy zatrzymuje się naprzeciwko sklepu z alkoholem, sama więc parkuje dwadzieścia metrów dalej. On wysiada, znika we wnętrzu sklepu i wychodzi po minucie, zapalając cygaretkę, prawdopodobnie café crème. Wsiada do auta i wyjeżdża na ulicę, nie spojrzawszy w lusterka. Omal nie zderza się ze starym peugeotem 206, potem pędzi w dół z bocza.

Droga została obficie posypana piaskiem, ale i tak jedzie za szybko, nawet według standardów Joanne. To wąska ulica, po lewej parkują auta, nie ma miejsca na najmniejszy błąd.

Ale Joanne skłonna jest mu to wybaczyć. Porwano mu córkę, trzeba mieć trochę zrozumienia dla człowieka.

Zbliża się do małego ronda, gdzie powinien zakręcić w prawo. Jeśli wraca do domu, właśnie tam powinien pojechać.

Nie robi tego. Jedzie w stronę jeziora, a potem, jakby wiedział, że jest śledzony, skręca szybko w lewo na Brantfell Road.

– Cholera – szepcze Joanne.

Brantfell Road to stroma droga, pochylona pod kątem trzydziestu stopni. Nie została należycie posypana – to tylko boczna uliczka prowadząca do domów jednorodzinnych, więc drogowcy niezbyt o nią dbają. Guy Riverty wyjeżdża na wzniesienie w ciągu kilku sekund i znika jej z oczu, podczas gdy mondeo Joanne nie może sobie poradzić nawet z pierwszym odcinkiem drogi.

Dociska pedał gazu, a koła buksują bezsilnie. Z boku przygląda jej się staruszek ze starym czarnym terierem patterdale, który trzęsie się przy jego nogach. Mężczyzna kręci głową. Potem zaczyna kręcić palcem w kółko, pokazując jej, żeby zawróciła, że nie da rady wjechać na Brantfell.

– Tak, wiem, wiem – mruczy zirytowana.

Co jest z tymi staruszkami? Czasami zatrzymują się i obserwują, jak parkuje na kopertę, kręcąc przy tym głowami, jeśli ich zdaniem ma za mało miejsca. Kobieta nigdy by tego nie zrobiła. Nigdy by nie przystanęła, żeby powiedzieć ci, że zaraz w coś uderzysz, albo żeby nakierowywać cię gestami, jakbyś pilotowała samolot. Kiedy próbuje zaparkować, kobiety po prostu przechodzą obok, co najwyżej spojrzą na nią, jakby chciały powiedzieć: „dobrze, że to nie ja”, ale nigdy się nie zatrzymują i nie gapią.

Joanne uśmiecha się z przymusem do mężczyzny, choć ma ochotę walnąć pięścią w deskę rozdzielczą. Zgubiła go. Zgubiła Guya Riverty’ego.

Staruszek zbliża się do drzwi po jej stronie i pokazuje, by opuściła szybę.

– Za ślisko tam dla ciebie, kochanie – mówi.

Ma fioletowy nos i blade oczy.

– Na to wygląda – odpowiada Joanne.

– Mogłaby pani spróbować przez Helm Road, ale na pani miejscu zostawiłbym tutaj samochód. Lepiej nie ryzykować.

Terier podnosi wzrok na Joanne. Ma siwą sierść na pysku. Joanne uśmiecha się do niego. Szkoda jej zwierzaka, który musi wychodzić na zewnątrz w taki ziąb.

– Na drogach zrobiła się szklanka – mówi staruszek. – Mnie udało się zejść tylko dzięki temu. – Podnosi nogę i pokazuje jej plastikowe kolce przyczepione

do podeszwy buta. – Zupełnie jak opony zimowe – oznajmia z dumą.

Joanne wie, że ona nie wejdzie na tę górkę w swoich butach. Nie nadają się do chodzenia po śniegu i lodzie.

– Mieszka pan tutaj? – pyta.

– Tak, w Belle Isle View. Nie powinienem wychodzić w taką pogodę. W zeszłym roku złamałem sobie nogę, ale Terence robi się nieznośny, jeśli nie pójdzie na wieczorny spacer.

Joanne myśli, że Terence wygląda tak, jakby lada moment miał wyzionąć ducha.

– Widział pan tutaj kiedyś to białe audi? – pyta.

– To, które pojechało na górę?

– Tak.

– Chyba nie. Właściciel na pewno nie mieszka w pobliżu. Znam tu wszystkich. Jest kilka range roverów... – dodaje z uśmiechem. – Jeżdżą nimi faceci, których na to nie stać, chcą się tylko popisać. Sprzedadzą te samochody, jak tylko skończą im się pieniądze. Kupili je na kredyt, wie pani.

– Jak wszyscy teraz – wzdycha Joanne. – Więc nie widział pan tego auta nigdy wcześniej?

Kręci głową. Potem przechyla ją na bok i przygląda się Joanne, zaintrygowany.

– Dlaczego chce pani to wiedzieć? Jest pani jego żoną?

– Tak tylko pytam – odpowiada Joanne, śmiejąc się. – Z ciekawości – dodaje i dziękuje mu za pomoc.

Pozwala, by samochód stoczył się ze wzniesienia, a potem zawraca. Ma już odjechać, gdy staruszek znów macha do niej z chodnika.

„Cudownie, kolejne dobre rady” – myśli z rezygnacją.

– Przypomniałem sobie coś! – krzyczy mężczyzna. – Nie widziałem tutaj tego samochodu, ale faceta widziałem. Jeździł jakimś innym autem, nie wiem czym dokładnie, ale też jakimś szpanerskim. Pamiętam te małe papierosy. Zawsze trzyma je w ustach, kiedy tędy przejeżdża.

– Wielkie dzięki! – odkrzykuje Joanne.

Jest zadowolony, że jej pomógł. Macha mu na pożegnanie i odjeżdża.

– Joanne, to ty, kochanie?

Gdy wchodzi do mieszkania, uderza w nią fala ciepła. Idzie do termostatu i obniża temperaturę. Ciotka Jackie grzeje tu jak w piecu. Mówi, że ciągle jej zimno. Ale co wieczór, gdy zjedzą kolację, zasypiają na kanapach, syte i rozgrzane – niczym para turystów w Magaluf po późnym lunchu i dzbanku sangrii.

Szalona Jackie mieszka z Joanne niemal już od roku, odkąd ogłosiła światu swoje bankructwo. Krótco przed wyprowadzką Martina, chłopaka Joanne, z którym spędziła trzy lata. Uznał, że nie chce kontynuować tego związku.

Przyjaciółki Joanne dzielnie ją wspierały, wyzywały Martina od najgorszych i zabierały ją do miasta, żeby się upiła, bo tak właśnie w ich pojęciu wyglądało typowe leczenie złamanego serca. Wszystkie były pewne, że Martin ma kogoś innego, że spotyka się z jakąś zdziwą.

Okazało się jednak, że nie miał. Nadal był sam. Joanne zmagala się z tą świadomością w samotności. Nie sądziła, że dotknie ją to bardziej, niż gdyby została porzucona dla innej... a jednak tak właśnie było. Czuła się upokorzona. Szczególnie gdy widywała go w Windermere, a on robił wtedy minę cierpiętnika, jakby świadomość, że ją zawiódł, sprawiała mu ból.

Od pewnego czasu Joanne zaczęła pokazywać mu palcami „V”, gdy gdzieś na niego wpadła. Wiedziała, że to dziecinne, ale dzięki temu gestowi czuła się trochę lepiej.

– Tak, to ja! – woła do Jackie, zdejmując buty.

Otwierają się drzwi salonu.

– Twoja kolacja jest w piecyku – mówi Jackie, krzyżując ręce na piersiach. – Dlaczego nie było cię tak długo? Spodziewałam się ciebie godzinę temu.

– Coś mnie zatrzymało.

Ciotka Jackie wygląda komicznie w swoim stroju. Pracuje jako opiekunka. Nosi liliową sukienkę, białe rajstopy i białe drewniaki. I bynajmniej nie jest chudziwą. Zeszły rok był dla niej ogromnie stresujący, a Jackie jak każda kobieta zajada zmartwienia słodyczami.

– Słyszałaś o tej zaginionej dziewczynce? – pyta Jackie.

– Tak, byłam dziś u jej rodziców. Prowadzę tę sprawę z Ronem Quigleyem.

Jackie opiera się o futrynę. Ma zaczerwienione policzki. Pewnie wypła już dwie butelki bacardi breezer.

– Myślisz, że się znajdzie?

Joanne wzrusza ramionami.

– Mam nadzieję. Co jest na kolację?

– Panierowana ryba. Trochę sucha, ale w lodówce znajdziesz sos tatarski. A na deser mam ciastka z truskawkami i bitą śmietaną.

Joanne uśmiecha się do niej.

– Ile już zjadłaś?

– Dwa. Ale jedno zostawiłam dla ciebie.

Jackie przechodzi za Joanne do kuchni. Mieszkają w szeregowcu w centrum Windermere. Dwa pokoje na górze, dwa pokoje na dole, kuchnia na tyłach domu.

– Właśnie widziałam rodziców tej dziewczynki w telewizji. Jak sobie radzą?

– Są zdruzgotani. Przeżeni. Trudno się im dziwić. Nazywają się Riverty – znasz ich?

Jackie kręci przecząco głową.

– Myśleli, że córka została po lekcjach na noc u przyjaciółki, ale tamta dziewczyna nie poszła tego dnia do szkoły, więc... sama rozumiesz, zaszło małe nieporozumienie. Rozmawiałam z matką tej dziewczynki, u której miała nocować, i...

– Jak się nazywa? Jest miejscowa?

– Lisa Kallisto.

Jackie wyraźnie posepnieje i wzdycha przeciągle.

– Znasz ją?

– Tak. Miła kobieta. Prowadzi schronisko dla zwierząt. Byłam tam dwa dni temu, oddałam kota zmarłego klienta. W zeszłym roku wzięła ode mnie sporą gromadkę zwierzaków... Kiedy nie zdołałam namówić krewnych, żeby je zabrali.

Zdaniem Joanne słowo „klient” nie opisuje należycie ludzi, z którymi pracuje Jackie. To starsi ludzie, zamknięci we własnych domach. Potrzebują pomocy, żeby wstać z łóżka, ubrać się, skorzystać z toalety.

Zawsze gdy Jackie mówi o „kliencie”, Joanne wyobraża sobie, jak jej ciotka udziela porad prawnych albo wypełnia zeznania podatkowe, a nie wyciera tyłki i opatruje odleżyny. Czasami trudno się z nią dogadać, ale Joanne wie, że naprawdę przykłada się do swojej pracy. Wykonuje dodatkowe zadania, którymi nie chcą zajmować się młodszy opiekunowie – maluje paznokcie starszym paniom, zamawia w bibliotece audiobooki... i oddaje zwierzęta do schroniska, kiedy któryś z jej „klientów” pożegna się ze światem.

– Lisa Kallisto haruje jak wół – mówi Jackie. – Naprawdę daje z siebie wszystko i troszczy się o swoje zwierzęta. Będzie się zadreć wyrzutami sumienia, jeśli uzna, że to jej wina.

– Zdaje się, że Kallisto i matka tej zaginionej dziewczynki są przyjaciółkami. Dobrymi przyjaciółkami.

Jackie głośno wciąga powietrze i kręci głową.

– To okropne – mówi. – Wyobraź sobie tylko! Dziecko twojej przyjaciółki znika z twojej winy. Prawdziwy dramat.

Ale Joanne nie potrafi sobie tego wyobrazić, bo nie ma dzieci. Chciała je mieć, ale nie udało się. Słyszała, że pewna kobieta z Windermere zapłaciła za sztuczne zapłodnienie w klinice w Cheshire.

– Sztuczne zapłodnienie? – zdumiała się Jackie, kiedy Joanne powiedziała jej o tym. – Nie mogła po prostu wyjść na miasto i dać się komuś zerznąć?

Syn Jackie pracuje za granicą. W Dubaju. Wyjechał po zeszłorocznych kłopotach i tylko sporadycznie kontaktuje się z matką. Jackie bardzo cierpi z tego powodu, ale nigdy się nie skarży. Za bardzo wstydzi się przeszłości.

Joanne otwiera piecyk i stawia talerz na tacy. Zje kolację przed telewizorem, oglądając *Emmerdale*. Jackie wyjmuje wino z lodówki. Oficjalnie ogranicza się do połowy butelki na wieczór (ze względu na kalorie), ale zwykle wypija też drugą połowę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jackie patrzy na Joanne.

– Myślisz, że to ten sam zboczeniec, który zgwałcił dziewczynkę odnanioną w Bowness? Tak sądzisz?

– Braliśmy pod uwagę tę hipotezę, ale tamtą dziewczynę przetrzymywał tylko przez

kilka godzin... Potem ją wypuścił.

– Chcesz powiedzieć, że ta już powinna wrócić?

## ROZDZIAŁ 14

Czuję się tak, jakbyśmy trafili do innego świata. Świata tak nieznanego i ponurego, że nie wiemy, jak w nim przetrwać.

Joe, ja i troje dzieci siedzimy przy kuchennym stole. Chłopcy, najmłodszy, jedzą w pośpiechu, bo kto pierwszy skończy, będzie mógł przejąć PlayStation. Wyczuwają ciężką atmosferę i chcą jak najszybciej uciec.

Sally i ja grzebiemy apatycznie w jedzeniu na naszych talerzach. Nie chce nam się jeść. Joe jest głodny, ale milczy. Przez całe popołudnie szukał Lucindy na mrozie, a za godzinę znów wychodzi. Będą kontynuować poszukiwania jeszcze przez kilka godzin. Dołączyło do nich górskie pogotowie ratunkowe, mają przyprowadzić psy, owczarki, które potrafią odnajdywać ciała ukryte pod śniegiem i w górskich szczelinach. Pamiętam, że niedawno wrzuciłam dla nich jakieś pieniądze do puszki. Podobnie jak wszystkie organizacje charytatywne ciągle mają kłopoty finansowe.

Sally opowiedziała pokrótce o przesłuchaniu. Mówiła, że policjant, który z nią rozmawiał, był miły. Odetchnęła z ulgą, kiedy poprosił ją, by powiedziała mu tylko, co pamięta z tamtego dnia. Pewnie bała się, że zostanie potępiona, obwiniona o zaginięcie Lucindy.

Wyczuwam jednak, że nie mówi wszystkiego. Dusi coś w sobie, a ja czekam tylko, aż Joe wyjdzie z domu, żeby to z niej wyciągnąć. Tak już mam z Sally. Wystarczy, że na nią spojrzę, i już wiem, że coś jest nie tak. Ale czekam. Nauczyłam się już, że tak jest najlepiej. Mogę zapytać, co w szkole. „Jakieś ciekawe plotki?” – rzucam, a ona zawsze zaprzecza. Ale później, kiedy sprzątam po kolacji i przygotowuję kanapki na następny dzień, przychodzi do kuchni. Wystarczy ją lekko zachęcić, a sama o wszystkim opowie.

Jednak jeśli chcę się czegoś dowiedzieć, nie wolno mi robić jednej rzeczy – osądzać



jej przyjaciółek. Gdybym wypowiedziała choć jedną obraźliwą uwagę pod ich adresem, gdybym choć raz je skrytykowała, znów zamknęłyby się w sobie. Jest niesamowicie lojalna. Postępuję więc ostrożnie. I słucham.

Dziś kolacja nie była szczególnie wymyślna – kawałki kurczaka w panierce, frytki, trochę fasoli. W tych okolicznościach nie byłam w stanie przygotować niczego więcej. Sally zrzuca resztki frytek do psich misek. Widzę, jak wybiera dwie i przekłada je do sąsiedniej miski, by każdy z psiaków miał tyle samo. Joe poszedł do drewnutni, żeby donieść nam drewna na wieczór. Sally odwraca się w końcu do mnie.

– Mamo?

– Tak?

– Myślisz, że Lucinda mogła z kimś uciec? No wiesz, celowo?

„Uważaj” – nakazuję sobie w myślach. „Dobrze to rozegraj”.

Staram się odpowiadać spokojnym, beznamiętnym tonem.

– Dlaczego o to pytasz?

– Tak sobie tylko pomyślałam... No wiesz, nie jest już małym dzieckiem, więc chyba nie tak łatwo ją porwać.

Przechyliłam głowę na bok, jakbym zastanawiała się nad jej słowami, podczas gdy w rzeczywistości myślę: „Wiesz coś? Powiedz mi. Co wiesz?”.

– Masz rację – odpowiadam. – Trudno byłoby uprowadzić Lucinę w biały dzień wbrew jej woli, ale nie wydaje mi się, żeby tak się stało. Myślę, że gdyby ktoś chciał zwabić Lucinę do samochodu, zrobiłby to w subtelniejszy sposób.

– Na przykład jak?

– Cóż, zwykle porywacz używa podstępów.

– Ale Lucinda nie jest głupia. Nie wsiadłaby do obcego samochodu, nawet gdyby kierowca zapewnił, że zna jej mamę albo coś w tym rodzaju.

Wiem, do czego zmierza, bo przed takimi właśnie rzeczami ostrzegałam moje dzieciaki, kiedy były małe. Przychodzi mi do głowy myśl, że od dawna nie rozmawiałam o tym z Samem. A chłopcy są durni. Nie słuchają tego, co się do nich mówi. Trzeba im ciągle o wszystkim przypominać.

Mówię do nich:

– Nawet jeśli ktoś ci powie, że zna twoją mamę, nie pójdziesz z nim, jasne? Nawet jeśli powie: „Znam twoją mamę, nazywa się Lisa i poprosiła mnie, żebym zabrał cię dziś ze szkoły”, nigdy, przenigdy z nim nie pojedziecie. Poszukacie wtedy nauczyciela, jasne?

Patrzą na mnie z powagą, a ja myślę: „Tak, dotarło do nich. Chyba zrozumieli”.

Ale potem ich twarze się zmieniają, w oku pojawia się błysk podniecenia, po czym oświadczają z przekonaniem:

– Bez obawy, mamó, bo gdybym wszedł do tego samochodu, walnąłbym go! Przywalił mu! Doprowadził do wypadku! Nigdy by mnie nie złapał, bo jestem bardzo, bardzo szybki i...

Wtedy załamuję ręce. Bo moje dzieci żyją w świecie fantazji.

Zostawiam naczynia i odwracam się do Sally.

– Nastolatki nie da się tak łatwo oszukać, Sal. Taki człowiek rozmawia z nią, schlebia jej i... – Zastanawiam się, jak to powiedzieć, by mnie zrozumiała. – Taki facet będzie udawał, że wpadła mu w oko, żeby pomyślała: „Podobam mu się”. Jest starszy, a dziewczynie zwykle brakuje pewności siebie, więc daje się nabrać. Wierzy w to, co mówi jej ten mężczyzna.

Nie mówię, że porywaczom naprawdę podobają się nastolatki, że to nie jest tylko wybieg.

Sally kiwa głową.

– Rozumiem – mówi cicho.

Kładę jej dłoń na ramieniu.

– Kocham cię, Sal – mówię. Widzę, że odwraca głowę i próbuje powstrzymać łzy, które napływają jej do oczu. – Nie przejmuj się – dodaję. – Masz prawo do smutku.

Wydaje się taka młoda i bezbronna, że mam ochotę przytulić ją mocno, chronić przed całym złem. Jej świat zmienił się nie do poznania i...

– Mamó, właśnie tak to wyglądało! – wybucha nagłym płaczem. – Lucinda... ten mężczyzna rozmawiał z nią po lekcjach, na drodze. Powiedziała, że chce się z nim spotkać.

– Że co chciała zrobić? – pytam, zszokowana.

– Nie wiem!

Siadam ciężko na krześle, z trudem łapię oddech.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś? Dlaczego to zataiłaś? Przecież wiesz, że nie powinnaś. Chryste, Sally, czy w ogóle słuchałaś, co do ciebie mówiłam?

– Tak, ale...

– Ale co?

– Lucinda nie chciała, żeby ktoś się dowiedział. Żeby jej mama...

– Jezu, Sally, to jest ważniejsze. To jest ważniejsze niż dotrzymanie obietnicy.

Chyba sama rozumiesz, prawda?

Płacze coraz głośniej.

– Nie krzycz na mnie.

Wraca Joe.

– Co się dzieje?

Odwracam się do niego.

– Nie razie nic nie mów. Zostań tam, gdzie stoisz.

Zatrzymuje się w pół kroku, jakby przyrośnięty do podłogi. Trzyma w dłoni duże plastikowe wiadro wypełnione szczapami.

– Co się stało? – pyta cicho.

– Lucinda spotykała się z jakimś mężczyzną, a Sally o tym wiedziała.

– Powiedziałaś policji? – pyta Joe.

– Nie – kręci przecząco głową moja córka.

– Co?! – wrzeszczę. – Co się z tobą dzieje?

– Nie pytali mnie o to! Nie pytali, a ja nie chciałam się z tym wyrywać, bo jej mama o niczym nie wie i może mieć do mnie pretensje, jeśli...

– Może mieć do ciebie pretensje? Sally, Lucinda prawdopodobnie nie żyje. Nie żyje. Rozumiesz to? Nikt nie miałby do ciebie najmniejszych pretensji. Choć mogą mieć teraz...

– Dość – mówi Joe, a ja gromię go spojrzeniem.

– Nie broń jej. Powinna powiedzieć o tym wcześniej.

– A co by to zmieniło? – pyta.

– Przede wszystkim nikt nie organizowałby aż trzech ekip poszukiwawczych. Ty...

– dodaję, wskazując na niego palcem – nie traciłbyś czasu na włóczenie się na mrozie po lesie, bo wszyscy dobrze byśmy wiedzieli, że na pewno jej tam nie ma. – Zamykam oczy. – Kurwa – mówię dobitnie. – Kurwa.

Sally szłocha żałościwie, wiem, że powinnam przestać, ale po prostu nie mogę uwierzyć, że była na tyle głupia, by zataić tak ważną informację.

Mierzę ją ostrym spojrzeniem.

– Podaj mi telefon. Zadzwoń do Kate.

Joe odstawia w końcu wiadro z drewnem.

– Poczekaj – mówi.

– Dlaczego? Powinna o tym wiedzieć.

– Zadzwoń najpierw na policję, do tej detektyw. Porozmawiaj najpierw z nią, a dopiero potem z Kate.

Dzwonię do detektyw Aspinall, ale włącza się poczta głosowa.

– Mówi Lisa Kallisto. Proszę do mnie oddzwonić, gdy odbierze pani tę wiadomość.

Potem biorę głęboki wdech i patrzę na Sally. Unika mojego wzroku.

– Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś, Sal?

Widzę, jak drżą jej ramiona.

– Bo nie zawsze jest tak, jak ci się wydaje – chlipie. – Myślisz, że ludzie są tacy jak my, że wszystkie dziewczyny są takie jak ja... A to nieprawda.

– Nie wiem, co masz na myśli... Wyjaśnij mi, o co ci chodzi.

Zerka na Joego i przygryza wargę.

– Wolałabyś, żeby nie było przy tym taty?

Kiwa głową.

Zerkam znacząco na Joego, a on tylko wzrusza ramionami, bo nie ma wyboru.

Wychodzi, a ja mówię:

– No dobrze, powiedz mi teraz wszystko, nie będę się złościć. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. Po prostu jestem zdenerwowana. I boję się o ciebie, Sally. Dlatego tak się wkurzyłam.

– Myślisz, że skoro nie mam chłopaka i żadna z moich przyjaciółek nie ma chłopaka, to wszystkie dziewczyny w szkole są niewinne. A nie są. Naprawdę, mam.

– Kochanie, wiem o tym. Trzynastolatki bywają bardzo różne. Tak samo było w czasach, gdy ja chodziłam do szkoły. Niektóre uprawiają już seks, ale większość nie.

Sally kuli się odruchowo, gdy wypowiadam słowo „seks”. Przez cały miniony rok zastanawiałam się, jak o tym mówić, ale wszystkie inne określenia wydawały mi się absurdalne, więc zostałam przy najprostszym.

Sally siąka nosem.

– Jesteśmy cały czas pod presją – chlipie. – Chłopcy wyśmiewają nas, jeśli jeszcze tego nie robiłyśmy, mówią, że jesteśmy... – Przerzywa raptownie, po czym dodaje: – Ciężko mi, mam. Czasami bardzo ciężko. Oni naprawdę potrafią zatruć życie.

Cięzka dola nastolatki. Nikt nie może ich zrozumieć, a już na pewno nie matka.

– Ciągłe nam dokuczają. Mówili, że Lucinda jest oziębła i świętoszkowata, a ona tego nie cierpi.

Rozumiem, dlaczego chłopcy przyczepili się do Lucindy. Czasami rzeczywiście wydaje się wyniosła i świętsza od papieża. Mówi też inaczej niż inne dzieciaki – częściowo dlatego, że Kate wysyłała ją do prywatnej szkoły podstawowej, a częściowo ze względu na Guya. Guy pochodzi z południa, więc Lucinda i Fergus przeciągają trochę samogłoski i naśladują jego akcent, do czego zachęca ich Kate.

Tłumaczę Sally, że ci chłopcy, ci okropni, nieznośni chłopcy, mniej więcej za rok będą chcieli się z nią przespać, a tymi złośliwościami chcą zwrócić na siebie jej uwagę. Ale Sally z miejsca odrzuca tę sugestię i patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Zwariowałaś?”.

Sięgam po telefon i dzwonię do Kate.

Wybieram numer. Sally stoi obok mnie, zasmucona.

– Powiedz jej, że bardzo mi przykro – szepcze.

– Oczywiście. – Kiwam głową.

Ale telefon dzwoni i dzwoni.

– Jak to możliwe, że nikt nie odbiera u Kate?! – wołam do Joego. Wraca z salonu,

przynosząc ze sobą zapach sztucznej podpałki i dymu.

– Poczekaj trochę – mówi. – Pewnie rozmawiają z grupą poszukiwawczą albo z policją.

Tak robię. Czekam, aż minie trzydzieści sygnałów. Potem dzwonię na jej komórkę. Też nikt nie odbiera.

Obserwuje je wystarczająco długo, by wiedzieć, co podnieca go najbardziej, już po kilku pierwszych spojrzeniach. Dokonuje oceny niemal natychmiast.

Czasami różni je tak wiele, jakby nie należały do tego samego gatunku. Przypuszcza, że przypomina to trochę rasy psów. Każda jest inna. Wysokie, niskie, grube, szczupłe, w różnych odcieniach czerni i bieli.

To ciekawe, że człowiek nie wie, co naprawdę go kręci, dopóki tego nie spróbuje. Najpierw wpadł na pomysł, ale dopiero gdy zaczął go realizować, dokładnie określił swoje preferencje. Kto wie, może za jakiś czas znów je zmieni? Może dla odmiany spróbuje którejś z tych długonogich białych dziewczyn. Przekona się, jak to jest wejść pomiędzy te miękkie, białe uda. Sprawdzi, czy są tak zimne, jak się wydają.

Ale to później. Na razie dokonał już wyboru. Prawdę mówiąc, poszło mu zaskakująco łatwo. Jakby na niego czekała. Żeby z nim porozmawiać, poznać go. Początkowo była trochę powściągliwa, ale to mu odpowiadało. Nigdy nie przepadał za hałaśliwymi dziewczynami: odstręczało go ich nieokrzesanie, ich język wydawał mu się odrażający. Czuł się przy nich brudny, splugawiony, miał ochotę natychmiast wrócić do domu i wziąć prysznic.

W pracy poznał wiele takich kobiet. Pracownice sezonowe z południa, którym wydawało się, że jeśli z nim trochę poplirtują, wpuści je natychmiast do łóżka. Budziły w nim odrazę. Stały przy nim i trajkotały, oparte o grzejniki, podczas gdy on sprawdzał ich pracę. „Może to ciepło ogrzeje mi tyłek!” – mówiły, zanosząc się śmiechem, a on musiał odwracać wzrok.

Jedna z nich zasadziła się na niego w zeszłym tygodniu. Chelseigh z Crewe. Przyszła do niego i zaczęła obgryzać paznokcie, podczas gdy próbował czytać. Mimowolnie spojrzał na spuchnięte czubki jej palców, na ślady krwi w miejscach, gdzie obgryzła paznokcie do mięsa, i miał ochotę uderzyć ją pięścią w twarz. Powstrzymał się, bo po pierwsze musiałby jej dotknąć (a brzydził się), a po drugie pozwalał sobie na utratę samokontroli tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

*Poprosiła go, by przyszedł do jej pokoju i obejrzał plamę wilgoci na suficie. Kiedy tam dotarli, usiadła na łóżku i zaczęła mu zadawać różne pytania, przesuwając przy tym językiem po dolnej wardze, jakby miała nadzieję, że rzuci się na nią. Im bardziej ją ignorował, tym ordynarniej i bardziej wyzywająco się zachowywała.*

*Chelseigh powiedziała, że go lubi, bo jest nieśmiały. Wypowiadając słowo „nieśmiały”, rozchyliła usta, a potem ułożyła je w dziobek. Pomyślał o wszystkich tych głupich, słynnych kobietach, które robiły taką samą minę, pozując do zdjęć. Co chciały w ten sposób pokazać? Że w każdej chwili gotowe są komuś obciągnąć? Żałosne.*

*Chelseigh wzięła jego niechęć za nieśmiałość. Bo kiedy był tam, gdzie chciał i z kim chciał, nie był wcale nieśmiały, lecz czarujący.*

*Wystarczyło tylko, by opuścić szybę w samochodzie, zwrócił na siebie ich uwagę i...*



## ROZDZIAŁ 15

Układam dzieci do łóżek. Chłopcy śpią w jednym pokoju, a kiedy do nich wchodzę, muszę lawirować między rozrzuconymi na podłodze śmieciami i zabawkami. Na środku leży konsola Wii, wszędzie walają się klocki Lego, płyty DVD z odcinkami *Simpsonów* (oczywiście luzem, bez opakowań), torebki po chipsach. Na łóżku Jamesa zalega wilgotny ręcznik.

– Dobranoc, kochanie – mówię do niego. Nie wolno mi go całować.

– Dobranoc, mamó.

Pochylam się i poprawiam kołdrę Sama na niższym łóżku. Ma mocno zaciśnięte powieki i uśmiecha się szeroko. Ma jeszcze wszystkie zęby mleczne, mocno już starte od ciągłego zgrzytania.

– Mamó – mówi, nie otwierając oczu. – Znasz jakieś gry z tabliczką mnożenia?

– Kilka – odpowiadam, po czym ściskam go i cmokam w policzek. Ma jeszcze pyzată dziecinną buźkę i wyrywa się, gdy całuję go zbyt mocno.

Przechodzę do pokoju Sally, która leży na boku, wciąż ubrana. Jej twarz mokra jest od łez, maluje się na niej wyraz kompletnej rozpacz.

– Sal, czas kłaść się spać.

Kiwa głową, ale się nie rusza.

– Boję się, mamó – mówi.

Odpowiadam, że wiem, i tulę ją do siebie

Kiedy już leży w łóżku, idę na dół i ponownie próbuję się dodzwonić do Kate, ale nadal nie odbiera. Wracam myślami do naszej ostatniej rozmowy i próbuję sobie przypomnieć, czy wspominała, że wybiera się gdzieś wieczorem. Znow ogarnia mnie podziw dla tej niezwyklej osoby.

Jak to możliwe, że nie obwinia mnie o zaginięcie Lucindy? Skąd czerpie siłę, która

pozwała jej nie tylko widywać się ze mną, ale też zapewniać, że nie powinnam czuć się winna?

Nie po raz pierwszy Kate pokazała mi, jaka jest wielkoduszna. Nie po raz pierwszy pokazała, jak jesteśmy prymitywni w porównaniu z nią.

Nie rozmawiałam z nią o tamtym wieczorze. Nie wspominałyśmy o tym, że widziała mnie z mężem swojej siostry na podłodze łazienki, po tamtej okropnej kolacji.

Nigdy nie poruszyła tego tematu i nie prosiła o wyjaśnienia.

Początkowo to ja koniecznie chciałam się wytłumaczyć.

Czułam, że po prostu muszę jej wyjaśnić, jak do tego doszło, dlaczego pozwoliłam na to Adamowi. Ale za każdym razem, gdy zostałyśmy same i próbowałam poruszyć ten temat, ona robiła sprytne uniki. Nie da się tego inaczej ująć: nie pozwalała mi wytłumaczyć się z moich poczynań.

Po jakimś czasie zrezygnowałam. Po kilku miesiącach zrozumiałam, że ani ona, ani Adam nie chcą przywoływać tamtej nocy, i podobnie jak oni nauczyłam się o tym nie wspominać. Skorzystałam z subtelnych sugestii Kate, które zdawały się mówić: Zostaw to w spokoju.

W końcu okazało się jednak, że nie potrafię. Nie pozwalały mi na to wstyd i poczucie winy. Joe wyczuwał, że coś jest nie tak, ale usprawiedliwiał to zmęczeniem. Wiele razy byłam bliska wyznania mu wszystkiego. Ale kiedy już myślałam, że dłużej tego nie znoję, ostatecznie się nie przyznałam.

Chętnie tłumaczę sobie, że milczała, bo myśl o zrujnowaniu naszego małżeństwa była dla mnie zbyt bolesna, co do pewnego stopnia pokrywało się z prawdą. Jednak przede wszystkim chodziło o to, że byłam tchórzem i upiekło mi się, bo moja przyjaciółka z jakiegoś powodu nie zamierzała mnie wydać.

W końcu jednak zrozumiałam, że naprawdę *muszę* porozmawiać o tym z Kate. Rok temu poszłyśmy razem na galę pływacką. Nie wiem, co mnie napadło, ale po prostu nie mogłam tego dłużej dusić w sobie.

Na widowni panował ogłuszający hałas. Zewsząd otaczali nas rodzice, którzy głośno dopingowali swoje sześćioletnie pociechy. Dzieciaki patrzyły na nas zza

zaparowanych okularków, a ich chude, blade kończyny nabrały w wilgotnym powietrzu niebieskawego odcienia.

Odwróciłam się do Kate.

– Dlaczego nie powiedziałaś Alexie o tym, co się stało?

– O czym?

– Przecież wiesz. Tamtego wieczora przyszedliśmy do was z Joem na kolację, a potem zobaczyłaś mnie z Adamem w łazience. – Kate wyraźnie spoważniała, nadal jednak nie odrywała wzroku od basenu. – Za każdym razem, kiedy próbuję z tobą o tym porozmawiać, wykręcasz się. – Przyciszyłam głos i nachyliłam się do jej ucha. – Co wtedy o mnie pomyślałaś, Kate?

– Pomyślałam, że jesteś samotna – odpowiedziała krótko.

– To wszystko?

Przechyliła głowę.

– Naprawdę tylko to przyszło ci do głowy?

Z ociąganiem dodała:

– Myślałam o tym, że moja siostra tyranizowała cię niemal przez cały wieczór, odbierała ci pewność siebie, to samo robiła ze swoim mężem... więc oboje szukaliście pocieszenia i znaleźliście je w sobie nawzajem.

Przez chwilę wpatrywałam się w nią zdumiona, że tak spokojnie i rzeczowo mówi o tamtym zajściu.

– Dlaczego nas nie wydałaś?

– Bo nie mogłabym patrzeć, jak przez jedną chwilę słabości rozpada się wszystko, co stworzyliście. Nie mogłam pozwolić, by jeden błąd doprowadził do rozpadu dwóch rodzin, zresztą nie ja powinnam podejmować takie decyzje. Gdyby którekolwiek z was, ty lub Adam, postanowiło to zrobić, byłby to wasz wybór. Ale nie chciałam, żebyście potem myśleli, że to moja wina.

Odwróciła się z powrotem w stronę basenu.

– Dzięki – powiedziałam słabym głosem. Nigdy więcej nie rozmawiałyśmy na ten temat.

Spoglądałam na zegarek i widzę, że jest już po dziewiątej. Podnoszę słuchawkę i raz

jeszcze próbuję zadzwonić do Kate. W końcu odbiera i mówi, że musiała pojechać do Booths kupić coś na kolację.

– Do Booths? – powtarzam z niedowierzaniem. – Pojechałaś do supermarketu? Dziś?

– Tak, Liso. Musimy coś jeść.

– Oczywiście – mamroczę w odpowiedzi. – Powinnam była coś przywieźć – dodaję, co brzmi jak żalosny gest, którym rzeczywiście jest. Kate nie zwraca na to uwagi, jakbym nie zawodziła jej w każdej możliwej kwestii. Z drugiej jednak strony zastanawiam się, co mogłabym jej dać? Kurczaka w panierce? Kate nie podałyby tego swojej rodzinie, bez względu na okoliczności.

Wzdycham przeciągle.

– Kate, mam ci coś ważnego do powiedzenia – zaczynam ostrożnie, a kiedy nie reaguje, przechodzę do rzeczy. – Sally powiedziała nam, że jej zdaniem Lucinda mogła z kimś uciec. Z kimś starszym. Z mężczyzną.

Nadal milczy.

– Kate, jesteś tam?

– Jestem – odpowiada, a ja wyraźnie słyszę strach w jej głosie.

– Dzwoniłam do detektyw Aspinall, zostawiłam jej wiadomość na poczcie głosowej. Pewnie też próbowała cię złapać.

– Tak – odpowiada krótko.

Wyobrażam sobie Kate stojącą w eleganckim przedpokoju, przy stoliku z telefonem. Na ścianach wiszą zdjęcia Lucindy i Fergus, widzę oczami wyobraźni, jak na nie patrzy i czuje się tak, jakby ktoś wyrywał jej wnętrze.

– Tak mi przykro, Kate. Nasza rodzina okropnie cię zawiodła. Nie potrafię nawet opisać, jak źle się z tym czuję i jak bardzo chciałabym ci jakoś pomóc.

Słyszę, jak Kate bierze głęboki oddech.

– Dlaczego Sally nie powiedziała nam o tym wcześniej?

– Bała się. Bała się, że jeśli się dowiesz, będzie jeszcze gorzej. Lucinda kazała jej obiecać, że nikomu się nie wygada. Jest jej ogromnie przykro, Kate. Już nakrzyczałam na nią, ale trochę na to za późno.

– Nie bądź dla niej zbyt surowa... ja... ja... chyba już o tym wiedziałam.

– Naprawdę? – mówię cicho. – Skąd?

– Sama nie wiem. Czasami po prostu człowiek czegoś się domyśla, prawda? Wyczuwasz, że coś jest nie tak, że nadchodzi coś niedobrego. Pytałam ją kilka razy, czy wszystko w porządku, ale nie wyciągałam z niej na siłę...

– Tak, z nimi to nie działa... Im mocniej naciskasz, tym bardziej się zamykają.

Przytakuje.

– Chyba czekałam, aż sama mi powie, co się z nią dzieje i... – Głos Kate drży lekko, gdy przypomina sobie tamtą sytuację. – Boże... Lucinda i ja naprawdę jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Nie powinnam była czekać, prawda? Gdyby chodziło o Fergusa, nie dałabym mu spokoju i wydusiła to z niego. Boże! – powtarza z płaczem.

– Kate? Jesteś sama? Chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

– Nie – odpowiada. – Jest ze mną Guy. Nie dołączył do ekipy poszukiwawczej. Nie jest w stanie. Boi się, że ją znajdzie. Wiem, że tak właśnie myśli. Poza tym niedługo wraca Alexa. Pojechała tylko zrobić kolację Adamowi i położyć dzieci spać. Wróci tu na noc. Bogu dzięki, że może zająć się Fergusem. Ja nie dałabym rady, nie dzisiaj.

Kate milknie, a ja słyszę jej nierówny oddech.

– Liso? – odzywa się po chwili.

– Jestem.

– Rozłączę się teraz, dobrze? Muszę sobie popłakać.

– Jasne – mówię, a w słuchawce zapada cisza.

Pocieram twarz dłońmi i rozglądam się dokoła. Naprzeciwko na sofie śpią dwa psy. Na fotelu, na koszuli Joego, leży zwinięty w kłębek kot. Włączam telewizję, by choć na chwilę oderwać się od rzeczywistości. Przełączam na nagrywarkę Sky Plus.

Widzę, że Joe znów nagrał *Kes*. Dwukrotnie. Jest też *Łowca androidów – wersja reżyserska* – coś, co ogląda niemal co miesiąc. Dwa odcinki serialu dokumentalnego *Naziści: ostrzeżenie historii*. I kilka starych meczów piłkarskich z kanału ESPN.

Uśmiecham się przelotnie.

Przypominam sobie, jak Kate przyszła do nas kiedyś i zobaczyła, jak Joe ogląda

mecz Manchesteru United z Liverpoolem z 1977 roku.

– To stary mecz? – spytała, niebotycznie zdumiona, i spojrzała na Joego tak, jakby miał nierówno pod sufitem. – Dlaczego oglądasz stare mecze? Przecież wiesz, kto wygrał.

Joe tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

Zmieniam kanał i serce zamiera mi w piersi, gdy widzę Kate i Guya w wiadomościach. Odruchowo wyłączam telewizor, bo nie mogę tego oglądać. Po prostu nie jestem w stanie.

Podnoszę się, unikając wzrokiem telewizora, bo wiem, że oni wciąż tam są, i przechodzę do kuchni. Zwieszam głowę nad zlewem i zaczynam się modlić. Modłę się, bym do końca życia nie musiała przeproszać Kate, bo jej córka nigdy nie wróciła do domu.

Potem robię jedyną rzecz, którą *mogę* jeszcze zrobić. Piję.

DZIEŃ DRUGI  
ŚRODA

## ROZDZIAŁ 16

Wczoraj po przebudzeniu użalałam się nad sobą, bo byłam zmęczona.

Tak właśnie. Wszystkie moje zmartwienia wywodziły się z tego, że byłam zmęczona.

– Jezu... – szepczę w poduszkę.

Słyszę kroki na schodach. Brzęk naczyń. W drzwiach pojawia się Joe, który niesie moje śniadanie.

– Proszę bardzo – mówi. – Oto tost na podkładzie z talerza.

Uśmiecham się słabo.

Joe nienawidzi wszystkich tych programów kulinarnych, którymi bombarduje nas telewizja, tych wymyślnych dań, których i tak nigdy nie ugotujemy.

Szczególnie irytują go sceny, w których Nigella udaje, że dobiera się do swojej lodówki w środku nocy. Czy mamy wtedy myśleć, że jej jedzenie jest takie smaczne, a ona z upodobaniem pielęgnuje swoje krągłości, że po prostu nie może się powstrzymać? Joe ogląda tę farsę i mówi: „Człowiek zesrałby się w gacie ze strachu, gdyby zobaczył, że w środku nocy w jego kuchni siedzi kamerzysta”.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Kiepsko – odpowiadam. – Wypiłam za dużo wina. Nie mogłam się powstrzymać.

O której wróciłeś?

– Po dwunastej. June zrobiła nam wszystkim gulasz i poczęstowała piwem.

June to właścicielka pubu w Troutbeck.

– To miło z jej strony – mówię.

– Tak, po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że właściwie stwarzamy tylko pozory, więc daliśmy sobie spokój.

– Z powodu tego, co powiedziała Sal?



Kiwa głową.

– Tak. Nikt tak naprawdę nie wierzy, że znajdziemy tu Lucinę. Ludzie przychodzą tylko ze względu na Guya i Kate, żeby okazać im wsparcie.

Próbuję usiąść prosto, ale przejmujący ból głowy każe mi się położyć z powrotem.

– Nie podnoś się – mówi Joe. – Jest dopiero wpół do siódmej, mamy jeszcze mnóstwo czasu. Idziesz dziś do pracy?

– Muszę.

– Ja obudzę dzieciaki. Możesz spokojnie poleżeć jeszcze pół godziny.

– Joe?

– Hm?

– Co mówią ludzie? Mówią, że to moja wina?

Wzrusza ramionami.

– Nawet jeśli mówią, to nie przy mnie.

– Pewnie tak... Joe?

– Co takiego?

– Myślałam, że do tej pory wróci. Naprawdę myślałam, że będzie już w domu.

Uśmiecha się do mnie ze smutkiem.

– Ja też, kochanie.

Zeszłego wieczora piłam, dopóki nie miałam całkowitej pewności, że nie wypiję nic więcej. Chciałam być pewna, że od razu zasnę. Nie zostawiłam miejsca na myślenie. Chciałam, żeby mój mózg po prostu się wyłączył.

Oczywiście teraz za to płacę.

Robi mi się niedobrze, jestem zbyt rozedrgana, by się poruszyć. Boję się, że jeśli wstanę, natychmiast się przewrócę.

Jeszcze przez chwilę leżę w łóżku. Może nie będzie źle. Może mi się jakoś upiecze. Dobrze wiem, że się okłamuję, i niemal mnie to bawi. Moje ciało musi się oczyścić, czuję to. Nagle robi mi się gorąco. Biegnę do łazienki, odbijając się po drodze od ściany.

Dwie godziny później wyruszam do pracy. Joe odwozi Sama do szkoły, a potem jedzie do szpitala Lancaster, żeby zabrać jednego ze swoich stałych klientów na jakiś

zabieg. Powiedziałam mu, że po drodze wpadnę do supermarketu Asda w Kendal i kupię coś na kolację. Jak mówiła wczoraj Kate, musimy coś jeść.

Myślałam, że Sally będzie błagać, żebym pozwoliła jej zostać dziś w domu, ale tego nie robiła. Wydawało się, że jest w lepszej formie, choć nie była w stanie zjeść śniadania. Chyba potrzebuje towarzystwa przyjaciółek. Musi pogadać z nimi, a nie ze mną. Próbowалам wyciągnąć od niej nieco więcej, chciałam, żeby powiedziała mi, jak zachowywała się ostatnio Lucinda, ale zamknęła się w sobie. Nie wiem, czy ukrywa coś jeszcze, czy też po prostu nie chce o tym rozmawiać.

Jadę pod słońce. Dzień jest nieprzyzwoicie pogodny i jasny. Wszystko pokrywa śnieg, wciąż czysty i biały, nawet przy drodze. W innych okolicznościach taki poranek napełniałby mnie radością, byłabym szczęśliwa, że mieszkam w tak pięknym miejscu. Słuchałabym prognozy pogody dla tych biedaków, którzy tkwią w londyńskich korkach, i prowadziłabym samochód z uśmiechem na ustach. Dziś jednak nie dostrzegam tego piękna. Dziś słońce sprawia mi ból.

Na przedniej szybie jest pełno soli, a nie mam już płynu do spryskiwaczy. Trzykrotnie muszę się zatrzymać i przemyć szybę wodą mineralną z butelki, którą zabrałam ze sobą, by się nawodnić. Modlę się, by nie zatrzymała mnie policja. Nie dość, że jadę z zapaskudzoną szybą, to na dodatek śmierdzą jak gorzelnia. Jeśli poczują mój oddech, każą dmuchać w alkomat i na zawsze zaszufadkują jako jedną z tych matek pijaczek, które siadają za kierownicą, choć nie wytrzeźwiały jeszcze po minionej nocy.

Choć prowadzę w rękawiczkach, okropnie marzną mi dłonie. Chłód przenika wszystko. Sączy się przez kamienne ściany naszych domów, przez karoserię auta.

Dojeżdżam do Asdy o ósmej czterdzieści pięć. Parking zapchany jest autami klientów, którzy robią już zakupy na święta. Widzę młodą, może trzydziestoletnią kobietę, wysiadającą z suzuki vitara, które zaparkowała na miejscu dla rodzica z dzieckiem. Nie ma dzieci, a mnie kusi, żeby wjechać jej w tyłek. Patrzy na świat z obojętną wyższością. Wie, że postępuje źle, ale udaje, że jej to nie obchodzi.

W końcu znajduję wolne miejsce na parkingu, który wypełnia się tylko przed Bożym Narodzeniem lub Wielkanocą.

Nie mam żadnej listy, ale wiem, że chcę kupić gotowe dania, dużo gotowych dań.

Właśnie dlatego zboczyłam z trasy i pojechałam do Asdy. Tutaj wszystko jest tańsze. Nie mam siły, żeby kupować produkty i pichcić coś samodzielnie. Wybieram więc najłatwiejsze rozwiązanie. Mnóstwo gotowych dań i składników na jutrzejsze kanapki. To wystarczy. Joe zrobi większe zakupy w sobotę.

Widzę szczęśliwe matki obładowane sprawunkami na Boże Narodzenie. Niosą orzechy, suszone figi, daktyle, dwulitrowe butelki coli.

Przy chłodziarce, do której zmierzam, stoi matka z trójką małych dzieciaków w wózku. Zwykle w takiej sytuacji stanęłabym obok nich, uśmiechała się do dzieciaków, robiła do nich śmieszne miny. Zaczepiłabym matkę, mówiąc „Ma pani pełne ręce roboty” albo coś w tym rodzaju. Ale dzisiaj ledwie zauważam ich obecność. Myślę tylko o Lucindzie. Gdzie ona jest? I kim jest starszy mężczyzna, z którym rozmawiała?

Biorę trzy kormy z kurczakiem, curry dla Joego, do którego dołoży pewnie jeszcze trochę papryczek chili i dopiązę dla siebie.

Kiedy idę z Joem do restauracji, a kelner pyta: „Jak ostre ma być pana danie w skali od jeden do dziesięć?”, mój mąż odpowiada „Dwadzieścia”.

I zawsze zabiera ze sobą papryczki.

Kiedyś drażniło mnie, że doprawia wszystkie posiłki, które dla niego przygotowywałam. „Czy ty w ogóle czujesz jakiś smak?” – pytałam, zirytowana, że marnuje mój wysiłek. Teraz już się tym nie przejmuję – może z wyjątkiem sytuacji, gdy jesteśmy w towarzystwie, a mężczyźni chcą udowodnić, jacy to są twardzi, i licytują się, kto zje ostrzejsze danie (choć oczywiście nikt nie mówi tego otwarcie). To dziecinna zabawa. Podobna do „Jestem większym kibicem Manchesteru United niż ty”. Joe bierze udział w obu tych konkurencjach.

Zastanawiam się, dlaczego właściwie myślę o tych bzdurach, i płacę za zakupy w kasie samoobsługowej. Potem wrzucam rzeczy do torby i ruszam do wyjścia, gdy nagle pojawia się obok mnie ochroniarz i łapie mnie za rękę.

– Proszę tędy – mówi, trzymając mnie pod łokieć i prowadząc przed sobą.

Zatrzymuje się raptownie.

– Co pan wyprawia? – pytam z niedowierzaniem, ale on dalej ciągnie mnie za sobą, podobnie jak ja ciągnęłabym nieposłusznego, wystraszonego psa.

Pozwalam, by zaprowadził mnie do drzwi przy toalecie, pozbawionych tabliczki, brązowych drzwi, których nie zauważyłam nigdy wcześniej. Ludzie przystają i patrzą na nas. Niektórzy udają, że ich to nie interesuje, ale zerkają ukradkiem zza stojaków z gazetami i zgrzewek piwa Stella Artois przy wejściu. Inni otwarcie się gapią.

– Proszę mnie puścić – syczę do ochroniarza. – To jakaś pomyłka.

To potężny mężczyzna, czuję od niego kwaśną woń kilkudniowego potu. Milczy. Otwiera tylko drzwi i pokazuje, bym usiadła przy biurku, przy którym czeka już szczupły mężczyzna w garniturze. Właściwie to jeszcze chłopiec. Nosi koszulę ze zbyt szerokim kołnierzykiem i buty w takim samym rozmiarze jak mój dwunastoletni syn. Spogląda na mnie z nieskrywaną satysfakcją.

– Zechce mi pani podać swoje nazwisko i imię?

– Tylko jeśli wyjaśnicie mi, z jakiego powodu zostałam tu zaciągnięta i dlaczego zrobiliście ze mnie idiotkę.

– Podejrzewamy panią o kradzież.

Mam już wpaść we wściekłość, obrzucić go obelgami, ale powstrzymuję się w ostatniej chwili. Bo prawdę mówiąc, nie jestem w stanie dziś krzyknąć. Boli mnie głowa, czuję suchość w ustach i gdybym nie wiedziała, że piłam wczoraj w domu, byłabym pewna, że wycygałam od kogoś parę papierosów, i to mocnych.

Język przywiera mi do podniebienia, gdy pytam:

– Długo to potrwa?

Nie mówię tego ze złością. Raczej cicho i ze smutkiem, jakby rzeczywiście winna była kradzieży.

– Nie, jeśli będzie pani z nami współpracować, pani... ?

– Lisa Kallisto.

Zaciska usta i wskazuje na moje torby z zakupami.

– Proszę wyłożyć wszystko na biurko, zobaczymy, co tam jest.

Patrzę na niego ze znużeniem. W innych okolicznościach z satysfakcją myślałabym o tym, co nastąpi za moment, o przeprosinach, których wysłucham. Ale nie dziś.

Wstaję. Wyjmuję paczkę chipsów, chleb pełnoziarnisty – próbuję w ten sposób przemycić coś zdrowego do diety dzieciaków – paczkę wędzonej szynki, za którą przepadają koty.

Spoglądam na niego i podnoszę brwi.

– Zapłaciłam za to wszystko – mówię. – Chce pan sprawdzić paragon?

– To nie będzie konieczne. Proszę opróżnić drugą torbę, pani Kallisto.

Karton soku pomarańczowego (bez kawałków owoców), pięć gotowych dań. „To się robi męczące” – myślę, a potem...

– O cholera...

Wpatruję się z niedowierzaniem w blat biurka. Pochylam głowę i zakrywam twarz dłońmi.

– O cholera... – powtarzam.

Kiedy spoglądam na niego spomiędzy palców, on patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: No i co teraz?

Wtedy zaczynam się śmiać.

– Mnie to wcale nie śmieszy – mówi.

– Śmieszyłoby pana, gdyby był pan na moim miejscu.

Zapakowałam skarbonkę na datki stojącą obok kasy. Włożyłam ją do torby razem z innymi zakupami.

– To kolejna skarbonka, która zginęła w ostatnim czasie – mówi oficjalnym tonem.

– W zeszłym miesiącu skradziono dwie puszki, co jak nietrudno się domyślić, budzi głębokie oburzenie klientów tego sklepu. Zapewniam panią, że bardzo poważnie traktujemy tę sprawę. Ponieważ to już trzecia skarbonka, sprawą zajmie się policja, która przyjedzie tu wkrótce, by panią...

– To moja skarbonka – przerywam mu.

– Słucham?

– To moja skarbonka – powtarzam.

Odwracam żółtą puszkę tak, by widział napis.

– Schronisko dla zwierząt „Uratuj mnie”. Tam pracuję. Prowadzę to schronisko. Właśnie jadę do pracy.

Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Chyba rozumie pani, że musimy trzymać się procedur, a to bardzo poważne...

– Poważne? Ile tam może być? Cztery, może pięć funtów? Czy wyglądam na kogoś, kto chciałby to ukraść? Czy wyglądam na tak zdesperowaną, żebym... – Nie kończę zdania. Patrzę tylko na niego.

– Ludzie nie zawsze kradną dlatego, że czegoś potrzebują, pani Kallisto. Robią to, bo mają taką ochotę. Czasami to jedyny powód. Nie muszą wcale znajdować się w trudnej sytuacji. Proszę tylko pomyśleć o tym słynnym kucharzu Antonym Worrallu Thompsonie.

– Owszem – przyznaję. – Ale nie jestem Antonym Worralliem Thompsonem ani Winoną Ryder, ani żadną z osób, które może pan przywołać jako przykład kleptomanii. Jestem matką, która miała ostatnio kilka kiepskich dni, wypła zeszłego wieczora za dużo wina i nie myśli normalnie. Zapakowałam skarbonkę odruchowo, nawet tego nie zauważyłam. Przedwczoraj zaginęła córka mojej najlepszej przyjaciółki, więc może pan sobie tylko wyobrazić, co dzieje się w mojej głowie...

Wzdycha ciężko. Spogląda na ochroniarza, który zachowuje obojętną minę. Po chwili mówi:

– Może pani udowodnić, że pracuje w tym schronisku?

Rozpinam kurtkę. Pod spodem mam zieloną koszulkę polo z pomarańczowym nadrukiem w kształcie psiej łapy. Nad łapą znajduje się napis „Uratuj mnie!”, sporządzony nierównym dziecięcym pismem.

Chłopak nie wie, co robić. Najchętniej zasięgnąłby opinii zwierzchnika, ale nie chce wyjść na durnia.

– Proszę mnie posłuchać – mówię. – Naprawdę bardzo mi przykro, że tak się stało, ale nie jestem złodziejem, którego szukacie.

Zaciska zęby.

– Może pani odejść – rzuca.

Biorę do lewej ręki obie torby, stawiam kołnierz kurtki i mam już wychodzić, ale w ostatniej chwili biorę do ręki skarbonkę, podnoszę ją na wysokość oczu i potrząsam lekko.

– Wpadnę po nią w przyszłym tygodniu, dobrze? – pytam. – Przynieść kilka pustych?

Nie odpowiada. Wydaje się przybity.

Wychodzę ze sklepu, uśmiechając się triumfalnie.

Potem wsiadam do samochodu i wybucham płaczem.

## ROZDZIAŁ 17

Sierżant Ron Quigley z wydziału dochodzeniowo-śledczego siedzi na fotelu pasażera w fordzie mondeo Joanne i gryzie hamburgera.

Okruszki bułki spadają między siedzenia, w trudno dostępne miejsce przy hamulcu ręcznym. Jest dziewiąta dwadzieścia rano, a zapach mięsa przyprawia Joannę o mdłości.

– Jak możesz jeść wołowinę na śniadanie?

Ron wzrusza ramionami.

Poprzedniego wieczora Joanne i Jackie oglądały program o spożyciu alkoholu w Wielkiej Brytanii. Jego autorzy doszli do wniosku, że Brytyjczycy nie piją już okazjonalnie, lecz stale, na co dzień.

Joanne i Jackie spojrzały na siebie, a potem na dwie butelki po winie stojące na blacie stołu. Jackie powiedziała:

– Dla zdrowia powinno się wypijać dwa kieliszki wina dziennie. Dwie jednostki dziennie razy siedem, czyli czternaście tygodniowo. Nie przekraczamy normy. Czternaście jednostek to właśnie tyle, ile wolno pić kobietom.

Joanne zgodziła się z nią całym sercem.

Nie wspomniała jednak o butelkach, które wypijały w weekendy. Ani o bacardi breezer, które Jackie wlewała w siebie, nim dobrała się do wina.

Poza tym jedna butelka wina na głowę była niczym w porównaniu z tym, co Joanne widziała na ulicach Kendal w porze zamykania pubów: kobiety z trudem wytaczały się na chodnik, wymiotowały do pojemników na śmieci, większość – jeśli nie wszystkie – twierdziła, że ktoś dolał im za dużo alkoholu do drinków, podczas gdy w rzeczywistości były po prostu pijane w sztok.

Zdaniem Joanne wynikało to z faktu, że kobiety miały teraz więcej pieniędzy.



Kobiety z pokolenia jej mamy nie upijały się tak często, bo nie miały za co.

Lekarz w telewizji zapytał dziennikarkę, ile jednostek alkoholu zawiera jej zdaniem butelka wina.

– Sześć? – odpowiedziała dziennikarka.

Pokręcił głową.

– W butelce wina jest dziesięć jednostek alkoholu.

Joanne spojrzała znacząco na Jackie.

To oznaczało, że wypijały... Podniosła wzrok do sufitu i policzyła szybko... Cholera, siedemdziesiąt jednostek tygodniowo. Co najmniej.

– Zaczniemy się ograniczać – stwierdziła z zakłopotaniem Jackie.

Joanne zerka na Rona Quigleya.

– Ile pijesz, Ron? – pyta.

– Niedużo – odpowiada. – Mniej więcej tyle samo co większość. Żaden ze mnie pijak.

– A tak konkretnie?

– Pięć–sześć dużych piw dziennie, wieczorem. I butelkę wina ze starą w weekend. Wczoraj wieczorem wypłem trochę więcej, dlatego musiałem zjeść coś konkretnego na śniadanie.

Wpycha resztę hamburgera do ust. Kilka okruszków osiada na jego wąsach, kołyszą się przy każdym oddechu.

„Nic dziwnego, że lekarze się za nas wzięli”, myśli Joanne. „Wszyscy się okłamujemy. Cały naród jest pijany, ale nikt nie chce tego otwarcie przyznać”.

Zjeżdża z A6 i rusza w stronę Silverdale. Są umówieni na rozmowę z Molly Rigg. Jadą sprawdzić, czy zapamiętała jeszcze jakieś istotne szczegóły dotyczące mężczyzny, który ją porwał.

Molly robiła, co mogła, podczas pierwszej tury przesłuchań, ale wydawała się wtedy zupełnie oderwana od życia. Naiwna. Mówiła, że facet zabrał ją do jakiejś kawalerki. Nie wiedziała gdzie. Została odurzona narkotykami, zgwałcona i porzucona, nie potrafiła nawet podać policji marki samochodu, którym jeździł jej oprawca. Ani koloru. Na pytanie, dlaczego w ogóle wsiadła do tego auta,

odpowiedziała, że nie wie. Wiedziała, że nie powinna, ale mimo wszystko to zrobiła.

Właśnie dlatego Joanne doszła do wniosku, że porywacz musi mieć w sobie coś pociągającego. Uważała, że nie szukają tym razem jakiegoś samotnika, przeciętnego pedofila, ale kogoś obdarzonego charyzmą. Jej szef, inspektor Pete McAleese, który prowadził śledztwo, nie podzielał jej zdania i uważał, że powinni się raczej skupić na tropach związanych z robotnikami sezonowymi, którzy od niedawna pracowali w tym regionie.

– Co myślisz o skojarzeniach do *Darling Buds of May*, Ron?

– Strata czasu.

– Dlaczego?

– Przesłuchiwałaś Molly Rigg, prawda?

– Krótko.

– Powiedziała tylko, że facet mówił jak Pop Larkin. Ja nawet nie wiedziałem, że David Jason miał udawać akcent z Kent. Myślałem, że akcja jest osadzona w Devon albo w Dorset... Więc skąd ona mogłaby o tym wiedzieć? To ślepy zaulek.

– Chyba tak – zgadza się z nim Joanne.

– Poza tym sądziłem, że nikt już nie ogląda tej chały. Myślisz, że uda ci się wyciągnąć coś więcej z dziewczyny? – pyta, poprawiając się w fotelu i przeszukując kieszenie.

– Mam nadzieję. Jest bardzo nieśmiała. Może kiedy zostanie tylko ze mną, nabierze trochę odwagi. Chcesz porozmawiać z matką, sprawdzić, czy nie ma czegoś nowego do powiedzenia?

– Czemu nie. Jak zamierzasz to rozegrać?

– Chcę się dowiedzieć, jak udało mu się wprowadzić dziewczynę do mieszkania, a potem wyprowadzić tak, że nikt nic nie zauważył. Ani nie słyszał. To najbardziej mnie intryguje. Jeśli uda mi się to rozgryźć, może wreszcie do czegoś dojdziemy.

Ron kiwa głową i częstuje Joanne miętowym cukierkiem.

– Jak to możliwe, że ktoś, kto mieszka w kawalerce, może sobie pozwolić na samochód? – rozmyśla głośno Joanne. – Tu też się coś nie zgadza.

– Prawdopodobnie to nie była jego kawalerka.

Nawigacja satelitarna informuje, że dotarli do celu, więc Joanne zatrzymuje samochód i gasi silnik. Parkuje przed parterowym domem, który wygląda na dość ładnie utrzymany, choć przydałoby się mu malowanie.

Silverdale leży blisko morza, więc nie ma tutaj tak dużo śniegu, ale ktoś posypał żwirem podjazd i drogę przed bramą. „Zapobiegliwy” – myśli Joanne, gdy żwir chrzęści pod jej stopami.

Pięć minut później siedzi z Molly w kuchni, obok starego kotła. Jest ustawiony na maksymalną temperaturę, ale w kuchni panuje chłód. Podłogę pokrywają rdzawoczerwone płytki wykładzinowe. Jedna z nich, przed kuchenką, została zapewne niedawno wymieniona, bo jest ciemniejsza od pozostałych.

Joanne zaczyna od przeprosin.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę, Molly, ale pewnie słyszałaś, że zaginęła następna dziewczynka w twoim wieku.

Molly kiwa głową, nie patrząc na Joanne. Jest drobna i chuda. Wygląda jak postać z kreskówek Disneya – wielkie oczy, długie rzęsy, drobniutkie ciało.

– Przyjechałam tutaj, by się upewnić, czy nie przypomniłaś sobie czegoś jeszcze. Bardzo chcemy schwycić tego człowieka, który cię porwał, Molly, a w tej chwili jesteś jedyną osobą...

– Staracie się go łapać, zanim zrobi krzywdę komuś innemu – stwierdza dziewczynka otwarcie.

– Tak, to prawda – odpowiada Joanne, a po krótkiej pauzie dodaje, staranie dobierając słowa: – Ale przede wszystkim chcemy go ukarać za to, co zrobił tobie.

Policjantka nie chce, by Molly pomyślała, że nie jest najważniejsza w tej sprawie.

– Jak on wyglądał? Pamiętasz?

Molly kręci głową.

– Wszystko jest rozmazane – mówi smutno. – Dał mi coś do picia i wszystko zrobiło się potem rozmyte i niewyraźne.

– Wiem, kochanie. Czy wszystko jest niewyraźne, czy nie pamiętasz tylko niektórych części? Tak jakbyś miała sen i wiedziała, że coś pamiętasz, ale nie umiesz sobie tego przypomnieć?

Molly po raz pierwszy patrzy prosto na Joanne.

– Właśnie tak – potwierdza. – Powiedziałam, że był rozmazany, ale nie umiem tego wytłumaczyć. Przeczuję, co się wydarzyło, ale nie wiem, co dokładnie.

– Świetnie – kiwa głową Joanne. – W takim razie nie będę cię pytała o konkretne szczegóły, ale o twoje uczucia związane z różnymi wspomnieniami? Co ty na to? –

Widzi, że nie do końca przekonała Molly, więc dodaje: – Nie zapytam, co ci robił. Nie musimy przechodzić przez to ponownie. Chciałabym przede wszystkim wiedzieć, dokąd cię zabrał. Mogę cię o to pytać?

Dziewczynka przygryza wargę.

– Dobrze – zgadza się w końcu.

– Spróbuj przypomnieć sobie, czy to miejsce wydawało się brudne albo śmierdzące.

– Nie – odpowiada natychmiast Molly, a potem wydaje się zaskoczona, że stwierdziła to z taką stanowczością. – Nie, na pewno było tam czysto. Pościel pachniała... – Odwraca wzrok, spogląda za okno, jakby szukała właściwego słowa.

– Płynem do płukania? – podpowiada Joanne.

– Nie. Nie chodzi mi o zapach, nie o proszek do prania. Pachniała gorącem... Nie wiem, czy pani mnie rozumie.

– Jakby została podgrzana?

Zamyka oczy, wytężając pamięć.

– Kiedy mama suszy ręczniki na grzejniku, pachną jak podgrzane. Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć.

– Jak wyprane? – podsuwa Joanne. – Jakby wróciły z pralni?

– Tak.

– Doskonale – kiwa głową policjantka. – A co z samym pokojem, pamiętasz może, czy na ścianach wisiały obrazy?

– Były kremowe.

– Tylko tyle?

– Bez żadnych ozdób. Nie jak w prawdziwym pokoju.

– Jak w pokoju hotelowym?

– Nigdy nie nocowałam w hotelu.

– Ale czy miałaś wrażenie, że ktoś tam mieszka? Może człowiek, który cię porwał?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu jestem.

– W porządku – odpowiada Joanne. – Naprawdę świetnie sobie radzisz. Bardzo mi już pomogłaś, ale następne pytanie będzie trudne. Bardzo zależy mi na tym, żebyś odpowiedziała szczerze. Zgoda?

Molly stara się nie pokazywać po sobie strachu.

– Kiedy zobaczyłaś go po raz pierwszy, kiedy pojawił się przy twojej szkole, to... czy wsiadłaś do jego samochodu, bo ten mężczyzna ci się podobał?

Nie odpowiada. Opuszcza tylko głowę.

– Nikt nie ma do ciebie pretensji, Molly. Muszę tylko wiedzieć, co to za człowiek, i bardzo byś mi pomogła, gdybyś odpowiedziała. Podobał ci się chociaż troszeczkę?

Molly kiwa głową, nie podnosząc wzroku. Pojedyncza łza spada na jej dzinsy.

– Wyglądał ładnie. Nie pamiętam dokładnie jak, ale wyglądał ładnie... – Po chwili dodaje, pochlipując cicho: – Proszę nie mówić tego mojej mamie.

Joanne kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Obiecuję, że nie powiem.

## ROZDZIAŁ 18

Jestem w pracy dopiero od pół godziny, gdy do biura wchodzi niechlujna, dwudziestoletnia kobieta bez kurtki. Prowadzi ze sobą bulteriera staffordshire, a za smycz służy jej niebieski nylonowy sznur do wieszania bielizny.

– Nie chcę tego psa.

Stoi jakieś pół metra dalej i nie jest w stanie spojrzeć mi w oczy. Wierci się nerwowo. Widać, że jest narkomanką, bo ma maleńkie źrenice i nie może ustać w miejscu, jak pacjenci uzależnieni od metadonu, którzy przychodzą do miejscowej apteki. Ci, którzy zwracają się do aptekarza po imieniu i zachowują się tak, jakby nie zauważali, że pozostali pacjenci omijają ich szerokim łukiem.

– To pani pies? – Muszę o to zapytać, bo aż trudno uwierzyć, jak wielu ludzi przyprowadza do nas zwierzęta, które do nich nie należą. Kilkakrotnie nieświadomie oddałam do adopcji psy niewiernych mężów.

– Nie, mojego taty – odpowiada młoda kobieta. – Ale tata jest chory. Nie może się nim już opiekować.

Wzdycham ciężko w duchu. Kolejny staffy. Pewnie nie uda nam się go oddać: mamy ich aż nadto. Współpracowałam niedawno z policją dla zwierząt – próbują wprowadzić prawo, zgodnie z którym hodowca będzie musiał mieć co najmniej dziewiętnaście lat i licencję. Ale moim zdaniem to nie jest dobre rozwiązanie. Powinniśmy kastrować i sterylizować te psy na masową skalę, bo problem już wymknął się spod kontroli.

– Ma też koty.

– Ile? – pytam.

– Na pewno więcej niż dwa.

– Gdzie one są?

– W jego mieszkaniu. Jest trochę zapuszczone. Tata nie sprzątał, odkąd umarła mama. Przyniosłabym je ze sobą, ale trochę zdziczały.

– A gdzie jest teraz pani tata?

– W Helm Chase.

Helm Chase to miejscowy szpital.

– Wróci do domu?

– Nie wygląda mi na to. Ma trochę problemów. Mieszkanie pewnie sprzedadzą.

– Dobrze – mówię, podając jej kartkę i długopis. – Proszę zapisać adres.

Trzyma długopis w zaciśniętej pięści, jak robił to kiedyś mój starszy syn, James. Piszę, używając na przemian małych i wielkich liter.

– Kto wpuści mnie do mieszkania? Żebym mogła zabrać koty.

Kobieta odpina klucz od ciężkiego pęku, który przypięła do dżinsów, i podaje mi go.

– Co mam potem zrobić z kluczem? – pytam.

– Wyrzucić – odpowiada i wręcza mi sznurek z psem. – Nazywa się Tyson – dodaje, a ja kiwam głową. Typowe imię dla staffych. Będę musiała je zmienić, bo inaczej z całą pewnością nie znajdziemy mu nowego domu.

Potem kobieta wychodzi. Nie chce wypełniać dokumentów, a ja nic nie mogę na to poradzić. Ale też nie przejmuję się przesadnie biurokracją. Spoglądam na psa.

– Nazwiemy cię Banjo – mówię, a pies nie protestuje. Mam w zanadrzu listę kilkunastu miłych dla ucha imion, które nadaję bulterierom.

Wymieniamy imiona takie jak Tyson, Tarantino czy Rambo na Teddy, Alfie, Percy i temu podobne. Imię psa ma znaczenie tylko dla właściciela. Zwierzak będzie reagował na każde i naprawdę jest mu wszystko jedno, co ostatecznie wybierzemy.

Przykucam obok Banjo. Wiem, że nie jest wykastrowany, ale mimo wszystko się łudzę.

Nie jest. Między tylnymi nogami wisi moszna wielkości granatu, a ja wzdycham z rezygnacją, bo choć raz chciałabym zostać czymś mile zaskoczona. Drapię go lekko za uszami i mówię:

– Chodź, znajdziemy ci miejsce.

Dziewczyny zajęte są myciem i sprzątaniami. Otwieramy o dziewiątej trzydzieści, więc wcześniej musimy się odpowiednio przygotować. Smród i widok odchodów zniechęca ludzi do odwiedzin i adopcji. To zrozumiałe.

Lorna, jedna z moich dwóch pracownic, przystaje z węzłem w dłoni, kiedy przyprowadzam Banjo.

– Siódemka jest wolna! – woła, przekrzykując szczekanie. Wskazuje na Banjo. – Jaki jest?

– Wydaje się spokojny. Nie wściekał się na inne zwierzęta, kiedy przechodził obok boksów, więc pewnie będzie w porządku.

– Jakież wieści?

– W sprawie Lucindy Riverty? – upewniam się, a ona kiwa głową.

– Żadnych. Poradziłyście sobie wczoraj? Jakież problemy?

– Nie, wszystko w porządku. Był Clive, dałam mu listę, która leżała na twoim biurku. Przywiózł trochę drewna, żeby wymienić przegniłe słupki w płocie...

– Zapłaciłaś mu?

Lorna uśmiecha się z błyskiem w oku.

– Miał trochę gotówki na zbyciu...

Clive Peasgood jest człowiekiem, którego nazywamy w naszej branży darem niebios. To emerytowany nauczyciel, który potrafi zrobić, naprawić, zbudować wszystko. Mówi, że w ten sposób się odwdzięcza, a ja niemal codziennie wykorzystuję jego życzliwość.

Czasami pomaga wyprowadzać psy i czyścić boksy, jeśli brakuje nam rąk do pracy, ale zajmuje się przede wszystkim konserwacją budynków. Kiedy chcę mu zapłacić za materiały, zawsze odpowiada: „Mam trochę gotówki na zbyciu”.

Jego żona jest cudowną kobietą, czasami zbiera dla nas pieniądze – sprzedaje używane rzeczy i tak dalej – i zawsze gdy ją widzę, przepraszam, że zabieram jej męża i czas, który powinni spędzać razem na emeryturze. Jej odpowiedź zawsze brzmi tak samo: Jeśli Clive przestanie do was przychodzić, życie straci dla niego sens. Pewnie ma rację, ale mimo wszystko trochę mi głupio, że tyle dla nas robi. W zeszłym roku pokrył papą dach kociarni i nie wziął za to grosza.



– Później muszę pojechać po koty – informuję Lornę. – Ile mamy miejsc w kociarni?

– Właściwie w ogóle – krzywi się dziewczyna. – Wczoraj przyjęliśmy kilka, pamiętasz?

– Rzeczywiście, zapomniałam. Cholera. Będę musiała zadzwonić do Billa w Kumbrii, może on weźmie kilka.

– Ile przywieziesz?

– Dziewczyna nie wiedziała. Więcej niż dwa...

– To nie wróży nic dobrego – odpowiada Lorna.

Najpierw myślę, że trafiłam pod niewłaściwy adres. Stoję przed wielką starą rezydencją, która została podzielona na mieszkania. Nie zdarzyło mi się zabierać kotów z takich miejsc. Spoglądam ponownie na karteczkę: mieszkanie nr 6, Helm Priory, Bowness. Tak, to tutaj.

Otwieram bagażnik mojego samochodu i wyjmuję trzy kosze na koty. Jakaś kobieta przygląda mi się z okna mieszkania na parterze. Jest młoda, ma może dwadzieścia pięć lat, wydaje się smutna.

Wyciągam grube rękawice ze schowka za siedzeniem kierowcy, w ostatniej chwili wsuwam też do kieszeni maskę zapobiegającą przenikaniu zapachów, na wszelki wypadek. Kupuję je w sklepie z artykułami malarskimi w Kendal. Przekonałam się już, że są najlepsze. Potrafią zablokować nie tylko woń lakieru, ale też kociego gówna. Ten smród to jedyna rzecz, do jakiej nie zdołałam przywyknąć mimo wielu lat pracy w schronisku.

Uśmiecham się do kobiety, ale opuszcza wzrok, kiedy zbliżam się do budynku, podnosi przesadnie wysoko łokcie, dając mi do zrozumienia, że zmywa naczynia. Być może jest Polką.

Przez jakiś czas było ich tutaj pełno. Szczupłe, miłe dziewczyny, wszystkie ubrane niemal tak samo, w odrobinę za krótkie czarne spódnice i karmelowe rajstopy – moja mama nosiła podobne, gdy miała dwadzieścia lat.

Otwieram drzwi i wchodzę do niewielkiego holu. Wzdłuż ściany ciągnie się szereg

skrzynek pocztowych. Przechodzę do następnych drzwi i tym razem jestem już na klatce schodowej. Wygląda całkiem przyjemnie, podłogę przykrywa gruby dywan, na półpiętrze znajduje się duże okno z szybkami w ołowianych ramkach. Z umieszczonego na ścianie odświeżacza wydobywa się przyjemny jaśminowy zapach, a ja po raz drugi w ciągu pięciu minut myślę, że trafiłam w niewłaściwe miejsce, bo wszystko wygląda tu zdecydowanie za ładnie.

Mieszkanie numer sześć znajduje się zapewne na piętrze. Wchodzę powoli na schody, uważając, by nie porysować ścian koszykami. Na piętrze są dwa mieszkania. Drzwi z numerem pięć po prawej. Po obu stronach stoją zadbane, elegancko przycięte drzewka laurowe, na podłodze leży ładna czerwona wycieraczka z napisem: „TAM DOM TWÓJ, GDZIE SERCE TWOJE”.

Spoglądam w lewo. Przed wejściem do mieszkania numer sześć stoi uschnięta roślina, w doniczce zalega warstwa niedopałków po papierosach i skrętach z marihuaną. „Tu już nie jest tak ładnie”, myślę, wkładając klucz do zamka.

Otwieram drzwi. W nozdrza uderza mnie fala smrodu, wkładam więc szybko maseczkę. Szukam po omacku włącznika światła i naciskam go, ale nic się nie dzieje. Odciepli prąd. Klnąc pod nosem, uzmysławiam sobie, że nie zabrałam latarki, a w przedpokoju jest całkiem ciemno – ktoś pozamykał drzwi do wszystkich pomieszczeń.

Zastanawiam się, czy nie wejść do środka i nie pootwierać jak najszybciej tych drzwi, ale zmieniam zdanie w ostatniej chwili. Dwa lata temu zabierałam głodującego psa z domu w Troutbeck Bridge. Biedak szczekał tak żałośnie, że bez namysłu weszłam do środka. I stanęłam na igłę. Oczywiście przebiła podeszwę mojego buta i wbiła się w stopę. Następne pół roku przeżyłam w strachu, że zaraziłam się AIDS. Wolałabym nie przeżywać tego ponownie.

Zostawiam kosze i rękawice przed mieszkaniem i pukam do drzwi numer pięć. Nikt nie otwiera, więc schodzę na parter, do mieszkania, w którym widziałam wcześniej młodą kobietę.

Pukam lekko. Natychmiast otwiera, a właściwie uchyla drzwi i przygląda mi się nieufnie.

- Dzień dobry, jestem ze schroniska dla zwierząt i...
- Nie mam pieniędzy – mówi z silnym obcym akcentem.
- Ale ja nie chcę pieniędzy. Potrzebuję latarki.
- Latarki? Przecież jest dzień.

Wskazuję na piętro.

– Człowiek z numeru sześć jest w szpitalu, przyszłam po koty. – Uzmysławiam sobie, że mówię niemal z takim samym akcentem jak ona.

- Poczekać. Ja popatrzeć.

Zamyka drzwi.

Kiedy wraca po minucie, trzyma na biodrze dziecko. Ślicznego jasnowłosego chłopczyka, który ma nie więcej niż rok. Nigdy w życiu nie powiedziałabym, że tych dwoje to matka i syn. Dotykam włosów dziecka w odruchu, który wyrobiłam w sobie jako matka trojga dzieci, i mówię:

- Jest śliczny. Jak ma na imię?
- Nika.
- Ładnie. To polskie imię?
- Nie. Gruzińskie.

Podaje mi małą, czarno-żółtą latarkę firmy Stanley. Jak zawsze, gdy widzę tę nazwę, wracam myślami do chwili, gdy żona mojego ojca podcinała sobie żyły nożem z takim samym napisem.

- Zostawić na zewnątrz – mówi kobieta, a ja patrzę na nią ze zdziwieniem.
- Zostawić na zewnątrz, kiedy skończyć – dodaje.
- Ach, tak, oczywiście – kiwam głową.

Stoję w drzwiach kuchni i biorę głęboki oddech.

„Więcej niż dwa”, powiedziała dziewczyna. Na razie zauważam cztery dorosłe koty, a w szafce pod zlewem kryją się małe kociaki. Słyszę ich żalosne miauczenie. Prawdę mówiąc, powinna się tym zająć policja dla zwierząt. W takich przypadkach zwykle od razu do nich dzwonię. Przyjeżdżają z weterynarzem, który potwierdza, że doszło do znęcania się nad zwierzętami. Zbierają dowody potrzebne do wniesienia

oskarżenia. Ale na to trzeba czasu, a właściciel leży w szpitalu. Jak mówiła jego córka, prawdopodobnie stamtąd nie wyjdzie, więc cała procedura nie miałaby sensu.

Postanawiam, że najpierw zajmę się kotami z kuchni, a potem dopiero sprawdzę resztę mieszkania. Muszę działać systematycznie, bo inaczej sobie nie poradzę.

Koty są trochę zdziczałe. Wszystkie są też wychudzone, wyglądają tak, jakby składały się głównie z nóg i pazurów. Biorę do ręki jednego z nich, parchatą szylkretową kocicę z białymi skarpetkami. Dopiero wtedy, gdy dotykam jej brzucha, zdaję sobie sprawę, że jest kotna.

Jedna kocica może doprowadzić do narodzin dwudziestu tysięcy kotów, jeśli jej potomstwo również będzie się mnożyć. Dlatego też znacząca część naszego budżetu przeznaczona jest na sterylizację – żeby zapobiec takim przypadkom. Gdyby właściciele kastrowali i sterylizowali swoje zwierzaki, nie byłoby tylu niechcianych kociąt i szczeniąt. Oczywiście nadal musielibyśmy zajmować się zwierzakami tych, którzy uważają, że sterylizacja i kastracja to ingerencja w naturę, ale pocieszam się myślą, że gdyby ci ludzie nie sprawiali kłopotów mnie i kierownikom innych schronisk, zatruwaliby życie komuś innemu. Może organizowaliby walki kogutów. Albo bili żony.

Wkładam po dwa koty do koszyka, a potem przechodzę do zlewu. Domyślam się, że facet, który tu mieszkał, był pijakiem, bo w mieszkaniu jest bardzo mało jedzenia, ale mnóstwo pustych opakowań. Dziękuję w duchu Bogu, bo chyba nie zniósłabym dziś widoku i smrodu gnijących resztek.

Na blatach leży około sześćdziesięciu puszek po piwie i mnóstwo butelek po dżinie. Nie rozpoznaję marki, więc odwracam butelkę w dłoni i patrzę na etykietę z tyłu. Widnieje na niej napis: „Wyprodukowano specjalnie dla sieci sklepów Aldi”. Wyobrażam sobie starego człowieka pchającego do kasy wózek wypełniony butelkami. Jest równie wychudzony, jak jego koty, ma pożółkłe rogówki i bez przerwy rusza zuchwą w typowy dla pijaków sposób. Z szafki pod zlewem wydobywa się kolejne żałosne miauknięcie.

W kartonowym pudle leży pięć kociąt. Jedno martwe, pozostała czwórka też ledwo zipie.

Pchły. Aż się od nich roi.

Pchły wyssały tyle krwi z tych maleńkich stworzeń, że kociaki potrzebują sporo szczęścia, żeby przeżyć. Ich dziąsła są białe jak alabaster, maleńkie ciała bezwładne. Tylko dwa mają jeszcze siłę miauczeć. Wszystkie są czarne albo białe. Dla takich najtrudniej teraz znaleźć nowy dom, choć nie wiem dlaczego.

Większość ludzi wybiera koty rude pręgowane. Proszą o srebrzyste pręgowane koty z reklam Whiskas, nie zdając sobie sprawy, że to zwierzęta rasowe, które kosztują około czterysta funtów za sztukę.

Nie wkładam kociąt do koszyka. Są zbyt słabe, nie dadzą rady uciec, więc zostawiam je w pudle. Potem sprawdzam resztę mieszkania i znajduję jeszcze dwa dorosłe koty. Oba czarne i zdziczałe. Kocica jest ciężarna. Zaglądam jeszcze do szaf i za krzesła, ale nie znajduję niczego więcej, schodzę więc do samochodu z dwoma koszykami, a potem wracam po resztę.

Gruzinka znowu udaje, że zmywa, gdy macham do niej, nie patrzy w moją stronę. Zastanawiam się, czy zapukać do niej ponownie, aby oddać latarkę, ale przypominam sobie, że przykazała mi wyraźnie, bym zostawiła ją na korytarzu. Niektórzy ludzie po prostu nie lubią gości.

Zabieram resztę kotów i po raz ostatni rozglądam się dokoła. Potem przystawiam otwarte drzwi trzecim koszem i szukam w kieszeni kluczyków do samochodu.

Wtedy właśnie zauważam nazwisko na skrzynce pocztowej należącej do mieszkania numer dwa.

Riverty.

„G. Riverty”, głosi napis sporządzony małymi, równymi literami. Jak Guy Riverty. Mąż Kate i ojciec Lucindy.

Guy i Kate mają sporo domków rozsianych po całej Krainie Jezior, ale nie wiedziałam, że także tutaj.

Nigdy o tym nie wspominali. Z drugiej strony, dlaczego właściwie mieliby mi mówić?

## ROZDZIAŁ 19

– A jeśli to nie ten sam facet? – pyta inspektora Ron Quigley.

– Zbyt wiele podobieństw – słyszy w odpowiedzi. – Dziewczynki są w tym samym wieku, mają podobną urodę, obie pochodzą stąd. Trudno, żebyśmy w tej sytuacji zakładali, że chodzi o różnych sprawców.

– Ale Molly Rigg wypuścił już następnego dnia.

Inspektor Pete McAleese wzdycha.

– Ron, dobrze wiesz, że zbrodnie często eskalują w czasie. Wiele razy sam miałeś z tym do czynienia. Za pierwszym razem badają teren, sprawdzają, co się stanie, a potem sięgają po więcej.

Siedzą w centrum dowodzenia. Sala jest zatłoczona, ale Joanne nie zdejmuje kurtki, bo na oknach od wewnątrz osadza się szron. Grzeje dłonie kubkiem z gorącą mocną herbatą. Liczy na to, że wciąż mają do czynienia ze sprytnym gwałcicielem, a nie przebiegłym zabójcą.

Joanne odchrząkuje, po czym zwraca się do inspektora.

– Wiem, że musimy działać szybko, szczególnie po tym, jak Lisa Kallisto przekazała nam informację o mężczyźnie, z którym spotykała się Lucinda, ale zgadzam się z Ronem. A jeśli to dwóch różnych facetów porwało dziewczynki? Uważam, że powinniśmy się uważniej przyjrzeć jej ojcu.

– Zawsze tak robimy – przytakuje ze znużeniem McAleese. – Ale tego możemy wykluczyć. Po pierwsze ma niezbite alibi: był z rodziną, kiedy zniknęła Molly Rigg. Po drugie pokazaliśmy Molly jego zdjęcie i powiedziała, że to nie ten.

Joanne odstawia kubek.

– Rozmawiałam z nią dziś rano. Mam wrażenie, że ona nawet nie wie, co wie. Była kompletnie odurzona rohypnolem. Jak może być czegoś pewna, skoro niczego

wyraźnie nie pamięta?

– Jak już mówiłem, ma alibi. Więc nawet jeśli intuicja podpowiada ci coś innego, na razie musisz sobie dać z tym spokój. Zostaje nam więc...

– Mamy jakieś DNA? – pyta Ron.

– Nie. Ani nasienia, ani skóry, ani włosów. Znaleźliśmy tylko włókno z ubrania w pobliżu krocza Molly. W laboratorium przypuszczają, że pochodzi z materiału z jedwabną nicią. Może z garnituru w prążki.

– Cudownie – mruczy Ron, pochylając się do Molly. – Wytworny pedofil... Tego nam tylko brakowało.

Joanne wyczuwa, że zebranie za chwilę się skończy.

– Panie inspektorze – mówi szybko. – Naprawdę uważam, że powinniśmy się zająć jej ojcem, nawet jeśli ma alibi...

McAleese podnosi rękę.

– Joanne, wiesz, z czym mamy tutaj do czynienia. Trzynastolatka, biała, klasa średnia, zaginiona w regionie o wyjątkowo pięknym krajobrazie. Druga dziewczyna w ciągu dwóch tygodni. Więc owszem, przyjrzymy się bliżej ojcu, i owszem, przydzielę to komuś, ale pamiętaj, że wszyscy patrzą nam na ręce. Cały kraj. Musimy znaleźć gnojka, który porwał tę dziewczynę, jeszcze dziś. Nie jutro. A to oznacza, że musimy jak najszybciej wykorzystać wszystko, co już wiemy.

Joanne kiwa głową.

– Rozumiem.

– Pojedziesz z Ronem do Windermere, jeszcze raz przesłuchacie Sally Kallisto – nakazuje inspektor. – Może dowiedzie się czegoś więcej o tajemniczym mężczyźnie. Sprawdźcie, czy jakieś informacje nie pokrywają się z tym, co powiedziała dziś rano Molly Rigg.

Joanne wstaje i zbiera swoje rzeczy, podczas gdy McAleese przydziela zadania innym policjantom. Ma już wychodzić z sali, zawraca jednak, pochodzi do inspektora i przerywa mu w pół zdania:

– Molly Rigg zabrano do miejsca z pościelą z pralni – mówi cicho. – Guy Riverty wynajmuje sporo nieruchomości. Ktoś je sprawdza?

„Dziwnie tu znowu być” – myśli Joanne, gdy wraz z Ronem idzie do zastępcy dyrektora szkoły.

– Wracają stare wspomnienia, co? – uśmiecha się Ron.

– Tak. A ty do której szkoły chodziłeś?

– Do Lancaster.

– Jesteś bystrzejszy, niż myślałam.

– Na początku szło mi całkiem nieźle, ale potem było coraz gorzej, więc kiedy skończyłem szkołę, wstąpiłem do policji... Choć właściwie zrobiłem to głównie ze względu na sport.

Joanne zerka na Rona z ukosa. Trudno go nazwać wysportowanym. Potrafi się zasapać przy wiązaniu sznurówek.

– Wiem, co myślisz – uśmiecha się Ron. – Nie ruszam się już tyle, co dawniej, ale kiedyś grałem całkiem nieźle w krykieta. Werbownik z policji przyszedł do naszego klubu i powiedział, że widzi przede mną karierę. Zapewniał, że będę mógł uprawiać każdy sport, jaki sobie wymarzę, jeśli pójdę do szkoły policyjnej.

Idą głównym korytarzem szkoły średniej w Windermere. To miejsce rzeczywiście przywołuje wspomnienia. Joanne wraca myślami do czasów, gdy miała trzynaście lat i umierała z przerażenia, że się potknie i zrobi z siebie idiotkę. Pamięta, jak kiedyś zauważyła, że patrzy na nią chłopak ze starszej klasy, i do końca dnia czerwieniła się na wspomnienie tej chwili.

Zastępca dyrektora udostępnił swój gabinet Joanne i Ronowi, by mogli w nim spokojnie porozmawiać z Sally Kallisto. Joanne rozgląda się po bezbarwnym wnętrzu, patrzy na lakierowany blat biurka, na białe niegdyś, a teraz szaro-kremowe verticale.

Była tu już kiedyś, ponad dwadzieścia lat temu, kiedy na korytarzu pobiły się dwie dziewczyny. Jedna z nich wyrwała drugiej kolczyk, rozrywając płatek ucha na dwoje, a Joanne wezwano do gabinetu, ponieważ była świadkiem zajścia. Nie pisnęła słowem. Udawała niewiedzę, bo wychowano ją w przekonaniu, że nie należy donosić na koleżanki. Ironia losu sprawiła, że teraz trafiła tu ponownie w zupełnie innej roli i zamierzała prosić Sally Kallisto, by zdradziła sekrety swojej przyjaciółki – choć



trzeba przyznać, że teraz stawka była nieporównanie większa.

Sally wchodzi do gabinetu wraz z młodą, bladą nauczycielką, panną Murray, która wydaje się bardziej przerażona niż uczennica.

Sally w niczym nie przypomina matki. Jest podobna do swojego ojca – ma proste, czarne włosy, gładką, śniadą skórę i piękne, brązowe oczy.

– Jestem detektyw Joanne Aspinall... A to mój kolega – dodaje, wskazując na Rona. – Ron Quigley. Poznaliście się wczoraj.

– Cześć – mówi cicho Sally.

Joanne ustawiła krzesła w literę L. Siedzi z otwartym notesem ułożonym na kolanach, Sally zajmuje miejsce obok niej.

– Zanim zadamy ci kilka pytań, Sally, chciałabym się upewnić, czy wystarczy ci towarzystwo pani Murray. Możemy poczekać trochę dłużej i ściągnąć któregoś z twoich rodziców, jeśli sobie życzysz. W schronisku powiedzieli, że twoja mama pojechała po koty, więc powinna wkrótce wrócić. Na razie nie mogę złapać twojego taty, nie odbiera telefonu.

Rajstopy Sally pomarszczyły się na wysokości kostek. Dziewczyna poprawia je i odpowiada, nie podnosząc wzroku na Joanne.

– Załatwmy to od razu, dobrze?

– Oczywiście.

– Chodzi o to... Chodzi o to, że...

Nie kończy.

Joanne zerka na Rona. Oboje myślą o tym samym, dziewczyna nie chce mówić przy rodzicach. Widocznie ma coś ciekawego do powiedzenia.

– Dobrze, w takim razie przejdźmy do rzeczy – uśmiecha się Joanne.

Policjantka opisuje jeszcze raz okoliczności zaginięcia Lucindy, by mieć pewność, że Ron nie przegapił niczego poprzedniego dnia, gdy rozmawiał z Sally.

Gdy kończy, dziewczynka patrzy jej prosto w oczy.

– Myśli panie, że ona żyje? – pyta.

– Mam taką nadzieję. A ty?

Sally kręci głową.

– Dlaczego tak uważasz?

Sally opuszcza wzrok.

– Nie wiem. Boję się, że nie, bo...

– Bo?

– Moja mama mówi, że ona prawdopodobnie nie żyje.

– Twoja mama nie może tego wiedzieć. Nikt tego nie wie, prawda?

– Nie, ale nie powiedziałam wam, to znaczy policji, o tym mężczyźnie, z którym rozmawiała Lucinda. Powinnam była powiedzieć, prawda?

– Owszem – kiwa głową Joanne. – Powinnaś. Ale dlatego właśnie tu jesteśmy, żebyś nam o wszystkim opowiedziała.

– Mama mówi, że to moja wina, że jeśli Lucinda umrze... – Milknie na chwilę, zakłada kosmyk włosów za ucho. – Myśli pani, że to moja wina?

– Nie. – Joanne pochyła się do przodu na krześle. – To nie twoja wina, że Lucinda postanowiła wsiąść do samochodu z nieznajomym. Ale jeśli mamy jej pomóc, to musisz nam powiedzieć wszystko, co o niej wiesz. Nawet jeśli wydaje ci się, że zdradzasz przyjaciółkę. Nawet jeśli jesteś pewna, że potem strasznie się na ciebie zezłości i nie będzie chciała z tobą więcej rozmawiać. Musisz nam zdradzić jej sekrety. Rozumiesz?

Sally kiwa głową i wciąga głośno powietrze. Wydaje się nagle, że jest bliska płaczu, a Joanne czuje dreszcz podniecenia na karku. Są blisko.

– Płacz, jeśli tego potrzebujesz, Sally – mówi łagodnie. – Nie powstrzymuj się.

Ron wyjmuje z kieszeni czystą chusteczkę i podaje ją dziewczynce.

– Proszę – mówi.

Ale Sally hamuje łzy.

– Nigdy nie widziałam tego mężczyzny, z którym rozmawiała – zaczyna. – Nie byłam przy tym. Mówiła, że widziała się z nim trzy razy i że chciał, by gdzieś z nim pojechała, chciał ją zabrać na zakupy.

– Bała się go choć trochę?

– Była podekscytowana.

– Więc nie próbował jej skrzywdzić?

– Nie.

– Widziałaś kiedyś jego samochód?

– Nie. To znaczy raz i tylko z tyłu.

– Kiedy to było?

– Dwa tygodnie temu? – zastanawia się. – Zostałam dłużej, by porozmawiać z nauczycielem i późno wyszłam ze szkoły.

– Możesz opisać ten samochód?

– Był srebrny.

– Na pewno srebrny? – wtrąca Ron. – A może biały?

Sally odwraca wzrok.

– Może – przyznaje. – Nie jestem pewna. Nie wiedziałam, że to jego samochód, dopóki nie spotkałam Lucindy. Powiedziała mi wtedy, że się z nią umówił.

– Umówił się z nią? – powtarza Joanne. – Chciał, żeby została jego dziewczyną, czy tylko chciał ją gdzieś zaprosić?

– Nie wiedziała. Dużo o tym rozmawialiśmy, ale nie byliśmy pewne, o co naprawdę mu chodziło.

– Więc nigdy nie widziałaś tego mężczyzny? – upewnia się Ron.

Dziewczynka kręci głową.

– Nie.

Joanne zapisuje informację o kolorze samochodu i podnosi głowę.

– Co jeszcze możesz nam powiedzieć?

– Niewiele.

– Niewiele czy nic?

Sally wzrusza ramionami.

– Śmiało – zachęca ją Joanne. – Wiem, jakie są dziewczynki. Rozmawiacie o wszystkim. O najdrobniejszych szczegółach, które mają związek z chłopcami. – Sally wydaje się dotknięta, więc Joanne pospiesznie dodaje: – A kiedy dorosną, nadal to robią. – Zerka na panią Murray. – Prawda?

– Oczywiście – potwierdza nauczycielka, zaskoczona. – Mogę godzinami rozmawiać o moim chłopaku.

Ale Sally nie chwyta przynęty.

Wpatruje się uparcie w kolana. Jej ciało jest sztywne, wygląda tak, jakby bała się odezwać.

– O co chodzi, Sally? – pyta w końcu Joanne. – Czy Lucinda wyznała ci coś, a ty nie wiesz, czy możesz nam to zdradzić?

Dziewczynka kręci głową.

– Powiedziałam wszystko, co wiem.

– Na pewno? – pyta Joanne, rozczarowana. Miała nadzieję, że dowiedzą się więcej.

– Tak – potwierdza Sally.

Ron wierci się w krzesło, chce wstać, ale Joanne odruchowo kładzie mu dłoń na kolanie i powstrzymuje go.

– Sally – zaczyna ostrożnie. – Pamiętaj, co ci mówiłam. Musisz powiedzieć nam wszystko, bo inaczej nie znajdziemy twojej przyjaciółki. Nie pomagasz Lucindzie, ukrywając przed nami jej sekrety. Nie tym razem.

Sally podnosi wzrok i nagle zaczyna gwałtownie mrugać oczami. Próbuje głęboko odetchnąć, ale jest zbyt rozedrgana, by to zrobić.

Patrzy prosto na Joanne. Jej oczy wypełniają się nagle łzami, a z ust wypływa potok słów.

– To ma jakiś związek z jej tatą – mówi. – Jej tajemnica dotyczy ojca. Tego właśnie miałam nikomu nie mówić.

## ROZDZIAŁ 20

Wracam do pracy i próbuję karmić kociaki strzykawką, ale nic z tego nie wychodzi. Wiem, że sprawiam im ból, i dochodzę do takiego etapu, kiedy wydaje mi się, że lepiej będzie zadzwonić po weterynarza i poprosić o śmiertelny zastrzyk. Jestem wściekła i smutna, ale staram się nie myśleć z nienawiścią o gnoju, który zostawił je na pastwę losu. Za dużo mnie to kosztuje. Pocieszam się myślą, że dzięki tej sytuacji dowiedzieliśmy się chociaż, że Banjo toleruje koty. To zwiększa jego szanse na adopcję. Nawet jeśli potencjalni właściciele nie mają kotów, raczej nie wezmą psa, który nie znosi innych zwierząt.

Dzwoni brzęczyk u drzwi, co znaczy, że ktoś czeka przed biurem. Zostawiam kociaki i idę do drzwi. Tak czy inaczej, powinnam zrobić sobie od nich przerwę, może napić się herbaty.

To Jackie Wagstaff.

Ludzie nazywają ją Szaloną Jackie, bo kiedyś często zdarzało jej się komuś przywalić, szczególnie dwa lata temu, gdy przechodziła wyjątkowo trudny okres.

Jej mąż roztrwoniał wszystkie pieniądze – zaciągał pożyczki na hipotekę domu bez wiedzy Jackie – i wpakował ich w ogromne kłopoty finansowe. Wpadł na pomysł, że wyciągnie ich z tych kłopotów, wystawiając na loterię dom. Była to ładna posiadłość, warta około trzystu tysięcy funtów, i wielu ludzi (w tym Joe i ja) kupiło losy po dwadzieścia pięć funtów za sztukę. Dzięki reklamie w miejscowej gazecie i ulotkom rozrzuconym po całym miasteczku sprzedali prawie osiem tysięcy losów, co przyniosło im niemal dwieście tysięcy funtów.

Wtedy mąż Szalonej Jackie uciekł z pieniędzmi. Katastrofa.

Nagle wszyscy odwrócili się od Jackie. Mówi, że wiele osób nadal przechodzi na drugą stronę ulicy na jej widok. Straciła przyjaciół, których znała od trzydziestu

lat.

Teraz Jackie pracuje jako opiekunka starszych ludzi i przynosi mi zwierzaki tych, którzy umarli.

Spoglądałam na nią ze zdumieniem, gdy wchodzi do biura z pustymi rękami.

– Co? – dziwi się, a potem kiwa głową. – Nie bój się, nic ci nie przyniosłam. Przyszłam pogadać. I zobaczyć, jak się trzymasz. Moja Joanne mówi, że ta zaginiona dziewczynka była u ciebie, kiedy zaginęła.

– No tak, w pewnym sensie – odpowiadam, a dopiero potem się dziwię: – Twoja Joanne? Masz na myśli detektyw Aspinall? To twoja córka?

– Siostrzenica.

– Nigdy nie wspominałaś, że masz siostrzenicę w policji.

– Nie lubi, kiedy się tym chwalę. Moim zdaniem mocno przesadza. Myśli, że jeśli ludzie się dowiedzą, zaczną przecinać jej opony. Tak czy inaczej, Joanne powiedziała, że bardzo się przejęłaś zaginioną dziewczynką, więc pomyślałam, że skoro jestem w okolicy, wpadnę i zobaczę, jak sobie radzisz.

– Prawdę mówiąc, staram się o tym nie myśleć. Nie wyobrażać sobie, co się z nią stało. Powrót do pracy trochę mi w tym pomógł. Chcesz może kota?

– Nie.

– A małego kociaka?

– Nie wolno nam trzymać zwierząt.

– Mogłabyś przemycić jednego. Nikt by się nie dowiedział.

– Właściciel na pewno by się dowiedział – śmieje się Szalona Jackie. – Poza tym to dom Joanne, a nie mój. Pozwala mi u siebie mieszkać, bo nie stać mnie na własne lokum. Nie pozwoli mi przygarnąć kota.

– Jasne. Ale musiałam próbować. Ledwo co się mieścimy ze wszystkimi zwierzakami, a ja przyniosłam właśnie kilka ledwie żywych kociąt... Jeśli przeżyją, nie będę miała gdzie ich umieścić. Co za dzień... – Wzdycham. – Co za kilka okropnych dni...

– Jak myślisz, co się stało z zaginioną dziewczyną?

– Ty pewnie wiesz więcej ode mnie.

– Co? Masz na myśli Joanne? Och, ona milczy jak kamień. Nie wolno jej, a zawsze sztywno trzyma się przepisów. Jak radzi sobie matka dziewczynki? Joanne mówiła, że się przyjaźnicie.

– Widziałaś konferencję prasową?

Jackie kiwa głową.

– Ja nie mogłam tego oglądać – mówię ze smutkiem. – Wystarczy, że wiem, na jakie cierpienia ich naraziłam, nie byłabym w stanie patrzeć, jak...

Milknę, bo otwierają się drzwi, a do biura wchodzi kobieta z terierem west highland.

Nosi wywatowany bezrękawnik z lśniącego materiału, drogie dżinsy włożone w różowe kalosze Hunter i dziwaczną futrzaną czapkę z nausznikami – jakby tropiła właśnie bobry.

Szalona Jackie spogląda na mnie znacząco i odsuwa się od biurka, przepuszczając kobietę.

– Dzień dobry – mówi. Ma jakieś czterdzieści pięć lat. – Przywiozłam Hamisha, bo się przenosimy na Bliski Wschód i zastanawiałam się, czy zechciałaby go pani kupić ode mnie. – Mówi radosnym, słonecznym tonem, jakby proponowała właśnie darmowe wakacje w tropikach.

Jackie chrząka głośno.

– Nie zajmujemy się sprzedażą – tłumaczę, a kobieta przechyla głowę.

– Ale to fantastyczny piesek, bardzo grzeczny i czysty. Mam tutaj jego świadectwo rodowodowe – mówi i macha małą kopertą.

Cierpliwie wyjaśniam, czym zajmuje się schronisko i na jakich zasadach działa. Choć chciałabym powiedzieć, że to ewenement – sytuacja, w której ktoś chce nam sprzedać rasowe zwierzę – tak niestety nie jest. Zdarza się to przynajmniej dwa razy w miesiącu. Ludzie naprawdę myślą, że obowiązują tu takie same reguły jak przy sprzedaży telewizora plazmowego. Dlaczego nie chcę kupić psa, jeśli proponują niską cenę? Skoro to wyjątkowa okazja?

Wzruszam bezradnie ramionami.

– Przykro mi – mówię. – Ale jesteśmy organizacją charytatywną.

Przyjazny uśmiech znika z jej twarzy, ustępując miejsca wyrazowi skupienia. Natrafiła na problem, którego się nie spodziewała.

– Oczywiście może go pani u nas zostawić – dodaję. – Mam jeszcze miejsce dla jednego psa, a jestem pewna, że znajdzie dobry dom.

– Powiedziałam mężowi, że odzyskamy za niego pieniądze – mówi, marszcząc brwi. – Sporo też na niego wydaliśmy i mieliśmy nadzieję, że zwróci się nam choć część kosztów, bo...

Nagle odzywa się Jackie.

– Pozbywa się pani tego biednego zwierzaka i jeszcze chce za to kasę?

Czułam, że się na to zanoszą, że Jackie się nakręca, ale miałam nadzieję, że zdoła jakoś nad sobą zapanować.

Kobieta jest oburzona tonem Jackie.

– Niczego się nie pozbywam – odpowiada. – Mój mąż otrzymał bardzo korzystną propozycję. Nie mieliśmy innego wyjścia, musimy się przeprowadzić.

– Zawsze jest jakieś wyjście – odpowiada Jackie. – To tylko kwestia priorytetów.

– Moje priorytety to moja rodzina, dlatego właśnie wyjeżdżamy! No dobrze – wzdycha, odwracając się do mnie. – Zapłaciliśmy za tego psa tysiąc czterysta funtów. Na pewno ktoś chętnie go odkupi, to czyste zwierzę i potrzebuje często wychodzić na spacer.

Jackie unosi brwi.

– Zwierzę? – powtarza bezgłośnie.

– Jestem pewna, że ktoś go kupi – kontynuuje kobieta, niewzruszona. – A jeśli schronisko nie jest w stanie za niego zapłacić, dam ogłoszenie w gazecie. Na pewno znajdą się chętni.

Jackie podchodzi do drzwi i wygląda na zewnątrz. Potem odwraca się z niewinną miną.

– Ten lexus należy do pani?

Kobieta potwierdza. Tak, to jej samochód.

– Jeździ pani samochodem za czterdzieści patyków i przychodzi tutaj, żeby znaleźć jakiegoś idiotę, który kupi tego cholernego psa? Psa, którego już pani nie chce?



– Nie chodzi o to, że go nie chcę. Już tłumaczyłam...

Jackie wraca do biurka i przerywa jej bezceremonialnie.

– Tak, tak, tłumaczyła pani... No dobrze, więc ja pani też coś wytłumaczę, bo Lisa jest zdecydowanie zbyt miła. Powiem pani, co powinna pani zrobić, skoro nie może pani dłużej opiekować się swoim psem... Więc wchodzi pani tutaj, życzliwa i skruszona – kontynuuje Jackie – i mówi: „Bardzo proszę, miła pani, która dostajesz jakieś marne grosze za sprzątanie po niewdzięcznych gnojach, po łajdakach, którzy mają w dupie swoje zwierzaki, czy mogłaby pani łaskawie wziąć ode mnie tego psa i znaleźć mu jakiś dobry dom, bo znalezienie dobrego domu dla mojego psa jest *sprawą najważniejszą*. Domu, w którym będą go kochać i troszczyć się o niego”. A potem mówi pani, bo jest bardzo wdzięczna tej miłej damie za rozwiązanie problemu: „Bardzo chciałabym ofiarować jakiś datek na to schronisko, bo prowadzenie takiej instytucji musi sporo kosztować. Musi pani płacić za jedzenie, za weterynarza, za ogrzewanie. Może wypiszę pani czek na jakąś ładną sumkę? Co? Nie, to żaden problem! Mój mąż jest dziany! Zatrudniła go jakaś banda Arabów, więc będziemy mieli kasy po dziurki w nosie. Naprawdę bardzo chętnie panią wspomogę”. – Jackie krzyżuje ręce na swoim obfitym biuście i gromi kobietę wzrokiem. – Właśnie tak powinna się pani zachować.

Kobieta wypada na zewnątrz, ciągnąc za sobą psa, a ja spoglądam na Jackie i kręcę głową.

– Nie możesz traktować ludzi w ten sposób.

– A kto mi zabroni? – warczy. – Zasłużyła sobie. Nie cierpię takich bab. Myślą, że dla kaprysu mogą uciec od odpowiedzialności. Nie wiem, jak ty możesz tu pracować, Liso, naprawdę nie wiem... A swoją drogą, widziałaś jej czapkę?

## ROZDZIAŁ 21

Teoretycznie nie powinniśmy mieć swoich ulubieńców.

Wiem, ale czasami trudno przestrzegać tej zasady.

Mamy teraz w schronisku teriera bedlingtona o imieniu Bluey, którego nikt nie chce. Siedzi w boksie sam, ponieważ jest trochę nerwowy i pragnie towarzystwa człowieka, a nie innych psów. Toleruje je, nie jest agresywny – bedlingtony rzadko takie bywają – ale woli być sam.

Bluey trafił do schroniska pięć miesięcy temu, a nikt go nie chce dlatego, bo jest stary. Ludzie nie adoptują starych psów, ponieważ wiadomo, że im zwierzak starszy, tym prawdopodobnie częściej choruje, co pociąga za sobą wydatki. Ale za każdym razem, gdy przechodzę obok jego boksu, kraje mi się serce. Bluey zawsze stoi przy bramce – nie siedzi ani nie leży – czeka. Zawsze czeka. Przypomina konie pozostawione w deszczu, uwiązane przed westernowym saloonem. Opuszczona głowa, lekko ugięte tylne łapy, na wpół przymknięte oczy.

W zeszłym tygodniu rozmawiałem o Blueyu z Joem i postanowiliśmy, że jeśli w ciągu najbliższych dwóch tygodni nie znajdzie domu, weźmiemy go do siebie.

Ale dziś, o drugiej po południu, dochodzę do wniosku, że Bóg jednak istnieje, bo gdy popadam w coraz większą depresję, przygnębiona sprawą Lucindy i śmiercią trzech kociaków, do schroniska wchodzi facet i mówi, że chce adoptować psa w potrzebie.

Natychmiast mówię mu o Blueyu. Wiek psa go nie zniechęca. Mówi, że właściwie woli starszego psa, bo nie ma teraz czasu zajmować się szczeniakiem.

– Nie potrafię nawet panu opisać, jakim spokojnym, łagodnym i kochanym psem jest Bluey – mówię. – Miał pan kiedyś psa?

– W dzieciństwie. Ostatnio poczułem się trochę samotny. Mieszkam tu od niedawna

i pomyślałem, że to dobry sposób na poznanie nowych ludzi.

Kiwam głową ze zrozumieniem, ale w rzeczywistości jakoś nie chce mi się wierzyć, że ten facet ma problemy z zawieraniem nowych znajomości. Odruchowo spoglądam na jego lewą dłoń. W miejscu, gdzie mężczyźni noszą obrączkę, widnieje ledwie widoczny pasek jaśniejszej skóry, więc albo niedawno się rozwiódł, albo zdjął obrączkę, żeby zabawić się poza domem.

Nosi woskowany płaszcz firmy Barbour do kostek i prążkowany wełniany szal założony w modny sposób, charakterystyczny dla ludzi dobrze sytuowanych – szal składa się na pół, owija szyję, a luźne końce przekłada przez pętle. Niektórzy wyglądają w takich szalikach, jakby się dusili, ale do tego faceta naprawdę to pasuje.

Daję mu trzydzieści cztery lata, może trzydzieści pięć. Jest atrakcyjny. I wie o tym.

– Mogę zapisać pana imię i nazwisko?

– Charles Lafferty.

Sięgam po długopis, ale oboje aż podskakujemy, wystraszeni hukiem samolotu Tornado przelatującego nisko nad ziemią. Całe biuro się trzęsie, a ja zamykam mocno oczy. To już trzeci w ciągu minionej godziny, więc powoli zaczynam mieć tego dość. Wydaje się, że w pogodne dni RAF wypuszcza wszystkie swoje myśliwce w powietrze i każe im wykonywać szalone ewolucje nad naszym miasteczkiem.

Charles Lafferty również się krzywi, zdegustowany hałasem. Gdy w końcu robi się cicho, pyta:

– Ma pani dużo psów do adopcji?

– Za dużo – odpowiadam. – I na pewno jeszcze ich przybędzie po Bożym Narodzeniu.

– Naprawdę? Ludzie wciąż kupują zwierzęta na prezenty? Myślałem, że to przeszłość. Było przecież tyle kampanii, tyle ostrzeżeń...

Na moment podnoszę na niego wzrok.

– Wygląda na to, że kampanie niewiele zmieniają. Ale niechciane szczeniaki z Bożego Narodzenia trafiają do nas dopiero w czerwcu, gdy już wyrosną i trudno nad nimi zapanować. Po Nowym Roku mamy wysyp niechcianych psów, bo Boże Narodzenie to dla wielu ludzi wyjątkowo stresujący okres. Nie radzą sobie, więc żeby

było im trochę łatwiej, w pierwszej kolejności pozbywają się psa.

– Biedne zwierzaki – wzdycha ze szczerym współczuciem. – Szkoda, że nie mogę wziąć więcej niż jednego.

– Jeden to i tak dużo. Proszę mi wierzyć. Gdyby każdy mógł wziąć chociaż jednego psa, to byłoby...

Plotę bez sensu.

– Chodźmy do Blueya – proponuję. – Namawiam do adopcji tego psa, a jeszcze go panu nie pokazałam.

Przewracam oczami, zirytowana własną nieudolnością, i oczekuję, że się roześmieje lub rzuci zabawną uwagę, ale on milczy. Przygląda mi się tylko dziwnie, a potem nagle, jakby przypomniał sobie, jak się to robi, uśmiecha się ciepło.

– Proszę za mną – mówię, po czym mijamy kilka boksów i zatrzymujemy się przy Blueyu.

Pies stoi tam, gdzie zwykle. Nie wiem, czy udałoby się znaleźć żałośniej wyglądające zwierzę.

– Proszę, oto Bluey.

Charles Lafferty przykuca. Nosi dobre, drogie spodnie w prążki i mokasyny z miękkiej cielęcej skóry. Nie pasuje do tego miejsca, do białych szpitalnych płytek i zapachu środków czyszczących.

– Wydaje się bardzo smutny – komentuje.

– Potrzebuje właściciela.

– Ale nie jest chory? – pyta Lafferty. – Nie ma depresji czy czegoś w tym rodzaju?

– Jest tylko samotny. Naprawdę potrzebuje towarzystwa. Może otworzę boks, żeby mógł pan przyjrzeć mu się bliżej? Trochę ożywa, kiedy cała uwaga skupia się na nim.

Charles wstaje z kucek.

– Tak, proszę otworzyć. Zobaczmy, jak się zachowa.

Żeliwna bramka zgrzyta i pojękuje żałośnie, kiedy ją otwieram. Bluey rzeczywiście natychmiast się ożywia. Patrzy na mnie, a potem na Charlesa i mogłabym przysiąc, że się uśmiecha.

– Proszę spojrzeć! – mówi Charles z podnieceniem. – Wygląda na zadowolonego!

Drapię Blueya za uchem, bo wiem, że to lubi, a on natychmiast opuszcza lekko powieki, rozluźnia się.

– Mogę? – pyta Charles.

– Oczywiście. Tylko proszę nie drapać go przy ogonie, nie lubi tego.

– Jest nauczony czystości, prawda?

– O tak – odpowiadam z przekonaniem, myśląc jednocześnie: „Właściwie nie mam pojęcia”.

Nie wiemy, czy psy, które do nas trafiają, są nauczane czystości, bo wszystkie muszą załatwiać się w boksach. Mam za mało ludzi, by wyprowadzać zwierzaki cztery razy dziennie. Kiedy już ktoś o to pyta, a ja nie jestem pewna, po prostu kłamię. Bluey naprawdę potrzebuje pomocy i zrobię wszystko, by ją dostał.

Odsuwam się i robię trochę miejsca, żeby mogli się lepiej poznać. Charles drapie Blueya za uchem, a ten mimowolnie porusza tylną łapą. Jestem tak wzruszona tym widokiem, że z trudem powstrzymuję łzy.

Jestem pewna, że go weźmie. Bardzo rzadko się zdarza, by ktoś, kto nawiązał taką więź z psem, odchodził, mówiąc, że jeszcze się zastanowi. „Proszę”, błagam w duchu, „proszę, weź go”.

Charles wstaje, patrzy na mnie lśnącymi oczami.

– Wezmę go – oświadcza z przekonaniem. – Mogę od razu?

– Obawiam się, że nie – odpowiadam. – Najpierw musimy załatwić kilka formalności. Potrzebuję kopii jakiegoś rachunku za prąd albo wodę, wie pan, żebym wiedziała, że ma pan mieszkanie, a nie sypia w samochodzie czy pod mostem. Potem muszę jeszcze obejrzeć pańskie mieszkanie albo dom i upewnić się, że Bluey trafi w odpowiednie miejsce.

– Oczywiście – kiwa głową. – Doskonale to rozumiem. Nie możecie przecież wysłać go byle gdzie, prawda?

– Otóż to. Ma pan przy sobie jakiś dokument potwierdzający miejsce zamieszkania? Jeśli tak, mielibyśmy to z głowy, a ja mogłabym wpaść do pana nawet jutro rano, jeśli pan zechce wyrazi zgodę.

– Niestety, nie mam przy sobie nic takiego – wzdycha. – Szkoda. Ale może

umówimy się tak, że przyjdę do pani rano z takim dokumentem, a pani odwiedzi mnie po południu, w porządku?

– Jasne, wspaniale – zgadzam się z uśmiechem ulgi. – Nawet pan nie wie, jak bardzo się cieszę, że daje pan szansę Blueyowi. Ogromnie się o niego martwiłyśmy, a wszystkie go uwielbiamy.

Pochyliła się, by pogłaskać psa po głowie. Potem się prostuje, mówiąc:

– Będzie doskonałym towarzyszem. Prawda, Bluey?

– Mieszka pan sam? Pytam, bo chyba lepiej, żeby nie zaczepiały go dzieci. Starsze psy na ogół wolą ciszę i spokój.

Jestem pewna, że Bluey tolerowałby dzieci. A nawet gdyby było inaczej, wysłałabym go i do głośnego domu, byle wyrwać staruszka ze schroniska. Prawdę mówiąc, zadałam to pytanie z czystej ciekawości.

– Tak – kiwa głową. – Mieszkam sam. Dość długo pracuję, ale mogę w ciągu dnia wpadać do domu. Moje biuro jest tuż obok, więc to żaden problem.

– A czym się pan zajmuje?

– Jestem notariuszem. Co prawda jeszcze jej o to nie pytałem, ale moja sekretarka uwielbia zwierzaki, więc może czasem będę zabierał go do pracy. Co pani o tym myśli?

– Bluey to idealny pies do biura. Jestem pewna, że będzie spokojnie leżał pod biurkiem.

– Jak chodzi na smyczy? Ciągnie mocno?

– Ani trochę.

– Mógłbym go teraz zabrać na krótki spacer? Wiem, że jest trochę zimno, ale naprawdę chciałbym się z nim przejść.

– Oczywiście. Właściwie zachęcamy nawet ludzi, żeby przeszli się z wybranym psem, zanim zdecydują się go adoptować. Przecież będziecie na siebie skazani. Dam panu smycz. Mam też chyba kombinezon, który pasowałby na Blueya.

– Świetnie – kiwa głową.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o jednej sprawie. To trochę krępujący temat. Otóż jako organizacja charytatywna nie możemy przyjmować opłat za psy, które oddajemy

do adopcji, ale zawsze prosimy w takiej sytuacji o wsparcie. Liczy się każdy grosz...

Zwykle w tym momencie ludzie klepią się po kieszeniach w poszukiwaniu portfeli, mówią, że bardzo chcieliby dać więcej, ple, ple, ple, ale ten facet stoi nieruchomo jak skała, a jego twarz pozostaje nieprzenikniona. Nieco zakłopotana, kontynuuję wyćwiczone przez lata przemówienie: – Same rachunki za usługi weterynarza sięgają dwudziestu pięciu tysięcy funtów rocznie – mówię – więc znaczną część datków przeznaczamy właśnie na ten cel. Bluey jest zaszczepiony i wykastrowany, więc...

Podnoszę brwi i uśmiecham się nieśmiało. Nadal żadnej reakcji.

– Smycz? – poganiam mnie, jakbym przez ostatnią minutę nic do niego nie mówiła.

– Tak, właśnie – bąkam. – Już po nią idę.

Nie robię nic, chociaż wiem, że coś tu nie gra, Udaję, że wszystko jest w porządku, i ciągnę sprawę dalej. Czy to głupota? Ignorancja?

Zapewne jedno i drugie.

Nie wiem do końca, o co w tym chodzi, ale czterdzieści pięć minut później Charles Lafferty wciąż nie wraca ze spaceru z Blueyem, a ja zaczynam się denerwować. Ziemia jest zamarznięta, powietrze mroźne. Dokąd on właściwie zabrał Blueya na ten „krótki spacer”?

Wychodzę na zewnątrz, żeby ich wypatrywać, i dopiero wtedy zauważam, że na parkingu stoją tylko trzy auta. Moje, Lorny i Shelley, drugiej z moich pracownic, która jeździ rozklekotanym fordem fiestą.

Charles Lafferty zniknął bez śladu.

I co najdziwniejsze, zabrał ze sobą Blueya.

## ROZDZIAŁ 22

Dochodzi piąta po południu. Przez ostatnie dwie godziny Joanne starała się stworzyć portret Guya Riverty'ego. Zamierza pojechać do Troutbeck i przesłuchać go ponownie, gdy tylko McAleese da im zielone światło. Inspektor chce najpierw przeszukać posiadłości Riverty'ego w okolicy Troutbeck. Jeśli niczego nie znajdą, rozszerzą poszukiwania.

Ron Quigley przegląda rejestr sprawców szczególnie brutalnych przestępstw oraz przestępstw na tle seksualnym. Nie jest szczególnie zadowolony z przydzielonego zadania. Raz za razem cmoka i kręci głową, co jakiś czas wrywa mu się uwaga w rodzaju „Pierdolone zboki”. Joanne przypuszcza, że to całkiem naturalna reakcja.

Sprawcy przestępstw na tle seksualnym co roku potwierdzają swoją rejestrację, co oznacza, że muszą informować policję o wszelkich istotnych wydarzeniach w życiu – zmianie adresu, pracy i tak dalej. Jeśli tego nie zrobią, grozi im nawet pięć lat więzienia, co powinno być skutecznym środkiem odstraszającym.

Ale czy jest?

Czy przestępcy rzeczywiście informują policję o każdym swoim ruchu? Joanne raczej w to wątpi.

Ron sprawdza, czy któryś z osobników zapisanych w rejestrze przeniósł się w ciągu ostatniego półrocza do Kumbrii, wygląda jednak na to, że nie potrafi się skupić na zadaniu i czyta opisy przestępstw. Jak można było przypuszczać, Guy Riverty nie figuruje w tym rejestrze, ale McAleese kazał Ronowi doprowadzić przegląd do końca, gdyby trop dotyczący Riverty'ego zawiódł ich w ślepią uliczkę.

Joanne odsuwa krzesło od biurka i mówi:

– Idę po kawę, Ron. Przynieść ci?

– Tak, poproszę. Masz może rennie? Mój żołądek nie chce się uspokoić.



– To przez ciężkie śniadania. Powinieneś poprosić żonę, żeby robiła ci owsiankę. Ron zerka na nią z ukosa. Nie należy do mężczyzn, którzy jedzą owsiankę.

– Nic mi nie było, dopóki nie zacząłem czytać o tych palantach.

– Jasne. Zobaczę, co da się zrobić.

Wychodząc z biura, Joanne słyszy, jak Ron mruczy do siebie:

– Szukanie igły w stogu siana...

Idzie korytarzem, mija biuro inspektora Pete'a McAleese'a, który wrzeszczy na kogoś przez telefon. Joanne nuci pod nosem skoczną melodię, dochodzi do wniosku, że robi to chyba trochę za głośno – szczególnie jak na osobę, która prowadzi śledztwo w sprawie porwania dziecka i prawdopodobnie gwałtu.

Zamawia w automacie dwie kawy i myśli o Guyu Rivertym. Nie może się pozbyć wrażenia, że ojciec Lucindy ma jakiś związek ze sprawą. Sprawdziła chwilę wcześniej w internecie, które z jego posiadłości są teraz wynajęte. Niewiele. Większość stoi pusta, następne rezerwacje dotyczą okresu tuż przed świętami.

Domy należące do Riverty'ego to piękne, luksusowe apartamenty. Minęły już czasy tanich kwater po piętnaście funtów za noc ze śniadaniem. Nie ma już takich miejsc. Krainę Jezior odwiedza teraz inna klientela. Owszem, nie brakuje pieszych turystów, którzy wędrują po okolicy z plecakiem, ale najważniejsi są bogacze szukający wytchnienia od pracy. Tacy wymagają marmurowych łazienek większych od domu Joanne. Chcą jadać w restauracjach z gwiazdkami Michelina. Chcą pływać wieczorem po jeziorze na luksusowych jachtach i sączyć różowego szampana.

Wszystkie posiadłości Riverty'ego mają pięć gwiazdek. Stawia na nowoczesne wykończenie, w którym ogrzewanie podłogowe jest standardem. Minionego popołudnia Joanne wyobrażała sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby zamieszkała w jednym z takich domów w Hawkshead. Chodziłaby boso po dębowych podłogach, parzyła kawę we wbudowanym w ścianę ekspresie, naprzeciwko wpuszczonego w ścianę telewizora. Żadnych zwisających kabli, które by ją irytowały. Jakiś bezimienny adonis czekałby na nią w sypialni na górze...

W tym momencie otrząsa się ze snów na jawie i wraca do pracy. Pożycza od sprzątaczkii Mary rennie dla Rona i wraca do niego z kawą. Ron siedzi z ponurą

miną.

– Wolisz usłyszeć najpierw złą wiadomość czy złą wiadomość?

Joanne siada na skraju jego biurka.

– Wal.

– Zniknęła następna dziewczyna.

– Cholera. Jak?

– Nie znam jeszcze szczegółów. Dopiero się dowiedziałem. Co oznacza...

– Co oznacza, że nie wypuścił Lucindy Riverty. Co oznacza, że dziewczyna prawdopodobnie nie żyje.

– Chcesz usłyszeć drugą złą wiadomość?

– Mów.

– Sierżant walczy na dole z dziennikarzami z tabloidów. McAleese chce, żebyś wygłosiła oświadczenie. Uważa, że kobieta bardziej się do tego nadaje... i... – wzdycha ciężko.

– Jest coś jeszcze?

– Tak. Twój Guy Riverty na pewno nie miał z tym nic wspólnego. Przykro mi, Joanne, ale to po prostu nie on.

*To uczucie narasta w nim z każdą chwilą, dociera do punktu, w którym nie może już nad nim zapanować. To najlepsza część. Część przed. Tuż przed.*

*Leży na plecach, ma otwarte, szkliste oczy. Patrzy, ale nie widzi. Wolałby, żeby go widziała, ale to niemożliwe. Może później.*

*W tym świetle jej skóra jest bledsza. Nie kala jej żadna krostka, żadna zmarszczka. Jej uda są gładkie jak alabaster. Jej brzucha nie przecinają srebrzystobiałe pasma.*

*Jej ostre, kanciaste kości biodrowe celują prosto w niebo. Przypominają raczej źle ułożone łopatki niż kości miednicy.*

*Nie mówi.*

*Leży obok niej. Bawełniane prześcieradło przesuwa się po folii ułożonej pod spodem, nieprzyjemny szelest wdiera się w kojącą ciszę. Porusza głową. Wie, że on jest obok, ale nie boi się go. Chce go. Rozchyła usta, ale nie w ten ordynarny sposób, który dobrze zna. Próbuje mu coś przekazać. Gdyby mogła teraz mówić, poganiałaby go, nakłaniała, by już zaczął.*

*Obejmuje palcem wskazującym i kciukiem swój nadgarstek i krąży nim nad podbrzuszem dziewczyny. Zdjął już jej stanik – tak jak przypuszczał, wcale go nie potrzebowała. Robiła to samo, co jej przyjaciółki. Starła się dopasować. Wolałby, żeby tego nie robiła. Ma jeszcze mnóstwo czasu, by dorosnąć. Wydaje się, że wszystkie chcą być dorosłe jak najszybciej, a nie zdają sobie sprawy, jak wielki popełniają błąd.*

*Powietrze między jego palcami i jej ciałem powoli się rozgrzewa. Przepływa tędy energia, która łączy ich ze sobą. To święta przestrzeń. Tutaj jednoczą się ze sobą w najczystszy sposób.*

*Jej usta zapraszają go bezgłośnie. Czas, by zdjął ubranie. Dłonią w rękawiczce delikatnie rozsuwa jej nogi i bierze aparat z biurka. Jej czystość, jej świeżość jest zdumiewająca.*

*Potem kładzie się na niej i pozwala, by zabrała go tam, gdzie chce się znaleźć.*

## ROZDZIAŁ 23

Minęła właśnie siódma wieczorem, siedzę z Joem przy kuchennym stole. Dzieciaki są na górze. Sally rozmawia przez telefon ze swoją szkolną przyjaciółką, Kitty. Wydaje się, że dotarła do punktu, w którym musi się wygadać, porozmawiać z kimś – ale nie z nami. Dziś po południu znów przesłuchiwała ją policja. Pytali o mężczyznę, z którym spotykała się Lucinda, ale Sally nie chce ujawniać szczegółów, uważa, że wywieram na nią presję, i powtarza, że powiedziała mi już wszystko.

Chłopcy grają w Minecraft. Wydaje się, że ta gra podbiła serca wszystkich angielskich nastolatków, ale ja nie wiem jeszcze, co jest w niej takiego pociągającego. Ogarnia mnie poczucie winy. Co jakiś czas domagam się od Joego, żebyśmy robili więcej rzeczy razem.

– Powinniśmy grać w gry planszowe, zjeść coś na mieście... Nigdy nie poświęcamy dzieciakom naszego wolnego czasu.

Joe odpowiada wtedy:

– Nudzimy się już po pół godzinie gry w Monopoly, a nie mamy wolnych osiemdziesięciu funtów, żeby zjeść całą rodziną na mieście. Poza tym ile razy muszę ci powtarzać, że dzieciaki nie lubią, kiedy organizujemy im czas.

Ma rację. Nie lubią. Ale potem oglądam *Supernianię* i czuję się okropnie, kiedy mówi, że rodzice spędzają z potomstwem tylko czterdzieści minut dziennie i to jest właśnie główna przyczyna złego zachowania dzieci.

– Te dzieciaki nie umieją się normalnie zachowywać, ponieważ ich rodzice są idiotami – tłumaczy mi Joe. – Robimy, co możemy, Liso. Dajmy już temu spokój, dobrze?

Joe jest dzisiaj wyczerpany. Dwukrotnie jechał do Lancaster, co samo w sobie nie jest szczególnie męczące, ale po południu spadł marzący deszcz – nie widziałam

czegoś takiego nigdy dotąd – a drogi zamieniły się w ślizgawkę. Nietrudno teraz o wypadek.

Kiedy wyszłam z pracy, myślałam, że na chwilę odetchniemy od śniegu, bo wszystko pokrywała wilgoć. Kiedy jednak stanęłam na stopniu, zrozumiałam, że to nie wilgoć, lecz warstwa lodu, pozostałości po deszczu, który zamarzył natychmiast po zetknięciu z podłożem.

Po drodze do domu widziałam trzy samochody w rowach i dwa wypadki. Widziałam też staruszka, który na czworakach wdrapywał się po schodach prowadzących do drzwi jego mieszkania.

Po powrocie z pracy Joe natychmiast wyszedł. Grupa jego przyjaciół z pubu chciała przeszukać brzegi rzeki – bez wiedzy Guya i Kate. Joe przed chwilą wrócił z tej wyprawy.

Jest wykończony i wygląda okropnie. Ma głębokie bruzdy pod oczami, lewa powieka lekko mu opada, trzydniowy zarost przetykają pasma siwizny. Wydaje się, że posiwał niemal z dnia na dzień, jakby w momencie gdy skończył czterdzieści lat, zużył do końca zapas pigmentu. Obejmuję go od tyłu i całuję delikatnie w kark. Potem, gdy się prostuję, dostrzegam głębokie rozcięcie z tyłu jego głowy, widoczne nawet przez włosy.

– Co ci się stało? – pytam.

– Walnąłem się, kiedy wysiadałem z samochodu.

Przyjmuję to do wiadomości. Nawet nie pytam, czy coś znaleźli nad rzeką, bo znam odpowiedź. Nie szukali zresztą długo. Jeden z nich poślizgnął się na lodzie i przejechał dobre trzydzieści metrów, zrezygnowali więc i wrócili do domu. O ile wiem, policja też nie zrobiła żadnych postępów.

Mówię Joemu o kradzieży Blueya i pytam, czy jego zdaniem powinnam zawiadomić policję. Przeciera oczy i mówi:

– Teraz mają chyba za dużo na głowie, żeby martwić się jeszcze skradzionymi psami. Poza tym Bluey ma wreszcie dom, a o to ci chodziło. Facet pewnie nie chciał dać ci pieniędzy, może nie było go stać.

– Rzecz w tym, że wyglądał na zamożnego. Zresztą mówił, że jest notariuszem.

Na pewno nie brakowało mu pieniędzy.

– Jakim samochodem jeździł?

– Nie zwróciłam uwagi.

– Ludzie są dziwni, kochanie. Kto wie, o co mu chodziło? Na twoim miejscu dałbym sobie spokój.

Nie ma ochoty ani siły słuchać moich narzekań. Nie dziwię mu się. Pada ze zmęczenia. Jego skóra jest tak szara, jakby wykopano go spod ziemi.

Sprzątam talerze. Joe zostawił zielone ogonki po papryczkach chili. Sprawdzam pod krzesłem, czy nie spadły tam kawałki papryczek, bo Ruthie, nasza suczka, zjada je, a potem warczy na podłogę, kiedy piecze ją język.

– Być może jutro odwołają lekcje w szkołach – mówi Joe, nalewając sobie piwa. – Wszędzie jest lód. Nikt nie da rady dojechać... Zastanawiam się, czy nie powinniśmy wymienić twojego samochodu na land rovera. Jest bezpieczniejszy...

– Chętnie, tylko za co? Nie będę kupowała jakiegoś starocia, bo wydamy majątek na naprawy. – Potem dodaje bez przekonania. – Możemy wziąć pożyczkę.

Joe nie odpowiada. Nasze finanse są w opłakanym stanie. Nie mamy niczego oprócz samochodów. Nigdy nie będzie nas stać na kupno posiadłości w tej okolicy, a gdybyśmy nie dostali tego domu dzięki pomocy funduszu mieszkaniowego, który wynajmuje lokale po przystępnych cenach ludziom tutaj urodzonym, nie moglibyśmy sobie nawet pozwolić na wynajem mieszkania w miasteczku, gdzie czynsz wynosi przeciętnie dwa tysiące funtów miesięcznie. Wykorzystałam cały limit na karcie kredytowej, żeby kupić dzieciom prezenty na Boże Narodzenie. Właściwie taka sytuacja powtarza się co roku.

Joe podnosi wzrok.

– Odłożymy sprawę samochodu na później – mówi zdecydowanie. Wiem, że oboje myślimy o tym samym. Kupno nowego samochodu jest nierealne, dopóki mieszkamy z nami trójka dzieci, którym chcemy zapewnić bezpieczne, szczęśliwe dzieciństwo. Joe uśmiecha się do mnie ze smutkiem.

– Może powinniśmy zaproponować, że podwieziemy jutro Fergusa do szkoły, jeśli nie odwołają lekcji. Zaoszczędzilibyśmy kłopotu Kate i Guyowi.

– Dobry pomysł. I tak miałam do niej zadzwonić, zapytać, jak się czuje.

Wchodzi James i częstuje się chipsami, które kupiłam dziś rano w Asdzie. Cud, jeśli cokolwiek zostanie do jutra. Czasami wydaje mi się, że mam w domu szarańczę, a nie trójkę dzieci.

James dostrzega, że tata nie zachowuje się tak jak zwykle, i zaczyna łagodnie masować jego ramię. Przyglądam się temu ze zdumieniem, bo James już od dawna nie pozwalał sobie na takie czułości.

– Tato – mówi. – Pewnie nie wiesz, ale znam się trochę na medycynie... i wydaje mi się, że możesz mieć... wylew. – Śmieje się, wciąż masując ramię Joego, rozbawiony swoim żartem. Potem idzie na górę, jakby wydarzenia ostatnich dwóch dni nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia.

Przygotowuję kąpiel dla Joego. W łazience jest zimno jak w lodówce, bo w naszym starym domu nie ma podwójnych szyb, a nad tym pomieszczeniem brakuje izolacji. Trzeba stamtąd szybko uciekać.

Nalewam Joemu jeszcze jedno piwo i stawiam obok szeregu szamponów i płynów do kąpieli, które Sally kupiła, gdy poszła na zakupy z przyjaciółkami. Kładę piżamę i szlafrok Joego na grzejniku w sypialni, jak robiłam to niegdyś dla dwójki starszych dzieciaków i nadal robię dla Sama. Potem wołam, że kąpiel jest gotowa.

Kiedy Joe relaksuje się w kąpielni, schodzę na dół i dzwonię do Kate. Odbiera Guy, już po pierwszym sygnale.

– Guy, tu Lisa. Są jakieś wiadomości?

Słyszę jakiś hałas w tle, trzask drzwi, przytłumione krzyki. To może być Kate, choć nie mam pewności.

– Guy – mówię łagodnie. – Wszystko w porządku?

– A jak ci się wydaje? – warczy.

– Przepraszam... – jąkam się, zdumiona. – Chciałam tylko zaproponować, że zabierzemy jutro Fergusia. No wiesz, pogoda jest paskudna, więc możemy pomóc i zawieźć go do szkoły.

Guy wzdycha ciężko, jakby z pogardą.

– To naprawdę kiepska pora, Liso.

- W porządku, przepraszam, że zawracam ci głowę, chciałam tylko...
- Daj nam już spokój, dobrze? Po prostu się rozłącz, do jasnej cholery.
- Ale... ja...

Guy odkłada słuchawkę.

Stoję w kuchni i patrzę na słuchawkę, gdy ktoś zaczyna się dobijać do frontowych drzwi.

Biegnę i otwieram, myśląc: *Kate! A może Lucinda?* Pociągam za klamkę i kulę się, owiana zimnym powietrzem. Na schodach stoi siostra Kate.

- Alexa – mówię. – Skąd się tu wzięłaś?
- Gdzie Joe? – pyta, przepychając się obok mnie do środka.
- W łazience. Dlaczego pytasz? Co się stało?
- Powiedz mu, żeby wyszedł – rozkazuje.



## ROZDZIAŁ 24

Sally jest w kuchni, nalewa sobie mleko, gdy wpada tam Alexa.

– Możesz zostawić nas same, Sally? – nakazuje.

Sally patrzy na mnie ze zdumieniem, bo Alexa wygląda tak, jakby kompletnie pomieszało jej się w głowie.

Jest ubrana w niebieskie spodnie od piżamy, śniegowce i czarną, watowaną kurtkę. Jej jedwabiste blond włosy, ściągnięte w kucyk, są teraz wilgotne od śniegu. Pod oczami ma ciemne smugi, resztki rozmytego tuszu do rzęs.

Kiwam głową Sally, co ma oznaczać „Zmykaj”, a kiedy wychodzi na zewnątrz, odwracam się do Alexy.

– O co chodzi? – pytam.

Zauważyłam już, że nie jest to ten sam gniew, którym kipiała po zniknięciu Lucindy. Chcę to jednak usłyszeć od niej, zanim całkiem się załamie. Patrzę z udawaną pewnością siebie.

– Zawołaj Joego – odpowiada, zaciskając zęby.

Pięć minut później Joe wchodzi do kuchni. W uszach i nosie ma jeszcze resztki kremu do golenia. Alexa odwraca się do niego.

– Joe, twoja żona i mój mąż mają romans – mówi.

Joe parska głośno. Patrzy na mnie z nadzieją, że oboje zaraz wybuchniemy śmiechem. Widzi, że się nie uśmiecham, i blednie jak ściana.

– To prawda? – pyta.

– Oczywiście, że prawda! – uprzedza mnie Alexa, wrzeszcząc piskliwie. – Myślisz, że przyszedłbym tutaj w takim stanie? – mówi, wskazując na piżamę. – Myślisz, że przyszedłbym tutaj, gdyby to nie była prawda? Dobry Boże, Joe, na jakim ty świecie żyjesz?

Joe przełyka ciężko. Po chwili pyta cicho:

– Jak długo?

Podnoszę wyprostowany palec wskazujący.

– Raz – szepczę. Nie potrafię spojrzeć mu w oczy.

– Raz? Gównno, nie raz! – wydziera się Alexa. – Jeśli myślisz, że uwierzę w te bzdury, to jesteś jeszcze głupsza, niż myślałam. Oczywiście, że to nie był tylko jeden raz. Kto, kurwa, robi to raz? Pewnie chcesz mi wmówić, że zrobiłaś to raz, a potem nie potrafiłaś z tym żyć, tak?

– Coś w tym rodzaju – mrużę.

– Kiedy to było? – pyta Joe.

– Kiedy poszliśmy do Guya i Kate na kolację – odpowiadam.

– Ale to... całe wieki temu – mówi Joe, marszcząc brwi.

– Trzy albo cztery lata temu – precyzuję.

Alexa wodzi wzrokiem ode mnie do Joego i z powrotem.

– Tylko tyle? – pyta. – Nie powiesz nic więcej?

Joe odwraca się do niej. Wzdychając ciężko, mówi:

– A co według ciebie mam jej powiedzieć? Może ty mi powiesz? Albo, jeszcze lepiej, powiesz jej to sama?

– Chcę wiedzieć, ile razy. Chcę wiedzieć, gdzie się spotykają. Chcę wiedzieć dlaczego.

Joe patrzy na mnie.

– Liso?

– Raz. To zdarzyło się tylko raz. Nigdzie się nie spotykamy, był tylko tamten jeden raz...

– Och, przestań pieprzyć – przerywa mi Alexa, zniesmaczona. – Jesteś równie beznadziejna, jak on.

– Kto? – pyta Joe.

– Adam.

Zaciska dłonie na oparciu krzesła. Kostki jej dłoni całkiem zbieleły.

– Ustaliście wspólną wersję? – pyta. – Umówiliście się z Adamem, zanim mi się

przyznał? „Powiedzmy, że to się zdarzyło tylko jeden raz, który nie miał żadnego znaczenia, że to była tylko chwila szaleństwa. Trzymajmy się tej wersji, a wtedy nikt nam nie udowodni, że było inaczej, prawda?”

– Raz ci nie wystarczy? – pytam, patrząc jej prosto w oczy.

Nie odpowiada.

– Dlaczego to zrobiłaś, kochanie? – pyta łagodnie Joe.

Wzruszam bezradnie ramionami.

– Byłam pijana.

– A cóż to za wymówka – syczy Alexa.

– Prawdziwa. Wyjaśnię, skoro prosisz. Mogę powiedzieć, że alkohol zaburzył działanie mojego moralnego kompasu albo że zatarł granice, albo też że straciłam samokontrolę. Ale byłam po prostu bardzo, bardzo pijana.

– Zawsze pieprzysz się z innymi facetami, kiedy się upijesz?

Spoglądam na Joego.

– Przepraszam – mówię bezgłośnie. On patrzy na mnie przez chwilę, a potem powoli zamyka oczy.

– Dlaczego wybrałaś mojego męża? – pyta Alexa płaczącym tonem. – Dlaczego właśnie Adama?

– Nie wybrałam Adama.

Gromi mnie wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Och, przestań już zmyślać”.

– To on wybrał mnie.

Alexa, urażona, odwraca się do Joego.

– Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego nic nie zrobisz? – W końcu wybucha płaczem. – Cóż z ciebie za mężczyzna, Joe?

– Wolałbym porozmawiać z żoną, kiedy wyjdiesz – odpowiada, ignorując obraźliwe pytanie. Potem nieco już łagodniej dodaje: – Jak się dowiedziałaś?

– Ten gnojek mi powiedział. Twierdzi, że nie da rady dłużej tego ukrywać. Że to dręczyło go od lat, ale nie potrafił się zebrać na odwagę. Kto jeszcze wie o waszym romansie?

– To nie był romans.

– Wszystko jedno. Komu mówiłaś? Na pewno nie swojemu mężowi. Ale chciałabym wiedzieć, kto jeszcze śmieje się ze mnie za plecami.

Przestępuję z nogi na nogę.

– Nikt o tym nie wie – kłamię, by chronić Kate. Jezu, jeśli Alexa się dowie, że jej siostra trzymała to w tajemnicy... – Nikt – powtarzam stanowczym tonem. – Nikomu nie mówiłam.

Alexa ociera oczy.

– Dlaczego Adam powiedział ci właśnie teraz? – pyta Joe. – Po tylu latach? To nie ma sensu.

– O to samo go zapytałam – warczy Alexa. – Ale on tłumaczył, że przez historię z Lucindą nie mógł już dłużej trzymać tego w sekrecie.

Joe kiwa głową.

– Napijesz się czegoś, Alexo? – pyta.

– Nie. Pójdę już. Nie wiem, czego się spodziewałam, przychodząc tutaj, ale muszę powiedzieć, Joe, że radzisz sobie z tym lepiej niż ja. – Odwraca się do mnie. – Chorujesz na coś? – pyta, a ja kręcę przecząco głową. – Świetnie. Muszę uwierzyć ci na słowo, prawda?

– Przepraszam, Alexo – mówię słabo. – Gdybym mogła jakoś cofnąć czas, zrobiłabym to. Mogę tylko powiedzieć, że nie chciałam nikogo zranić. Nie planowałam tego. To się po prostu stało.

Alexa znów mierzy mnie gniewnym spojrzeniem.

– Takie rzeczy nie zdarzają się „po prostu”. Zawsze kryje się za tym jakaś patologia. Od samego początku czułaś do mnie urazę. Wiem, że Kate jakoś cię znosi. Wiem, że jesteś czymś w rodzaju jej osobistego projektu. Wyobraża sobie, że może zbawiać ludzi, że może rozmawiać z maluczkimi i sprawiać, że czują się lepiej. Ostrzegałam ją, naprawdę. Mówiłam: „Kate nie możemy się zadawać z takimi ludźmi. Nic dobrego z tego nie wyniknie”. Ale ona mnie nie słuchała. I spójrz, co się z nami stało. Nie tylko pieprzyłaś się z moim mężem, ale przez ciebie Kate straciła jedyną córkę.

## ROZDZIAŁ 25

Leżymy w łóżku, zegar pokazuje 23.40, oboje wpatrujemy się w sufit.

Joe nie odezwał się dotąd ani słowem. Próbowałam nakłonić go do mówienia, chcę, żeby mówił, ale on milczy. I wcale nie chodzi o to, że chce mnie ukarać. To coś gorszego. Po prostu nie jest w stanie mówić, jakby uważał, że jeśli przyjmie do wiadomości tę potworność, która nas dotknęła, stanie się ona nieodwołalną prawdą.

Leżę i czekam. Ciężki kamień, który nosiłam w brzuchu od zaginięcia Lucindy, zamienił się w płynny metal, który wypala mi wnętrzności. Nienawidzę samej siebie. Nienawidzę tego, co zrobiłam.

Zaczynam myśleć o Bożym Narodzeniu, martwię się, że święta zamienią się w katastrofę. To absurdalne, bo nie wiem nawet, czy tutaj będę. Czy Joe zostanie, czy odejdzie, przeprowadzi się do swojej matki?

Nie mogę uwierzyć, że to nas spotyka.

Tyle miłości, którą włożyliśmy w nasze małżeństwo. Wszystko stracone. Tyle energii i poświęcenia, by utrzymać pięcioosobową rodzinę, wypełnić jej życie miłością. A ja zmarnowałam to w ciągu – ilu? Trzech minut? Trzech krótkich, odrażających minut.

Łóżko pomiędzy mną i Joem jest zimne. Sięgam ręką przez stare, wysłużone prześcieradło. Wydaje mi się, że ta przestrzeń jest szersza niż zwykle. Dotykam dłoni Joego. Nie odsuwa jej.

– Powiedz mi tylko jedno – mówi głucho. – Czy oszukiwałam sam siebie, myśląc, że to wszystko, co nas łączyło, jest prawdą? Czy przez te wszystkie lata oszukiwałam sam siebie?

– Nigdy. – Płaczę cicho.

– Więc dlaczego? Dlaczego mi to zrobiłaś? Mówiłaś kiedyś, że to jedyna rzecz, której byś mi nie wybaczyła. Że gdyby coś takiego się stało, nie byłoby już odwrotu.

– Pewnie wolałbyś tego nie słyszeć, ale nadal myślę, że gdybyś mnie zdradził, odeszłabym. Nie mogłabym się z tym pogodzić. Nie mogłabym znieść myśli, że byłeś w innej kobiecie.

– Ale jeśli ty to zrobisz, to wszystko jest w porządku, tak?

– Wcale nie jest w porządku. To najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam. Wyrządziłam krzywdę tobie, człowiekowi, którego kocham najbardziej na świecie. – Próbuję dotknąć jego twarzy, ale odwraca głowę. – Brzydziłam się samej siebie, odkąd to się stało, byłam u lekarza, bo wciąż miałam problemy z żołądkiem...

– Pamiętam – mówi. Nie wiem dlaczego, ale tak mnie porusza, że zaczynam szlochać. Być może dlatego, że pamiętam troskę, jaką mi wtedy okazywał. Martwił się, że dolega mi coś poważnego. A ja po prostu nie mogłam żyć z samą sobą. I nie mogłam mu o tym powiedzieć.

Milczymy.

Po chwili, która wydaje się wiecznością, odwraca się do mnie.

– Przestałaś mnie kochać? O to chodziło? – pyta.

– A czy ty kiedykolwiek czułeś, że przestałeś mnie kochać? Bo ja nigdy.

– Nie. Myślałem, że jesteśmy niezniszczalni. Że jesteśmy kimś więcej niż ci idioci.

– Ma na myśli Kate i Guya, Alexę i Adama. – Kiedy tam poszliśmy, a oni udawali, że mają to co my, siedziałem tam, patrzyłem na ciebie i czułem, jak rozpiera mnie radość i duma. Bo tylko my byliśmy prawdziwi.

– Skoro tak czułeś, to dlaczego tyle wypiełeś?

– Darmowe piwo – odpowiada, a ja nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Myślałam, że czujesz się tak jak ja. Niepewna siebie, maluczka, jak to powiedziała Alexa. Wiem, że to brzmi absurdalnie i że robię z siebie idiotkę i snobkę, ale jest w tym trochę prawdy. Tak właśnie często myślę.

– Że one są lepsze od ciebie?

– Bo są lepsze ode mnie.

Joe wzdycha.

– Liso, mylisz sposób, w jaki cię traktują, z prawdą. Myślisz, że są lepsze od ciebie, bo tak się zachowują. Myślisz, że ponieważ mają pieniądze...

– Tu nie chodzi o pieniądze – przerywam mu. – Chodzi o wszystko. Nie umiem ułożyć sobie życia tak jak one, nie umiem tak panować nad dziećmi, a...

– One nie pracują, Liso, do ciężkiej cholery. Nie możemy po prostu trzymać się faktów? Czy dlatego zrobiłaś to, co zrobiłaś? – Dotyka mojej twarzy, ociera łzy. – Dlatego różnęłaś się z tym dupkiem?

– Nie wiem, może dlatego. Schlebiało mi, że zwrócił na mnie uwagę. Że mnie chciał.

– Oczywiście, że chciał ciebie zamiast niej. To oczywiste. Jak mógłby cię nie chcieć, kochanie?

DZIEŃ TRZECI  
CZWARTEK



## ROZDZIAŁ 26

Sen.

Jedna z niewielu rzeczy, których nie można kupić.

Kiedyś prowadziliśmy grę, którą można nazwać: Kto spał krócej? Pewnego razu, gdy dzieci były jeszcze maleńkie, a ja nie miałam dość sił, by zmierzyć się z następnym dniem pracy, Joe zaczął liczyć na palcach godziny snu. Za każdym razem twierdził, że spałam co najmniej o dwie godziny dłużej niż on. Zaczęliśmy nawet prowadzić rejestr przespanych godzin w postaci tabeli, którą zawiesiliśmy na drzwiach lodówki. Aż któregoś dnia, gdy jechałam po zdziczałe koty uwięzione w jakiejś cuchnącej szopie, zobaczyłam, jak siedzi w samochodzie zaparkowanym w zatoczce, rozparty wygodnie na odchyłonym oparciu fotela, i smacznie sobie śpi. Mówił potem, że czekał na klienta. Wtedy właśnie, jedyny raz w całym naszym wspólnym życiu, naprawdę go nienawidziłam.

Teraz leżę obok niego, wsłuchuję się w jego ciche chrapanie i dziękuję losowi. Wczoraj wieczorem tuliliśmy się do siebie, ja zapłakana i skruszona, on wycieńczony i skołowany.

Niemal już zapomniałam o telefonicznej rozmowie z Guyem Rivertym, ale gdy zapadaliśmy w sen, przypominałam sobie wszystko, usiadłam prosto i powiedziałam Joemu, jak Guy kazał mi się rozłączyć „do cholery”.

Wiem, że nie zasługuję na uprzejmość ze strony Guya, ale gwałtowność reakcji naprawdę mnie zszokowała. Joe nawet w tych trudnych dla niego chwilach starał się przemówić mi do rozsądku. Mówił, że Kate i Guy są pod ogromną presją i że nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jak się czują. Jeśli chciał zrzucić winę na mnie i rozłączyć się „do cholery”, miał prawo tak się zachować.

Teraz, kiedy się już trochę wyspałam, nie przejmuję się tak mocno wrogością Guya.

Zaginęła ich córka, więc różnego rodzaju irracjonalne zachowania są więcej niż zrozumiałe.

Stoję przed lustrem w łazience i przyglądam się uważnie swojej twarzy. Skóra na powiekach i skroniach pokryta jest maleńkimi czerwonymi kropeczkami, które przypominają malinowe piegi. Wpadam w panikę, przerażona myślą, że to objaw zapalenia opon mózgowych. Podsuwam w górę koszulkę, przekonana, że mój biały brzuch pokrył się paskudną wysypką, lecz nie dostrzegam ani jednej kropki. Nic.

Więc co mi właściwie jest?

Starając się nie obudzić Sally, zabieram laptop z jej pokoju i kładę się z powrotem do łóżka, obok śpiącego wciąż smacznie Joego.

Wpisuję w wyszukiwarce: czerwone kropki + powieki.

Na pierwszym miejscu pojawia się forum ciężarnych kobiet, a mnie ogarnia na moment ślepa panika, bo myślę, że to jakiś dziwny, mało znany objaw ciąży, o którym nigdy dotąd nie słyszałam, a gdybym zaszła teraz w ciążę, byłaby to po prostu katastrofa. Kocham moje dzieci najbardziej na świecie, ale nie mogę przechodzić przez to jeszcze raz. Proszę... tylko nie kolejne dziecko.

Starając się zapanować nad drżeniem rąk, wchodzę na forum i czytam głos jednej z uczestniczek dyskusji: „Te maleńkie czerwone kropki to wynik gwałtownych wymiotów. Jeśli masz jasną skórę, widać na niej wyraźnie wszystkie pęknięte naczynia krwionośne. Prawdopodobnie znikną, kiedy wymioty ustaną w drugim trymestrze”.

Oddycham z ulgą.

Nie jestem w ciąży. Wczorajszy kac i gwałtowne torsje doprowadziły do popękania naczyń włoskowatych w moich powiekach. Bogu dzięki. Bałam się już, że to coś poważnego.

– Cześć, kochanie – mówi Joe smutnym, pełnym napięcia głosem.

– Joe, całe powieki mam w czerwonych kropkach. Zobacz, czy nie wyskoczyło mi coś na plecach, dobrze?

Podciągam koszulkę, a on wciąga gwałtownie powietrze, jakby zobaczył coś przerażającego.

– Cholera... – mówi. – Widzę... Widzę twarz Jezusa!

– Bardzo śmieszne – mruczę, opuszczając koszulkę. Potem odwracam się do niego i patrzę mu prosto w oczy. – Co z nami będzie?

– Pytasz, czy odejdę?

Kiwam głową.

– Nie. Choć to cholernie boli, Liso. Czuję się tak, jakbyś wyrwała mi wnętrzności. Ale nie, nie potrafię od ciebie odejść. Ty też nie możesz odejść ode mnie. Co byśmy robili? Umarłbym, gdybym zobaczył cię z kimś innym.

– Przepraszam, że to zniszczyłam.

– Nie zniszczyłaś, choć niewiele brakowało. Nie wiem, jak bym zareagował, gdybyś zrobiła to w zeszłym tygodniu, w zeszłym miesiącu, może nawet w zeszłym roku. Ale od tamtej pory minęło naprawdę sporo czasu, przeżyliśmy razem wiele cudownych chwil. Po prostu zrobiłaś coś głupiego, naprawdę idiotycznego. Ale kto wie, czy nie będzie to koniec ich wszystkich? Kate, Guya, Alexy...

– To chyba nie najlepszy moment, żebym zrywała z nimi znajomość, prawda?

– Nie – przyznaje. – Zrobisz wszystko, co możesz, żeby to naprawić. Być może będziesz musiała się pogodzić z myślą, że tego jednak nie da się naprawić. Być może Lucinda nigdy nie wróci do domu.

– A jeśli oni już zawsze będą mnie obwiniać?

– Będą. A ty nic na to nie poradzisz. – Robi krótką pauzę. – Być może lepiej będzie, jeśli teraz zaczniesz się od nich oddalać, na wszelki wypadek.

– Naprawdę uważasz, że to dobre rozwiązanie?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Zobaczymy, co przyniesie dzisiejszy dzień.

Spoglądam na Joego i myślę o tym, jak bardzo go potrzebuję. Bez niego nigdy bym sobie nie poradziła.

– Poleż sobie jeszcze chwilę – mówię. – Przyniosę ci kawę.

Zdobywa się na uśmiech wdzięczności. Nadal wygląda na wykończonego. Choć wydaje się to mało prawdopodobne, wygląda jeszcze gorzej niż wczoraj. Kiedy ten koszmar się skończy, wyjedziemy. Znajdziemy tanią wycieczkę na Kanary

i pogrzejemy się trochę w zimowym słońcu.

Schodzę na dół i szykuję jedzenie dla psów i dzieci. Włączam radio, właśnie mija siódma i zaczynają się wiadomości. Głównym tematem są zaginione dziewczynki z Kumbrii.

Przerywam pracę i słucham.

Teraz dziwne zachowanie Guya nabiera sensu. Bo zaginęła kolejna dziewczynka, tym razem z prywatnej szkoły w Windermere. Niedaleko stąd.

Guy musiał o tym wiedzieć, kiedy do niego dzwoniłam.

Dziewczynka także ma trzynaście lat i wygląda na młodszą, niż jest.

Naoczny świadek twierdzi, że widział, jak dziewczynka rozmawiała najpierw z mężczyzną, a potem z nim odeszła. Policja radzi zachować wzmożoną czujność. Przypuszcza też, że zwabił ją przy pomocy psa.

Wysoki mężczyzna, który uprowadził trzynastolatkę, miał ze sobą starego, siwego psa.

Opieram się o blat, by nie upaść. Drżą mi ręce. Z trudem chwytam oddech.

Bluey.

Dzwonię do detektyw Aspinall, ale natychmiast włącza się poczta głosowa, zostawiam więc gorączkową wiadomość.

– Proszę do mnie zadzwonić – mówię. – Chyba wiem, kim jest ten mężczyzna. Poznałam go wczoraj... Proszę do mnie zadzwonić.

Oddycham ciężko, gdy Joe schodzi z góry.

– Co się dzieje?

Stoi w drzwiach, ubrany jedynie w bokserki, i pociera tył głowy w miejscu, gdzie uderzył się poprzedniego dnia, wysiadając z samochodu.

– Zaginęła następna dziewczynka – mówię jednym tchem. – Przypuszczają, że uprowadził ją człowiek z psem. Z psem, który wyglądał jak Bluey. To on, Joe. Mówiłam ci, że było w nim coś dziwnego. Mówiłam ci. To na pewno on.

– Nie wiesz na pewno – odpowiada spokojnie i odwraca się, by wypuścić psy.

– Joe...?

– Co? – Wzrusza ramionami. – Chcę tylko powiedzieć, żebyś się nie nakręcała.

Prawdopodobieństwo, że to ten sam facet, nie jest wcale duże.

– Mylisz się – odpowiadam, wpatrując się w niego z niedowierzaniem.

Wbiegam na schody, zastanawiając się, co zrobić. Ubiorę się i pojedę do Kate, żeby jej o wszystkim powieść. Nie obchodzi mnie, czy Guy będzie na mnie wrzeszczał. Kate musi to wiedzieć. Mogę jej opisać tego człowieka. Jezu, kto wie, może go nawet zna! Może dlatego Lucinda tak łatwo dała mu się zwieść, może dlatego poszła z nim bez słowa protestu.

Spoglądam na zegarek.

Wysłałam Kate esemesa: „Muszę się z tobą zobaczyć, wpadnę koło ósmej”.

Otwierają się drzwi sypialni. Joe.

– Co robisz? – pyta.

– Ubieram się.

– Skąd ten pośpiech?

– Jadę do Kate.

– O tej porze?

– To bardzo ważne. Pora nie ma znaczenia.

Posępnije, nie wierzy własnym uszom. Rozkłada szeroko ręce w geście, który ma oznaczać: „po co ty to właściwie robisz?”.

– Liso, nie słyszałaś, co mówiłem? Nie możesz tam teraz jechać. Co z naszymi dziećmi? Dotarłaś do punktu, w którym zaczynasz zaniedbywać własne dzieci i bardziej przejmujesz się...

– Nie zaniedbuję własnych dzieci.

– Nie?

– Dlaczego tak mówisz? Zawsze mi powtarzałaś, żebym przestała się nimi przejmować, żebym się uspokoiła i dała im trochę luzu.

– Lisa, przestań. Spójrz tylko na siebie. Wciąż chodzi tylko o nich. Wciąż chodzi tylko o Kate. Nie możesz pogodzić się z myślą, że ją rozczarowałaś, więc...

– Rozczarowałam ją? Jej córka zaginęła, Joe! Przeze mnie. Nie martwię się, że ją rozczarowałam. Jestem przerażona. Co mam zrobić, do diabła? Muszę powieść jej o tym facecie, którego wczoraj poznałam. Być może to jest klucz do...

- Więc lepiej uważaj – przerywa mi ostrym tonem.
- Co to ma niby znaczyć? Na co mam uważać?
- Kiedy następnym razem czegoś nie dopilnujesz, Liso, być może będziesz musiała szukać *swojej* córki.

Czterdzieści minut później, oczyściwszy szyby samochodu z warstwy lodu, jadę drugą stroną doliny do domu Kate.

Opony toczą się z chrzęstem po wysypanej żwirem drodze. Dwukrotnie wpadam w poślizg, ale potem odzyskuję kontrolę nad autem. Prawdę mówiąc, tak bardzo się spieszę, że mam w nosie, czy mój zderzak uderzy w jakiś mur, czy w wypielegnowany żywopłot. Ogromnie się denerwuję, chcę jak najszybciej opowiedzieć Kate o tym mężczyźnie. Mam przeczucie, że go rozpozna, i choć nie chcę robić sobie wielkich nadziei, wydaje mi się, że jesteśmy blisko odnalezienia Lucindy. Nie dopuszczam do siebie myśli, że ona nie żyje. Jestem przekonana, że odnajdziemy ją żywą i że ze względu na Kate muszę być silna. Właśnie dla niej muszę wierzyć w pozytywne zakończenie tej historii.

Wyjeżdżam na szczyt wzgórza, gdzie droga się rozwidła. Skręcając powoli w lewo, myślę, że być może uda mi się naprawić mój błąd. Gdyby się okazało, że to właśnie ja naprowadziłam policję na trop, Kate i Guy może by mi wybaczyli i...

Przejeżdżam obok miejsca, gdzie Riverty parkują swoje samochody.

Brakuje audi Guya.

W pobliżu znajduje się wolno stojący, podwójny garaż, jednak jak w przypadku posesji większości angielskich rodzin jest tak zagracony, że nie ma już w nim miejsca dla samochodów, więc Guy i Kate parkują swoje SUV-y przed domem. Mitsubishi Kate stoi na swoim miejscu, ale nie widzę auta Guya.

Gdzie on pojechał o tej porze? Dlaczego wyszedł z domu?

Powoli wciskam jednocześnie sprzęgło i hamulec, zatrzymuję się na poboczu drogi obok ścieżki prowadzącej do drzwi frontowych domu Kate. Nie odpowiedziała na mojego esemesa, ale wiem, że nie śpi, bo cały parter domu jest oświetlony.

Na pewno nie śpi.

Jaka matka mogłaby spać, gdyby zaginęło jej dziecko?

Przez chwilę nie ruszam się z miejsca, obserwuję dom. Nie dostrzegam żadnego ruchu, ale widzę, że Kate znów włącza bożonarodzeniowe światełka. Zapewne ze względu na Fergusa stara się, żeby wszystko wyglądało w miarę normalnie.

Choinka ustawiona przed domem wygląda naprawdę bardzo ładnie. Riverty jak wiele angielskich rodzin na początku grudnia jadą razem po choinkę i wspólnie ją wybierają. Robią z tego całą wyprawę, po drodze jedzą razem lunch w jakimś pubie na wsi.

Nasze sztuczne drzewko wciąż leży w pudle na szafie.

W ciągu roku zdarza się, że pudło otwiera się samo, dostrzegam wtedy samotną gałązkę, która zwiesza się z szafy, drwi sobie ze mnie, napełnia złymi przecuciami dotyczącymi świąt, nawet jeśli jest dopiero środek lata.

W dzieciństwie przez cały rok czekałam na kolejne Boże Narodzenie, a teraz przez pół roku przeraża mnie myśl o świątach. Za dużo do zrobienia i za mało czasu. Zawsze mam wrażenie, że nie przygotowałam się jak należy.

Spoglądam ponownie na samochód Kate. Może Guy zdołał jednak zaparkować swoje audi w garażu, żeby rano nie zdrapywać z niego warstwy lodu. Ja poświęciłam na to dobre pół godziny.

Wysiadam i wchodzę powoli na ścieżkę. Czytałam kiedyś, że chrząstka w ludzkich stawach jest trzy razy bardziej śliska niż lód. Ale na pewno nie chodzi o taki lód. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Mam na sobie stare spodnie narciarskie, które kupiłam na wyjazd do Andory, nim zorientowałam się, że jestem w ciąży z Sally. Nigdy nie dotarliśmy do Andory, więc od tamtego czasu używam spodni zimą podczas spacerów z psami. Cieszę się, że dziś także je włożyłam. Jeśli się pośliznę i upadnę, przynajmniej nie obiję sobie tyłka.

Naciskam dzwonek i czekam.

Cisza. Zwykle słychać czyjeś wołanie albo energiczne, szybkie kroki Kate w korytarzu.

Dzwonię ponownie, a potem zacieram dłonie, żeby je trochę rozgrzać.

Wygląda na to, że jednak nikogo nie ma w domu.

Może Kate bierze właśnie prysznic.

Postanawiam zadzwonić na telefon stacjonarny Rivertych z mojej komórki. Może Kate jest na górze i nie słyszy dzwonka.

Dwie minuty później przerywam połączenie, bo nikt nie odbiera. Wtedy doznaję olśnienia. Mogę się założyć, że pojechali na policję. Na pewno chcieli się dowiedzieć, czy w związku z zaginięciem kolejnej dziewczynki pojawiły się nowe informacje. Tak. Pojechali razem, samochodem Guya.

Tylko dlaczego zostawili w domu zapalone światła?

Mam już wracać do auta, ale w ostatniej chwili przekręcam gałkę w drzwiach, tak na wszelki wypadek. Drzwi się otwierają, a ja cofam się gwałtownie, zaskoczona, i omal nie ląduję na ziemi.

Wchodzę do środka. Słyszę muzykę dochodzącą z kuchni, więc tam właśnie idę.

– Kate? – wołam. – Kate, jesteś?

Piosenka Jony Lewiego *Stop the Cavalry* wydobywa się z błękitnego radia tranzystorowego, dopasowanego barwą i kształtem do innych urządzeń w stylu retro, którymi Kate urządziła swoją kuchnię.

Nagle staję jak wryta.

Kate leży na podłodze, przy stole kuchennym. Jest ubrana w piżamę firmy Cath Kidston w herbaciane róże. Bluzę piżamy pokrywa gruba warstwa wymiocin.

Na stole stoją trzy puste buteleczki po lekarstwach i opróżniona do połowy butelka likieru Sambuca.

Drżąc na całym ciele, kucam obok Kate. Wydaje mi się, że nie oddycha.



## ROZDZIAŁ 27

Mózg Joanne jest już w pełni rozbudzony, ale jej ciało jeszcze śpi.

Poprzedniego wieczora wróciła do domu dopiero po jedenastej, bo musiała zostawić samochód w Windermere. Jakiś idiota zastawił swoje auto na drodze, całkowicie blokując przejazd, więc szła chodnikiem, czepiając się zaparkowanych wzdłuż drogi pojazdów. W pewnym momencie pomyślała nawet, że łatwiej byłoby po prostu zjechać na tyłku. Lecz choć w pobliżu nikogo nie było, nie potrafiła się na to zdobyć.

Chyba nigdy jeszcze marznący deszcz nie spadł tu w mniej odpowiedniej porze. Dwie zaginione nastolatki i dziewięć na dziesięć dróg w Kumbrii nieprzejezdnych.

Policja ostrzegała, by ludzie nie wychodzili z domu, jeśli naprawdę nie muszą, co każdy oczywiście interpretuje inaczej.

Joanne przypomina sobie, jak pewna amerykańska rodzina mówiła w telewizji po wyjątkowo gwałtownej śnieżycy w Minnesocie, że po prostu musiała wyruszyć w tych śmiertelnie niebezpiecznych warunkach, bo musiała coś zjeść. Innymi słowy, ci ludzie musieli dotrzeć do restauracji, bo jak wielu innych Amerykanów nigdy nie gotowali w domu.

Kwestia życia i śmierci może oznaczać dla różnych ludzi zupełnie co innego.

Joanne wygrzebuje się spod kołdry i podejmuje pierwszą próbę wstania z łóżka. Zwykle w czasie snu owija się kołdrą jak kokonem i wsuwa róg pościeli między nogi. Dzięki temu jest jej ciepło, a jednocześnie spocone nogi nie kleją się do siebie.

Przewraca się na plecy i przesuwa palcem pod dolną krawędzią biustonosza. Śpi w staniku, odkąd skończyła piętnaście lat, i nie może się doczekać dnia, gdy nie będzie go już potrzebować.

Z dołu dobiega jakiś hałas. O tej porze zwykle Jackie jest już w pracy. Bierze

prysznic o szóstej, najpóźniej o wpół do siódmej wychodzi z domu, by zająć się klientami, którzy bez jej pomocy nie wstaną z łóżka. Widocznie dziś także ona została uwięziona w domu przez tę okropną pogodę.

Jackie spała, kiedy siostrzenica wróciła do domu poprzedniego wieczora. Joanne wsuwa głowę do pokoju, ale głośne chrapanie dowodzi, że Jackie odpłynęła już w krainę sennych marzeń, w czym pomogła jej spora porcja mateus rosé. Joanne znalazła pustą butelkę w koszu na śmieci.

Joanne schodzi na parter. Jackie zjada tost z marmoladą i ogląda wiadomości w salonie. Jej krótkie blond włosy są mokre, mają ten charakterystyczny pomarańczowy odcień, który pojawia się po rozjaśnianiu.

– Samochód utknął – mówi z pełnymi ustami. – Przydałby się jakiś facet, żeby go wydostać.

Joanne odpowiada, że o tej porze roku zawsze brakuje im ludzi.

Nie powiedziała dotąd Jackie o planowanym zmniejszeniu piersi, bo... cóż, sama nie wie dlaczego, ale nie powiedziała. Jackie kiwa głową na stół:

– Przyszedł do ciebie list. Polecony, zawiera poufne informacje.

Joanne wie, że to list w tej sprawie, ale nie przygotowała żadnej wymówki, mruczy więc pod nosem, że pewnie przysłali wyciąg z jej konta.

– Na znaczku jest stempel z Lancaster – odpowiada Jackie, przyglądając się jej podejrzliwie. – Wyciągi bankowe nie przychodzą z Lancaster.

Joanne klepie się palcem po nosie. Ten gest doprowadza Jackie do szału, wychodzi więc zrobić sobie herbatę.

– Wiem, że coś kombinujesz! – woła za nią Jackie.

Kiedy gotuje się woda, Joanne sięga po telefon i przeklina pod nosem, widząc, że ustawiła go na bezpośrednie połączenie z pocztą głosową. Odsłuchuje wiadomości, przekonana, że czeka ją reprimenda od inspektora, który zapewne próbował się z nią skontaktować, ale ma tylko jedną, niezbyt czytelną informację od tej kobiety z Troutbeck. Lisy Kallisto. Coś o psie i gwałcieliu. Trudno ją zrozumieć, bo Lisa jest bliska hysterii, a Jackie pogłośniła telewizor. Joanne musi zatkać drugie ucho, by jej wysłuchać. Oddzwoni za chwilę, najpierw napije się herbaty i otrzeźwieje na tyle, by

prowadzić normalną rozmowę.

– Podobno zaginęła następna dziewczynka, tak?! – woła Jackie z salonu.

Joanne wyciska torebkę z herbatą, przyciskając ją łyżeczką do krawędzi kubka. Wydaje jej się, że herbata jest za słaba, więc dorzuca zużytą torebkę Jackie.

– Tak, wczoraj! – odkrzykuje. – Dlatego wróciłam tak późno. Coraz mocniej na nas naciskają. Musimy coś znaleźć, i to szybko.

– Przegapiłaś wizytę u Niani.

W środowe wieczory obie odwiedzają Nianię w domu opieki. W rzeczywistości jest to niania Joanne i matka Jackie. Jackie jednak zawsze nazywała ją Nianią, prawdopodobnie dlatego, by nie mieszać w głowie swojemu synkowi, kiedy był mały.

– Jak ona się czuje? – pyta Joanne, wchodząc do salonu. Potyka się o fałdę na dywanie i rozlewa odrobinę herbaty.

– Jak zwykle udaje, że mnie nie poznaje.

Niania zawsze stosuje tę sztuczkę, jeśli przychodzą, gdy ogląda telewizję. Nauczyły się już nie zwracać na to uwagi.

– Potrzebuje czegoś? – pyta Joanne. – Ma dość talku i innych rzeczy?

– Przydałyby się jej kapcie, możesz kupić parę, kiedy będziesz w pobliżu Marks & Spencer, rozmiar trzydzieści osiem. I jesteś mi winna dwanaście funtów za fryzjerkę. W zeszłym tygodniu zrobiła sobie trwałą.

Joanne i Jackie dzielą między siebie wydatki na Nianię. Matka Joanne też powinna się dokładać, ale ponieważ od czterech lat mieszka na Lanzarote, szkoda zachodu, by egzekwować od niej te pieniądze. Bogu dzięki, że państwo pokrywa koszty pobytu Niani w domu opieki. Joanne i Jackie nie byłyby w stanie wyłożyć czterystu funtów tygodniowo, a jedyne alternatywne rozwiązanie, czyli całodobowa opieka nad staruszką w domu Joanne, było po prostu nierealne.

Jackie przestaje przeżuwać i patrzy prosto na Joanne.

– Więc zdecydowałaś się na zmniejszenie piersi, tak?

Joanne wzdycha i podnosi wzrok do sufitu.

– Nic się przed tobą nie ukryje?

– Sylwia widziała cię we wtorek u lekarza, a ponieważ nie wspomniałaś o tym

słowem, domyśliłam się, o co chodzi.

– Na razie wysyła mnie do specjalisty. Mam wizytę po świętach.

– Jesteś cholerną idiotką.

– Twoim zdaniem.

– Nie tylko moim zdaniem. Stwierdzam fakt.

Joanne milczy. Zna poglądy Jackie na ten temat. Nie ma ochoty wałkować tego po raz kolejny.

Czuje wibrowanie telefonu w kieszeni szlafroka. Wyciąga aparat i spogląda na wyświetlacz.

Dzwoni Ron Quigley.

– Joanne – mówi chrapliwym, zdyszczanym głosem, jakby wbiegł właśnie na schody przed komisariatem. – Przyjedź jak najszybciej do Troutbeck. Riverty próbowała się zabić.

## ROZDZIAŁ 28

Mówią, że czas to rzecz względna.

Czas płynie wolno, gdy czekasz na narodziny swojego dziecka, a jesteś dopiero w dwunastym tygodniu ciąży; gdy masz siedem lat i patrzysz na wskazówki zegara w wigilijny wieczór; gdy czekasz na przyjazd karetki tuż po tym, jak twoja przyjaciółka próbowała się zabić, a drogi pokryte są lodem.

To najdłuższe minuty w moim życiu.

Czekanie jest torturą, bo w żaden sposób nie mogę pomóc Kate. Jej pokryte wymiocinami i cuchnące ciało leży nieruchomo na podłodze, jej oddech jest ledwie wyczuwalny, puls słaby i nierówny. Mogę tylko klęczeć obok i głaskać ją po głowie.

Gdy obróciłam ją na bok, do pozycji bezpiecznej, okazuje się, że spodnie jej piżamy są wypełnione półpłynnym stolcem, który rozlewa się na marmurowych płytkach. Czyszczę podłogę najlepiej, jak umiem, a potem wyłączam radio i czekam.

Jako pierwszy dociera na miejsce ratownik w land roverze. Znam go z widzenia – czasami mijamy się w Windermere, gdy kupuje kanapkę czy idzie do banku. Ma przekrzywiony nos, pamiątkę po jakimś mocnym ciosie. Pewnie grał w rugby, przynajmniej to sugeruje jego postura. Mówi, że karetka jest już w drodze, ale on zajmie się od razu Kate, bo... Przerywa na moment, po czym dodaje przeproszającym tonem:

– Nie będzie im łatwo dojechać.

– Jak pan myśli, ile to potrwa? – pytam drżącym głosem, a on wzrusza tylko ramionami. Ma nadzieję, że zdążą.

Wskazuje na buteleczki po lekarstwach stojące na stole.

– To wszystko, co wzięła? – pyta. Potem prosi, bym sprawdziła na górze, w łazienkach i szafkach, czy nie ma tam czegoś, co mogła jeszcze połknąć. Mówi, że

to bardzo ważna informacja.

Buteleczki na stole zawierały leki antydepresyjne, amitryptylinę i fenelzynę. Takie tabletki zażywała moja mama. Czasami je kupowałam dla niej w aptece. Szokuje mnie fakt, że Kate zażywała leki na tyle długo, aby zebrać aż taką ilość. Dwie butelki kupiła w sierpniu, trzecią w październiku.

Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że ktoś ma wszystko pod kontrolą, poukładane życie znacznie lepiej, niż ja będę miała kiedykolwiek, ten rzekomy ideał zażywa antydepresanty. Chyba jestem po prostu naiwna.

Stoję w pięknej kuchni Kate, patrzę na jej nieruchome ciało i myślę: „Dlaczego ona to brała, do diabła? Po co, skoro miała wszystko?”.

Oczywiście rozumiem, dlaczego zażyła tabletki teraz, gdy nie wiadomo, czy Lucinda żyje. Ale po co łykała je wcześniej?

Zaczynam pojmować, że między tym, co myślę o danej osobie, a tym, jaka jest naprawdę, ziele ogromna przepaść. Owszem, wiem, że wiele kobiet zażywa leki antydepresyjne. Ale dlaczego Kate?

– Co z nią zrobią? – pytam ratownika.

– Jeśli nie wzięła nic więcej, podadzą jej węgiel przez sondę nosowo-żołądkową. Zwykle to wystarczy. Jeżeli przyjadą w porę, oczywiście. Reszta zależy od powikłań. Chce pani do kogoś zadzwonić?

– Powinnam poinformować jej męża, ale nie mam numeru jego telefonu. – Zaciskam bezradnie dłonie. – Powinien tu być... Nie wiem, co się z nim stało. Oni... – opowiadam mu o Lucindzie i wszystkim, co ostatnio spotkało ich rodzinę, ale potem milknę. Przed przyjazdem karetki muszę sprawdzić, czy na górze nie kryją się jakieś lekarstwa. Do tego wpadłam na pomysł, że zadzwonię na komórkę Kate i dzięki temu znajdę aparat. Na pewno ma zapisany numer Guya.

I wtedy czas przyspiesza.

Jestem w sypialni Kate, dzwonię na jej numer, ale nie słyszę dzwonka. Przeszukuję szybko kolejne pomieszczenia, świadoma, że lada moment przyjedzie karetka, więc muszę się spieszyć.

Otwieram szafkę w łazience i czuję się tak, jakbym zaglądała do ich życia. Oprócz

antydepresantów Kate zgromadziła też spory zapas canestenu duo na pleśniawki i czopków glicerynowych – podawałam je kiedyś Samowi, gdy miał okropne zatwardzenie – a do tego trzy butelki regaine, środka na porost włosów.

Przejęta poczuciem winy zaglądam między butelki, by sprawdzić, czy nie kryje się między nimi coś jeszcze. Jednocześnie zastanawiam się, do czego potrzebują regaine, przecież Guy nie łysieje. Ma gęste, zdrowe włosy, prawdziwą grzywę, którą co jakiś czas odrzuca do tyłu niczym kiedyś Michael Heseltine.

Dziwnie się czuję, oglądając życie rodziny od podszewki, niemal wchodząc w nie butami, ale przypuszczam, że nie da się tego uniknąć po równie katastrofalnym wydarzeniu, jak zaginięcie dziecka lub próba samobójstwa. Aby dotrzeć do nagiej prawdy, trzeba usunąć warstwy przyzwoitości i poprawności, odrzec rodzinę ze wszystkiego, odsłonić ją przed wszystkimi.

Biorę do ręki butelkę stojącą na najniższej półce, środek na wszy, którego używałam, gdy dzieci były małe, i który wcale nie...

Nagle przenika mnie zimny dreszcz, zastygam w bezruchu.

Fergus.

Syn Kate, Fergus. Gdzie on jest?

Jak mogłam o nim zapomnieć? Chryste, a jeśli jest tutaj, obudzi się, zejdzie na dół i zobaczy swoją matkę leżącą bez życia na podłodze?

Kiedy znalazłam Kate, kompletnie zapomniałam, że w domu może być Fergus. „Boże, niech się okaże, że jest z ciotką Alexą” – modłę się w myślach, idąc do jego pokoju. Proszę, niech się okaże, że pojechał z ojcem. Proszę...

Gaszę światło w korytarzu, by go nie obudzić, gdyby okazało się jednak, że śpi u siebie, a potem powoli, cichutko otwieram drzwi jego sypialni. Drżą mi ręce. Przystaję na moment, wypuszczam powoli powietrze z płuc i próbuję się uspokoić.

Zaglądam do środka.

Jest tam, śpi na swoim łóżku. Przekreślił kołdrę w poprzek łóżka i wystają spod niej jego bosa stopy. W pokoju jest ciepło, więc w ogóle tego nie zauważa. Stoję przez chwilę w drzwiach i zastanawiam się, co robić. Mogłabym wejść do środka i obudzić go, zatrzymać go w pokoju i uchronić przed widokiem, który zastałby na dole. Mogę

też zamknąć drzwi i liczyć na to, że zaborą Kate, zanim dzieciak się obudzi.

Nie wiem, co robić.

Fergus mamrocze przez sen i przewraca się na bok, odwrócony do mnie plecami.

Muszę podjąć decyzję.

Nic innego nie przychodzi mi do głowy, więc wyjmuję klucz, który tkwi w zamku, i zamykam drzwi od zewnątrz. Wiem, że nie jest to idealne rozwiązanie. Jeśli Fergus obudzi się w ciągu najbliższych kilku minut i odkryje, że drzwi są zamknięte na klucz, wpadnie w panikę. Wolę sobie nie wyobrażać, jak ten cichy, spokojny chłopak dygocze ze strachu.

Nagle ogarnia mnie złość na Kate. Dlaczego postawiła mnie w takiej sytuacji? Nie mogła się nałykać tabletek w czasie, gdy Fergus jest w szkole?

Potem upominam się w duchu, tłumacząc, że przecież nie myślała w takiej sytuacji racjonalnie. Nie można wymagać takiej zapobiegliwości od kogoś, kto jest w tak kiepskim stanie psychicznym, by targnąć się na własne życie.

Ale mimo wszystko...

Kate, do ciężkiej cholery, coś ty sobie myślała?

Od ściany naprzeciwko odbija się pulsujące, niebieskie światło. Podchodzę do okna. Kate urządziła tu przytulny kącik czytelniczy. W rogu stoi duży, wygodny fotel w paski, a obok biblioteczka. Ktoś – zapewne Fergus – czyta *Jaskółki i Amazonki* Arthura Ransome'a: otwarta książka leży okładką do góry. Próbowałam namówić Jamesa, by ją przeczytał, poddał się jednak po dwóch stronach. Pocieszałam się wtedy myślą, że chłopcy po prostu nie lubią klasyki, ale wygląda na to, że się myliłam.

Patrzę z góry na ratowniczkę, która idzie w stronę domu. Muszę się pospieszyć.

Docieram do szczytu schodów, gdy ona wchodzi przez frontowe drzwi. Podnosi głowę. Ma piękną twarz. Myślę przelotnie o tym, ilu ludzi patrzyło w tę twarz w chwilach ogromnego przerażenia, może tuż przed śmiercią, i ilu z nich ten widok dodał nieco otuchy.

– Jest tam – mówię, wskazując na kuchnię.

– Ładny dom – zauważa odruchowo.



– Tak, rzeczywiście – przytakuję.

W obecności ratowników nawet bardzo trudna sytuacja wydaje się niemal normalna. Zajmują się wszystkim ogromnym spokojem i opanowaniem, a człowiek niemal zapomina, że ma do czynienia z kwestią życia i śmierci.

Przechodzę za nią do kuchni i odsuwam się na bok, by nie przeszkadzać. Mężczyzna, który czuwa przy Kate, pozdrawia ładną ratowniczkę, mówiąc:

– Jak droga, Megan? Nie było łatwo, co?

– Niespecjalnie. Co z nią?

Mężczyzna opisuje jej sytuację, podczas gdy inny ratownik wchodzi do kuchni z noszami pod pachą.

– Za ślisko na nosze z wózkiem – mówi, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

– Jestem jej przyjaciółką – wtrącam, a on kiwa posępnie głową.

– Sprawdziła pani, czy w domu nie ma jeszcze czegoś, co mogła zażyć? – pyta, a ja przytakuję i mówię, że niczego nie znalazłam. Nagle z góry dochodzi gwałtowny łomot.

Zamykam oczy.

Kiedy otwieram je ponownie, wszyscy patrzą na mnie.

– To jej syn – szepczę ze smutkiem. – Możecie zabrać ją stąd jak najszybciej?

Docieram na górę, gdy głośnie walenie do drzwi zamienia się w monotonne, znużone stukanie.

Przykro mi, że Kate musi jechać do szpitala sama, ale nie ma innego wyjścia. Nie znam numeru Alexy, a ponieważ nie wiem, jak skontaktować się z Guyem...

Otwieram drzwi pokoju Fergus'a i przywołuję na twarz nieszczerzy uśmiech, który natychmiast wzbudziłby podejrzliwość moich dzieci, teraz jednak nie stać mnie na nic więcej.

Postanawiam uciec się do półprawdy. Nie umiem wymyślić na poczekaniu jakiegoś skomplikowanego kłamstwa, które oszczędziłoby temu biedakowi nerwów, mówię więc po prostu:

– Fergus, wiem, że nie mnie spodziewałeś się tu zobaczyć dziś rano... – przerywam

na moment i śmieję się nerwowo – ale twoja mama źle się poczuła. Na tyle źle, że musiała pojechać do szpitala. Poprosiła mnie, żebym zaopiekowała się tobą przez chwilę. Nie masz nic przeciwko? Może zejdziemy na dół i zrobię ci śniadanie?

Jego lewe oko znów fatalnie wygląda, jest przekrwione, a powieka spuchnięta. Będę musiała zapaść mu krople, których używa Kate.

Czasami Fergus wydaje mi się dziwny. Inny. A przecież dobrze znam chłopców w jego wieku. Mam dwóch synów, którzy często zapraszają do naszego domu swoich kolegów. Przywykłam już do nadaktywnych dzieciaków, których nie można spuścić z oka, bo zaraz coś zmalują. Nie dziwią mnie dzieci, które nie jedzą nic prócz hot dogów i krakersów albo kwaśnych żelków Haribo. Dobrze znam i takie, które w ogóle się nie odzywają, a jeśli posadzi się je przed telewizorem, nie ruszą się stamtąd do końca filmu. Nie gorszą mnie maluchy, które używają słów takich jak kurwa, gówno, pierdolić czy skurwysyn.

Ale jak już mówiłam, Fergus wydaje mi się dziwny. Nie umiem go rozgryźć.

Nie potrafię do niego dotrzeć. Mam wrażenie, że im bardziej staram się nawiązać z nim nić porozumienia, tym bardziej jest mną zadziwiony, patrzy tak, jakbym wszystko robiła źle. W końcu przestałam się tym przejmować. Teraz widzę, że Sam i Fergus kumplowali się tylko z konieczności, bo ja przyjaźniłam się z Kate. Kiedy bawili się razem, miałyśmy czas dla siebie, pasowało nam to. Teraz jednak, gdy skończyli siedem lat, coraz wyraźniej widać dzielące ich różnice i... cóż, chyba trochę rozumiem, dlaczego Sam żądał od Fergususa wyższej stawki, kiedy ten chciał się z nim bawić. Można powiedzieć, że to po prostu wyjątkowo trudny przypadek.

Kiedy mówię Fergusowi, że mama jest szpitalu, nie reaguje. W milczeniu wychodzi za mną z pokoju i schodzi na dół. W kuchni uświadamiam sobie, że nadal unosi się tu nieprzyjemny kwaśny zapach wymiocin... i jeszcze gorszy smród tej drugiej rzeczy... ale Fergus nie komentuje tego w żaden sposób. Siada przy wyspie kuchennej, patrzy prosto przed siebie i czeka, aż postawię przed nim jedzenie.

– Co zwykle jadasz na śniadanie? – pytam uprzejmie. – Płatki z mlekiem? Parówki?

– Owsiankę.

– Codziennie? – dziwię się.

Beznamiętnie kiwa głową.

– Więc zrobię ci owsiankę.

Otwieram i zamykam kolejne szafki. Kate ma w swojej kuchni co najmniej cztery razy więcej miejsca. Każda szafka jest uporządkowana i lśni czystością. Mija trochę czasu, zanim udaje mi się znaleźć owsiankę (szukam niebieskiego pudełka – firmy Quaker albo Scott – ale okazuje się, że płatki kryją się w torbie z szarego papieru, wyprodukowane przez nieznaną mi firmę sprzedającą zdrową żywność), a potem muszę jeszcze wybrać garnek z ogromnej kolekcji naczyń zgromadzonych przez Kate.

– Ile dodajesz cukru? – pytam Fergus, mieszając szarą papkę, która gotuje się znacznie dłużej, niż powinna.

– Mama słodzi miodem i jagodami.

Uśmiecham się do Fergus, bo to przecież oczywiste.

– Chcesz je wyjąć i sam sobie nakładać?

Zeskakuje ze stołka. Wydaje się maleńki w tej ogromnej przestrzeni. Zerkam na niego, gdy staje przed lodówką, i przypominają mi się opowieści, w których ktoś przez pomyłkę zamknął dziecko w lodówce albo kuchence. Nieraz zastanawiałam się, jak to możliwe, a teraz, patrząc na Fergus, przekonuję się, że możliwe. Jest tak drobny i chudy, że bez problemu mógłby schować się w tej wielkiej lodówce. Jego krótkie, zmierzwiłone snem włosy sterczą pionowo do góry, co uwydatnia jeszcze płaskość tylnej części czaszki, która z tej perspektywy wydaje się niemal spiczasta.

– Fergus – zaczynam ostrożnie. – Czy twój tata gdzieś wyjechał?

– Nie wiem – odpowiada, wzruszając ramionami.

– Był tutaj wczoraj wieczorem, kiedy kładłeś się spać?

– Był.

– Więc widziałeś go?

– Tak.

Milczę przez chwilę, zastanawiając się, czy powinnam drążyć temat, czy można przepytawać w ten sposób siedmiolatka.

– Fergus... czy twoi rodzice pokłócili się wczoraj wieczorem?

Przygryza wargę, sięga do wnętrza lodówki i zerka na mnie z zakłopotaniem.

Staram się przemawiać łagodnym, spokojnym głosem i znów zajmuję się mieszaniem owsianki, by nie pomyślał, że mu się narzucam.

– Słyszałeś, jak krzyczeli? – pytam.

– Trochę – odpowiada z ociąganiem.

Uśmiecham się, przewracam oczami i cmokam, jakbym chciała powiedzieć: Ech, ci dorośli...

Po chwili próbuję ponownie.

– Przepraszam, że cię tak wypytyuję, Fergus... Chodzi o to, że przydałby się nam twój tata... a ja nie wiem, gdzie go szukać. Mówił, że wychodzi? Wspominał wczoraj wieczorem, dokąd idzie?

Fergus zamyka lodówkę i zaprzecza stanowczo:

– Nie.

Oprócz miodu i jagód Fergus niesie ukradkiem małą paczkę batoników Cadbury, których zwykle zapewne nie może jeść na śniadanie. Kładzie je na stole i przykrywa dłonią, widząc, że je zauważyłam.

Nalewam owsiankę do miski i stawiam przed nim.

– Jest trochę gorąca – mówię łagodnie i pochylam się, by podmuchać na nią kilkakrotnie.

Fergus podnosi wzrok.

– Tata nigdy nam nie mówi, gdzie śpi, kiedy nie ma go w domu – oznajmia. – Dlatego mama się denerwuje.

Cofam się o krok i otwieram usta, nie jestem w stanie ukryć zdumionej miny. Nie wiem, co powiedzieć.

– Wiesz, dokąd on się wtedy wybiera, Fergus? – szepczę w końcu. – Wspomniał ci kiedyś?

Chłopiec nie odpowiada, patrzy tylko szeroko otwartymi oczami. W tej samej chwili słyszę trzask zamykanych drzwi i kroki. Odruchowo obejmuję Fergusa ramieniem. Do kuchni wchodzi Guy. Jest nieogolony, ma przekrwione i podkrążone oczy. Teatralnym gestem odrzuca do tyłu włosy i przeszywa mnie lodowatym

spojrzeniem.

– Co ty tu robisz? – pyta. – I gdzie, do diabła, podziewa się Kate?

## ROZDZIAŁ 29

– Domyśla się pan, dlaczego żona targnęła się na swoje życie, panie Riverty?

Joanne jest w tym domu od niecałej minuty, ale widzi już, że nie wszystko wygląda tak, jak przypuszczała. Po pierwsze, dlaczego Guy Riverty nie czuwa przy łóżku żony? Po drugie, skąd wzięła się tutaj o tej porze Lisa Kallisto, która z zaciętą miną szoruje garnek po owsiance?

Guy Riverty siedzi przy kuchennym stole, trzyma głowę w dłoniach. Wygląda tak, jakby od wczoraj nie zdejmował ubrania i nie spał co najmniej od tygodnia. Pociera twarz, głośno wypuszcza powietrze i mówi:

– Myśli, że nasza córka nie żyje. Kate jest w kiepskim stanie. To chyba zrozumiałe, prawda?

Lisa odsuwa się od zlewu i wyciera ręce w ścierkę. Potem zaczyna wykręcać nerwowo palce. Joanne spogląda na nią.

– Pani ją znalazła?

Kiwa głową. Wygląda na zakłopotaną, jakby wstydziła się, że w ogóle tu jest. Zaciska mocno usta.

– Możemy kontynuować rozmowę bez Fergususa? On jeszcze nie wie. Nie wie, co zrobiła jego matka.

– Czy ktoś mógłby odwiedzić chłopca do szkoły? – pyta Joanne.

– Ja to zrobię – wtrąca szybko Lisa.

– Ktoś inny? – Joanne wolałaby, żeby Lisa na razie została. Jest ogromnie zdenerwowana, a policjantka wyczuwa, że nie chodzi tylko o samobójczą próbę przyjaciółki. Wyjmuje notes.

Guy spogląda na Lisę.

– Dzwoniłaś już do siostry Kate?

Lisa kręci głową.

– Nie znam jej numeru.

– Trzy pięć sześć cztery osiem. Zadzwoń do niej? Poproś, żeby natychmiast przyjechała.

Lisa nie odpowiada, wychodzi tylko szybko z kuchni.

– No dobrze, panie Riverty... – zaczyna ponownie Joanne.

– Proszę mówić mi po imieniu. Po prostu Guy.

– No dobrze, Guy... – Policjantka robi krótką przerwę. – Nie było cię w domu, prawda?

Nie odpowiada.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– Tutaj.

– O wpół do czwartej po południu. Gdzie wtedy byłeś?

– Już składałem zeznanie w tej sprawie – mówi z irytacją, ale Joanne zachowuje kamienną twarz. – Jeśli chodzi o odpowiedź, gdzie byłem, gdy zaginęła kolejna dziewczyna, to byłem tutaj. Z Kate. Mówiła policji. Potwierdziła, że byłem z nią.

– Widział cię wtedy jeszcze ktoś?

– Tak... Nie... Może. Ciągłe ktoś tutaj wchodzi i wychodzi. Nie wiem, czy słyszałaś, ale nasza córka zaginęła.

– Może jednak się zastanowisz i przypomnisz sobie, czy nie widział cię ktoś oprócz twojej żony – mówi Joanne, zapisując w notesie bieżącą datę.

– Jestem o coś oskarżony?

Policjantka podnosi na niego wzrok, uśmiecha się.

– Jeszcze nie.

– Więc dlaczego zadajesz mi te same pytania, na które odpowiadałem wczoraj?

– Bo osoba, która zapewniła ci alibi, Guy, próbowała właśnie odebrać sobie życie. – Przechyliła głowę na bok. – Może kiedy dojdzie do siebie, nie zechce powtórzyć tej wersji?

– Byłem tu – stwierdza z mocą.

– Mogę się trochę rozejrzeć?

– Proszę bardzo. Tylko nie zdenerwuj Fergusa. Jest w swoim pokoju i, jak już mówiłem, nie wie, co stało się z jego matką. Myśli, że zachorowała. – Riverty pociera twarz dłońmi. – Kurwa... – mruczy pod nosem.

– Będę dyskretna – obiecuje szeptem Joanne.

Wychodzi na korytarz i natyka się na Lisę Kallisto, która stoi przy telefonie i wpatruje się w słuchawkę nieobecny wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – pyta Joanne.

– Tak, jestem tylko trochę roztrzęsiona – odpowiada Lisa. – To nie była łatwa rozmowa... z siostrą Kate.

Joanne kiwa głową ze współczuciem.

– Na pewno. Zaraz przyjedzie, prawda?

– Tak. Boże, biedna rodzina, zastanawiają się pewnie, co się jeszcze wydarzy.

– Jak to się stało, że pani ją znalazła? A przy okazji, odsłuchiłam wiadomość, tę o psie...

– Słucham? – Lisa patrzy na policjantkę ze zdumieniem. Potem sobie przypomina.

– Ach tak, Bluey. Chryste, całkiem zapomniałam. Właśnie dlatego tu przyjechałam, żeby porozmawiać z Kate o tym facecie i zapytać, czy go zna. Rozumie pani, czy skojarzy się jej z czymś. Myślałam, że może... że może przypadkiem... – Przerzywa i wypuszcza głośno powietrze. – Sama nie wiem, co myślałam – przyznaje. – Na pewno się nie spodziewałam, że zastanę ją nieprzytomną na podłodze.

– Jak pani myśli, dlaczego to zrobiła?

Lisa bezradnie wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Chyba po prostu nie radziła sobie już z tym wszystkim. No bo jak człowiek może sobie z czymś takim poradzić? To chyba niemożliwe.

– Zażyła antydepresanty, tak?

– Tak.

– Miała pani wcześniej wrażenie, że jest przygnębiona?

– Nigdy. Ale to nie ma znaczenia. Wydaje się, że dzisiaj wszyscy zażywają antydepresanty. Wszyscy oprócz mnie. Kiedy powiedziałam swojemu lekarzowi, że mam depresję, odpowiedział, że po prostu jestem wkurzona... Widocznie to jednak



nie to samo.

– Chyba chodzimy do tego samego lekarza – uśmiecha się Joanne. – Proszę opowiedzieć mi o mężczyźnie i psie.

– Teraz wydaje mi się to trochę głupie, po tym wszystkim... – Lisa ogarnia gestem kuchnię Kate Riverty.

– Mimo wszystko proszę opowiedzieć.

Lisa opisuje okoliczności zaginięcia Blueya, opowiada, jak bardzo chciała znaleźć mu dom, i jak się ucieszyła, gdy przyszedł po niego ten mężczyzna w prążkowanych spodniach...

Joanne przerywa pisanie i podnosi wzrok.

– W prążkowanych spodniach?

– Tak. Był bardzo elegancki. Miał drogie ubrania. Rzadko zjawiają się u mnie tacy ludzie.

– Ile miał lat?

– Około trzydziestu pięciu.

– Przystojny?

Lisa głośno wypuszcza powietrze.

– Oj tak...

– Przedstawił się?

– Jako Charles Lafferty.

– Pewnie nie ma pani adresu ani numeru telefonu?

Lisa opuszcza nieco głowę.

– Chciałam zapisać wszystko, gdy odprowadzi Blueya. Wiem, że to pewnie przypadek i że do niczego się to państwu nie przyda... ale myślałam, że jeśli powiem o tym Kate, to może rozpozna go z opisu. Teraz i tak już za późno.

– Nieprawda. Wszystko się może przydać.

Joanne zamyka notes i pochyła się do Lisy. Wskazując głową na Guya Riverty siedzącego w kuchni, szepcze.

– Powiedział pani, gdzie był wczoraj w nocy?

– Nie pytałam.

– Jak pani myśli, co on kombinuje?

– Nie mam pojęcia.

Joanne rusza na górę, by porozmawiać z chłopcem.

Sierżant Ron Quigley spotyka się z Joanne w szpitalu. Kate Riverty nie odzyskała jeszcze przytomności, ale żyje.

Ron podaje Joanne mocną herbatę w styropianowym kubku. Kobieta wyczuwa, że jej partner zabawiał dwie starsze damy w recepcji opowieściami o trudnej pracy policji, bo obie są rozchichotane i zaczerwienione. Mają co najmniej po osiemdziesiąt lat, jedna z nich nosi perukę, zsuniętą nieco za nisko na czoło. Druga ma wydatny miękki brzuch, który trzęsie się lekko pod welurową sukienką.

– Dziękuję paniom – mówi Ron, uśmiechając się czarująco. – Trzymajcie się ciepło i oby tak dalej!

– Dziękujemy, panie sierżancie – odpowiadają chórem.

Wchodzą do głównego holu szpitala. Jest tu ciepło i duszno, jak we wszystkich szpitalach, Joanne zdejmuje więc kurtkę i przewiesza ją przez rękę. Wie, że jej bluzka się rozchyła, próbuje więc zapiąć sweter, choć kręci jej się w głowie od gorąca.

– No i co o tym myślisz? – pyta Ron, odnosząc się do samobójczej próby Kate Riverty.

Joanne otwiera już usta, by odpowiedzieć, ale dostrzega dziennikarkę, którą widziała wcześniej przy domu Rivertych. Kobieta podrywa się, stuka wysokimi obcasami o podłogę, pędząc w ich stronę. Joanne miała z nią już kiedyś do czynienia, wie, że jest nachalna i arogancka, kiedyś błędnie zacytowała jej wypowiedź o podpaleniu, więc policjantka nie ma ochoty z nią rozmawiać.

Spogląda porozumiewawczo na Rona, po czym oboje przechodzą szybko korytarzem w stronę gabinetu rentgenowskiego. Dopiero wtedy odpowiada na pytanie.

– Myślę, że skłamała dla niego, zapewniła mu fałszywe alibi, a potem się załamała. To nie on ją znalazł, tylko przyjaciółka. I nie wrócił do domu zeszłej nocy... Więc gdzie właściwie był? Nie chciał mi powiedzieć, zrobił się wręcz niemiły.

– Więc chcesz go zamknąć?

– Uważam, że powinniśmy to zrobić.

– Na jakiej podstawie? Nie możemy mu nic zarzucić. Nie mamy żadnych dowodów, że porwał własne dziecko, nawet jeśli jest cholernym krętaczem...

– Nie wiem, Ron. Coś mi tu śmierdzi.

Słyszą jakiś warkot, zagląдают do sąsiedniej sali. Technik ściąga właśnie gips dzieciakowi, który ledwie zipie ze strachu. Mężczyzna próbuje mu wytłumaczyć, że piła do gipsu nie może przeciąć skóry, ale chłopak nie wygląda na przekonanego. Jego matka też nie.

– Rozmawiałeś z lekarzami? – pyta Joanne Rona, gdy idą dalej korytarzem.

– Tak, raczej nic jej nie będzie. Na szczęście szybko zwymiotowała pigułki.

– Kiedy będziemy mogli z nią porozmawiać?

– Gdy się ocknie. Ale to może jeszcze potrwać kilka godzin. Lepiej jedźmy teraz po Guya Riverty'ego, z jego żoną porozmawiamy później. Zaoszczędzimy dzięki temu trochę czasu.

Joanne dopija herbatę i rozgląda się po korytarzu, szukając kosza na śmieci.

– Myślisz, że ona naprawdę chciała umrzeć, Ron, czy to było wołanie o pomoc?

Ron wzrusza ramionami.

– Zawsze uważam, że to wołanie o pomoc, jeśli im się nie udaje. Ludzie, którzy naprawdę chcą umrzeć, używają pewniejszych sposobów, na przykład się wieszają.

– Śmierć przez powieszenie wydaje się kobietom zbyt brutalna, Ron.

– Ale to skuteczna metoda.

Joanne kręci głową.

– Muszę pamiętać, żeby nie prosić cię o radę, gdy wpadnę w depresję.

– Niby dlaczego? – pyta Ron z udawaną urazą. – Podobno jestem świetnym słuchaczem.

## ROZDZIAŁ 30

Wracam do domu, biorę prysznic – myję się po wizycie u Kate. Moje ubrania są już w pralce, piorą się w najwyższej temperaturze. Joe siedzi na muszli (ubrany, na zamkniętej klapie) i rozmyśla głośno o stanie umysłu Kate.

Nadal jestem roztrzęsiona, nie do końca ufam własnemu ciału. Gdy pochylam się, by umyć stopy, omal nie padam na twarz.

Mamy prysznic w wannie, co przydaje się podczas mycia psów, które wytarzały się w lisich kupach, ale na dnie nie ma karbów zapobiegających poślizgnięciu, w które wyposażone są kabiny. Teraz przydałoby mi się coś takiego. Mieliśmy co prawda w wannie matę antypoślizgową, ale wyrzuciłam ją w zeszłym miesiącu, gdy zauważyłam, że od spodu zaczyna przypominać rezultat jakiegoś eksperymentu biologicznego.

– Fergus widział nieprzytomną Kate? – pyta Joe.

– Udało mi się zatrzymać go na górze do czasu, aż zabrali ją ratownicy.

– Biedny dzieciak. Zrobi się z niego jeszcze większy dziwak niż do tej pory.

– Joe! – upominam go.

– No co? To ty powtarzasz, że jest dziwny.

– No tak, jest... ale mimo wszystko. – Zakręcam wodę. – Podaj mi ręcznik, dobrze?

Joe wstaje, przesuwa spojrzeniem po moim nagim ciele.

– Ślicznie wyglądasz, Liso – mówi cicho i rozkłada ręcznik. Owija mnie nim, a potem całuje mnie w mokre czoło. – Nie rób tego nigdy więcej – mówi. – Umarłbym bez ciebie, Liso. Wszyscy byśmy umarli.

– Nie zamierzam – odpowiadam i całuję go w usta. Jego ciało natychmiast reaguje – jak zawsze – a on szepcze nieoczekiwanie: – To jak, szybki numererek?

– Nie mamy czasu.

– Mamy.

– Nie mogłabym tego robić ze świadomością, że w tym samym czasie przepłukują Kate żołądek.

– Nie musimy mówić o tym Kate – mówi prosto w moje usta. – Poza tym dziś rano uratowałaś jej życie. Jestem pewien, że nam wybaczy... Naprawdę teraz wiele ci zawdzięcza...

Wsuwa dłoń pod ręcznik, kładzie ją na moich pośladkach.

– Ale nie zażyłaby tych tabletek, gdyby Lucinda nie zaginęła, Joe, to moja wina i... Pomimo tych protestów z sekundy na sekundę robi mi się coraz goręcej.

– Potrzebuję tego, kochanie – mówi, przyciągając mnie mocno do siebie. Ręcznik opada na podłogę. Joe wsuwa język do moich ust, przywieram do niego całym ciałem.

– Dobrze – szepczę. – Ale zrobimy to szybko.

– Tak, szybko – odpowiada, rozpinając pasek spodni. – Żaden problem.

Odwraca mnie, stoję teraz twarzą do wanny. Podnosi moją prawą nogę i opiera ją stopą o krawędź wanny. Wiem, że jestem trochę za niska na tę pozycję, więc odchylam się do tyłu i stawiam lewą stopę na blaszanym czubku jego buta.

Czuję, jak we mnie wchodzi, i wypuszczam głośno powietrze. Wzdycha głęboko i niemal osuwam się na niego. Ogarnia mnie ogromna ulga, pojękuję cicho, gdy trzyma mnie przy sobie. Bogu dzięki, że nadal mnie chce. Bogu dzięki, że chce mnie jeszcze po tym, co mu zrobiłam.

Chwilę później przychodzi mi do głowy myśl, że z pewnej perspektywy przypominam zapewne dziecko, małą dziewczynkę, która uczy się tańczyć, stawiając stopy na butach rodziców.

No dobrze, w każdym razie coś w tym rodzaju.

Schodzę na dół, nogi uginają się pode mną z wysiłku, jakbym właśnie spędziła dwie godziny na siłowni. Dzwoni telefon. Podnoszę słuchawkę w chwili, gdy włącza się sekretarka.

– Nie ma nas teraz w domu – rozbrzmiewa nagrany tekst. – Jeśli chcesz zostawić wiadomość...

– Halo? – rzucam do słuchawki, zdyszana. – Jestem...

– Liso, próbowałam złapać cię w pracy, ale powiedzieli mi, że jeszcze nie dojechałaś.

Moja matka.

Nie dzwoni na moją komórkę ze względu na koszty. Woli obdzwaniać wszystkich znajomych i próbować mnie złapać, niż zapłacić dwadzieścia pensów za minutę.

– Spóźniłam się, bo...

– Nieważne – przerywa mi. – Słyszałaś? Aresztowali Guya Riverty’ego i...

– Co?

Wymawia powoli słowo po słowie, jakbym była przygłucha.

– Aresztowali... Guya... Riverty’ego...

– Tak, słyszałam cię. Dlaczego go aresztowali?

Zaciąga się głęboko papierosem. Pierwsze dwa słowa są nieco przytłumione, bo wypuszcza dym i mówi jednocześnie.

– Nie wiem. Marjorie Clayton szła właśnie do ich sąsiadów z naprzeciwka i widziała, jak policja zabiera Guya. Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że ma coś wspólnego z zaginięciem ich córki.

– Nie, to niemożliwe...

Przerywa mi ponownie, gdy chcę jej powiedzieć o Kate.

– To *zawsze* jest ojciec – oświadcza triumfalnie. – Nie wiem, dlaczego policja nie zamknęła go od razu i tylko marnowała czas... – Milknie, by znów zaciągnąć się dymem.

Nie ma pojęcia, w czym zawinił Guy, ale to nie powstrzymuje jej od wydawania sądów.

– Chryste! – mówię. W tej samej chwili z góry schodzi Joe.

– Co się stało? – pyta bezgłośnie, zapinając spodnie. Na jego twarzy maluje się wyraz głębokiego zadowolenia, który gości tam jedynie po udanym seksie. Teraz mogłabym go poprosić o wszystko, co przyszłoby mi tylko do głowy, a on na pewno by się zgodził.

Moja matka mówi coś do mnie.

– Chwileczkę, mamó, jest tutaj Joe... – Zakrywam dłonią mikrofon. – Aresztowali Guya Riverty'ego – wyjaśniam mojemu mężowi, a ten unosi brwi w wyrazie zdumienia.

Tymczasem ze słuchawki dobiega głos mamy.

– Joe? A co on robi w domu? Dlaczego nie jest w pracy?

– Bo nie – warczę. – Co jeszcze mówiła Marjorie?

Marjorie prowadzi gospodarstwo hodowlane w Troutbeck. Należy do tych ludzi, którzy bez przerwy narzekają na trudną sytuację rolników w dzisiejszych czasach, ale bez problemu może sobie pozwolić na nowego, siedmioosobowego land rovera discovery. Moja mama i Marjorie tworzą dziwną parę. Mama *naprawdę* nie ma pieniędzy, ale święcie wierzy w rzekome ubóstwo Marjorie.

– Mówiła, że Guy wyglądał na wściekłego – kontynuuje moja mama.

– Na pewno... Chryste! – powtarzam, kręcąc głową.

– Co? – znów pyta Joe.

Ponownie zakrywam dłonią mikrofon.

– Jest wściekły – szepczę, a Joe przewraca tylko oczami, co ma zapewne oznaczać: Co ty nie powiesz, Liso...

– Jego żona nie będzie zachwycona, kiedy się dowie – słyszę w słuchawce.

– Dziś rano próbowała się otruć lekami. Ja ją znalazłam.

Moja mama głośno wciąga powietrze. Po chwili mówi:

– Więc to musi być prawda.

– Co mianowicie?

– Że porwał własną córkę. Bo niby dlaczego próbowała się zabić?

– Wczoraj zaginęła druga dziewczynka. Może wtedy pomyślała, że jej córka już nie wróci? – odpowiadam szorstko. – Nie wydawaj pochopnych sądów, mamó.

– Nie pozbawiłaby matki własnego syna – słyszę szybki argument.

– Skąd wiesz? Skąd ktokolwiek może wiedzieć, co zrobiłby na jej miejscu?

– Po prostu by tego nie zrobiła.

– Wiem, że *ja* bym tego nie zrobiła, ale nie wiem, co zrobiłaby ona. Ty też nie wiesz. Prawdę mówiąc, nie mam siły teraz słuchać tych wszystkich plotek, które

powtarzasz.

– Dlaczego to ty ją znalazłaś, a nie jej mąż?

Milczę przez chwilę. Potem z ociąganiem przyznaję:

– Nie było go tam.

– A gdzie był?

– Nie wiem.

Matka prycha pogardliwie.

– Na twoim miejscu nie zbliżałabym się do tego domu. A już na pewno nie szłabym tam sama. Nie wiadomo, co oni ukrywają. – Kiedy nie reaguję, dodaje: – Poza tym Marjorie mówi, że Guy Riverty jest niegrzeczny i arogancki.

– Marjorie jest niegrzeczna i arogancka.

– Muszę kończyć.

Słyszę trzask odkładanej słuchawki i zamykam oczy. Nie mogę zebrać myśli, nie mogę poukładać ich w głowie jak należy. To wszystko wydaje się nierealne.

Kate próbowała popełnić samobójstwo.

Guy został aresztowany.

Lucindy nadal nie ma.



## ROZDZIAŁ 31

Detektyw Joanne Aspinall potrzebuje trochę czasu, by się przygotować. Wchodzi do pokoju przesłuchań z nieprzeniknioną twarzą, spokojna i pewna siebie. W środku oprócz Guya Riverty'ego jest już detektyw Colin Cunningham, ale to ona poprowadzi przesłuchanie.

Siada naprzeciwko Guya i wzdycha w duchu z irytacją, gdy poprawia lewy pasek biustonosza, który werznął się głęboko w jej skórę i boleśnie ją ociera.

Czuje, że tym gestem zepsuła pierwsze wrażenie, obraz pełnego profesjonalizmu, który chciała stworzyć na potrzeby przesłuchania. Ma rację. Wsuwając prawą dłoń głęboko pod bluzkę, widzi grymas niesmaku na twarzy Guya Riverty'ego. Mężczyzna odwraca wzrok.

Joanne czuje się dotknięta, potem jednak przypomina sobie, że po prostu nie może się podobać Guyowi Riverty'emu. On lubi szczupłe kobiety. A właściwie szczupłe trzynastoletnie dziewczynki.

Po raz pierwszy uzmysławia sobie, że jego żona, Kate, również jest nieprawdopodobnie chuda, ma ciało dziecka.

Joanne układa przed sobą swoje notatki i z trudem skrywa uśmiech, przypomniawszy sobie okrutny dowcip o innej wyjątkowo chudej kobiecie, która mogłaby przypaść do gustu Guyowi Riverty'emu – Victorii Beckham.

Riverty siedzi rozparty na krześle, opiera stopę na kolanie drugiej nogi i stara się wyglądać na znużonego i zirytowanego jednocześnie.

Jego długie włosy opadają mu na ramię. Taka fryzura pasuje raczej do nastolatka, Guy jest na nią za stary, ale Joanne przypuszcza, że niektórym kobietom nadal się to podoba.

Ma na sobie te same ubrania, w których Joanne widziała go rano – beżowe sztruksy,

czarny gruby golf i czarne sztyblety. Jego kurtka wisi na oparciu krzesła. Ten wizerunek przywołałby na myśl Simona Templara, gdyby nie fakt, że Guy wygląda trochę niechlujnie. Joanne dostrzega na jego prawym udzie coś czerwonego i lepkiego. Woli się nie zastanawiać, co to jest.

Zachowanie Guya zmieniło się całkowicie w ciągu tych dwóch dni, czyli od czasu, gdy Joanne go poznała. Wtedy był nerwowy, ale chętny do pomocy, gotowy zrobić wszystko, byle tylko odnaleźli jego córkę. Joanne myślała wtedy, że gdyby nagle wydała z siebie jakiś głośny dźwięk, Guy Riverty wyskoczyłby w górę na metr, niczym wystraszony kot. Przepęniała go nerwowa energia.

Teraz wydaje się rozluźniony i pewny siebie, co nie jest zachowaniem typowym dla kogoś, kto za moment zostanie poddany przesłuchaniu. To nieco niepokoi Joanne, wzmaga jej czujność.

– Witaj ponownie, Guy.

Podnosi rękę w geście sarkastycznego pozdrowienia, ale zachowuje obojętną minę.

– Zdaje się, że coś już piłeś?

– Kawę – odpowiada, ziewając. – Wypiłem kubek gównianej kawy.

– Wybacz – wzdycha Joanne. – Ale zabrakło nam akurat latte z odtłuszczonym mlekiem. Nie jesteś jeszcze aresztowany, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że rozmowa jest nagrywana?

Kiwa głową i rzuca jej pogardliwe spojrzenie.

– Dlaczego tracę z wami czas, gdy moja żona walczy w szpitalu o życie?

Joanne bierze do ręki pióro i ostentacyjnie przewraca kartki notesu. Nie podnosząc wzroku, mówi:

– Chyba już dotarła do ciebie informacja, że twoja żona wyzdrowieje i z pewnością nie musi walczyć o życie. – W końcu podnosi głowę i dodaje z uśmiechem. – Jestem pewna, że wkrótce wróci do domu. Więc teraz, jeśli pozwolisz...

– A jeśli nie zechcę odpowiadać na wasze pytania?

– Wtedy nie będziemy mogli wyłączyć cię ze śledztwa na tyle szybko, byś mógł pojechać do szpitala i zobaczyć się ze swoją żoną. Ani wrócić do domu i zająć się synem. Chyba nikt nie chce mieszać mu jeszcze bardziej w głowie, prawda? Sporo

przeżył przez ostatnie dni... To bardzo spokojny dzieciak, prawda?

Guy powoli mierzy Joanne spojrzeniem.

– Dobrze, zaczynamy.

Policjantka uśmiecha się przelotnie.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zatrzymali na chwilę twój telefon?

Riverty sięga do kieszeni kurtki i przesuwa aparat po stole.

– Pan Riverty oddaje telefon detektyw Aspinall – mówi Joanne na potrzeby nagrania.

– Rozumiem, że nie masz też nic przeciwko temu, żebyśmy przeszukali twój dom?

Guy kręci głową.

– Nie.

– Świetnie. W takim razie zaczynamy.

Guy rozkłada ręce.

– Śmiało.

Joanne zawiesza rękę nad notesem i pyta:

– Czy uważasz swoje małżeństwo za szczęśliwe?

– Co?

– Pytam o twoje małżeństwo. Z panią Riverty.

Guy spogląda na nią chmurnie.

– Nie wasz pierdolony interes.

– Kochasz swoją żonę?

– A co to ma do rzeczy?

Joanne czeka. Nie odwraca wzroku.

– Tak, kocham ją – mówi w końcu Riverty warkliwym tonem. – Oczywiście, że ją kocham.

– Jak myślisz, dlaczego twoja żona usiłowała dziś rano popełnić samobójstwo?

Guy odsuwa krzesło do tyłu, chce wstawać.

– Nie będę odpowiadał na te bzdury.

Joanne nie zamierza ustąpić.

– Nie traciłabym czasu na zadawanie nieistotnych pytań. Mój czas jest równie

cenny, jak twój. A właściwie cenniejszy, szczególnie gdy w grę wchodzi życie dwóch dziewczynek... A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko...

– Co to ma wspólnego z zaginięciem mojej córki?

Joanne unosi lekko brwi.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiła – wzdycha Guy. – Nie zostawiła listu pożegnalnego. Powinniście chyba zapytać ją, a nie mnie.

– Owszem, tak zrobię. Ale najpierw chciałabym poznać twoją opinię. Kłóciliście się?

– Tak, ale nie dlatego próbowała się zabić.

– Więc jednak wiesz dlaczego.

– Tego nie powiedziałem. Stwierdziłem tylko, że to nie z powodu naszych kłótni. Jesteśmy małżeństwem, czasem się kłócimy. Nasza córka zaginęła. Przeżywamy prawdziwe piekło. Odchodzimy od zmysłów z rozpaczy. Byłoby dziwne, gdybyśmy się nie kłócili. Kate jest w rozsypce, nie daje rady... – Przerywa i kręci głową. – Co ja właściwie mówię? To oczywiste, że sobie nie radzi. Kto by potrafił? Nikt.

– Jak sądzisz, dlaczego cię przesłuchujemy?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, co myślą policjanci. Przypuszczam, że nie macie zielonego pojęcia, gdzie jest moja córka i ta druga dziewczyna, więc jesteście zdesperowani. Musicie pokazać, że coś robicie...

Joanne przewraca dwie kartki w notesie. Próbuje ukryć fakt, że owszem, są zdesperowani.

– Twoja żona zapewniła ci alibi na wczorajsze popołudnie, tak?

– Wiesz, że tak. Już o tym rozmawialiśmy.

– Gdzie byłeś wczoraj w nocy?

– W domu.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

– A gdzie byłeś dziś rano, gdy pani Kallisto znalazła twoją żonę?

– Wyszedłem.

– Dokąd?

– To nie ma znaczenia.

Joanne przechyla głowę.

– A mnie się wydaje, że ma.

– Muszę odpowiadać?

– Nie, ale...

– Więc nie odpowiem.

– Panie Riverty – zaczyna Joanne oficjalnym tonem, rezygnując z nazywania go po imieniu. – Pozwoli pan, że jeszcze raz wyjaśnię. Na razie nie jest pan aresztowany, ale to może się zmienić w każdej chwili, jeśli nie będzie pan z nami współpracował. Pański wybór. Na pana miejscu zaoszczędziłabym sobie kłopotów, nie wspominając już o zszarganej opinii, i odpowiedziała na pytania.

– Żeby mnie aresztować, musicie mnie o coś oskarżyć. Więc o co zamierza mnie pani oskarżyć, pani detektyw?

– Możemy zatrzymać pana bez oskarżenia. Wiedział pan o tym?

Spogląda na nią hardo, niewzruszony.

– Tak. Jeśli zamierzacie podjąć takie właśnie działania, dopilnujcie, żeby ktoś zajął się moim synem, bo wkrótce trzeba go odebrać ze szkoły.

Joanne zachowuje kamienną twarz, choć wie, że Riverty stara się utrudnić jej życie. Odwołuje się do jej matczynych uczuć, co nie jest taktyką stosowaną często przez podejrzanych, ale też nie całkiem nową.

Większość ludzi zachowuje się podczas przesłuchania obelżywie. Joanne przywykła do tego. Uodporniła się. Nasłuchiwała się przeróżnych wyzwisk. Najgorsze z nich padały z ust kobiet. Kobiet, których nikt nie podejrzewałby o tak ogromną nienawiść w stosunku do innej kobiety.

Nic nie jest w stanie zaskoczyć Joanne. W tym zawodzie człowiek styka się z mętami społecznymi. Te same rodziny, te same twarze, te same problemy, raz za razem. Nic jej już nie wzrusza. Przynajmniej takie stara się robić wrażenie.

Joanne odkłada pióro i prostuje plecy.

– Na razie to pan jest wciąż odpowiedzialny za opiekę nad swoim synem. Chciałby pan do kogoś zadzwonić? – Milczy przez moment, czeka na odpowiedź. Nie doczekawszy się, dodaje: – Ja chętnie napiłabym się kawy, więc może zrobimy przerwę.

Riverty nadal się nie odzywa, mruży tylko lekko oczy, chcąc ukryć irytację, jaką budzi w nim Joanne.

Policjantka przesuwa w jego stronę telefon stacjonarny i wstaje.

– Nie musi się pan spieszyć – mówi. – Mamy mnóstwo czasu. Ja pójdę teraz kupić sobie gównianą kawę. – Po krótkim namyśle dodaje: – Och, przy okazji może chce pan się skontaktować ze swoim prawnikiem, upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, jak to mówią...

Zbiera swoje papiery, wymienia spojrzenia z detektywem Cunninghamem i wychodzi na korytarz, omal nie zderzając się z Cynthią Spence. Cynthia jest członkiem personelu cywilnego, który ma nieco odciążyć pracowników dochodzeniówki. Jako były pracownik policji prowadzi niektóre rutynowe przesłuchania.

Joanne współpracowała z nią kilka razy. Wie, że Cynthia dobrze wykonuje swoją pracę.

– Zaczął gadać? – pyta Cynthia, wskazując głową na Guya Riverty'ego.

Joanne odchodzi od szklanych drzwi, usuwa się z pola widzenia Guya.

– Miga się – odpowiada. – Nie chce powiedzieć wszystkiego.

– Zostawiłaś go, żeby trochę dojrzał?

– Najlepszych sztuczek nauczyłam się od ciebie, Cynth.

Cynthia zerka ukradkiem na Guya.

– Daj mu co najmniej pół godziny.

– Aż tyle?

– Już się wierci. To nie jest facet nawykły do czekania. Na pewno nie taki, który położy głowę na biurku i będzie udawał, że śpi. Daj mu trochę czasu, a powie ci wszystko, co zechcesz.

Po drugiej stronie korytarza rozlega się głośny śmiech. Joanne i Cynthia odwracają

się w tamtą stronę i widzą dwie młode kobiety z administracji, które ozdabiają futrynę drzwi lametą. Jedna stoi w połowie wysokości drabiny i zanosi się śmiechem, druga porusza bombkami choinkowymi tak, jakby były przymocowane do jej sutków. Cynthia kręci głową z dobrotliwym uśmiechem i mówi Joanne, że zobaczą się później.

Joanne idzie po kawę, a w drodze powrotnej zatrzymuje się przy biurku Rona Quigleya, by sprawdzić, czy podczas jej nieobecności pojawiły się nowe wieści.

Ron rozmawia przez telefon, wygląda na udręczonego. Podnosi rękę, pokazując Joanne, by poczekała chwilę, i wskazuje na krzesło. Coś się stało. Coś ważnego. Ron zapisuje adres i kiwa głową, notując informacje.

– Więc o której godzinie to się stało? – pyta. – Tak, tak... rozumiem. Zaraz przyjadę.

Zatacza palcem wskazującym kółko, co oznacza, że już kończy rozmowę telefoniczną. Ron Quigley nie należy do ludzi, którzy przejmują się byle czym, a Joanne czuje dreszczyk podniecenia i strachu jednocześnie. Na tym etapie śledztwa przełom rzadko oznacza dobre wieści. Ma nadzieję, że nie zniknęło kolejne dziecko, bo po pierwsze byłby to oczywiście straszny dramat, a po drugie, musiałaby wypuścić Guya Riverty'ego, bo tym razem miałyby naprawdę niezbite alibi: w czasie porwania sama go przesłuchiwała.

Ron kończy rozmowę i wydziera z notesu kartkę, na której coś zapisał. Potem bierze głęboki oddech i mówi:

– Wróciła dziewczyna numer trzy. Ta sama historia. Porzucona w Bowness, nie wie, gdzie jest, wydaje jej się, że została zgwałcona. Prawdopodobnie więcej niż jeden raz. Nie jest w najlepszym stanie. – Sierżant zaciska zęby, wymawiając ostatnie słowa. Nie przechodzą mu łatwo przez gardło.

– Więc co stało się z dziewczyną numer dwa? – pyta Joanne. – Co z Lucindą Riverty? Skoro pierwsza i trzecia wróciły, to gdzie jest Lucinda?

– Tak, dziwna sprawa – odpowiada Ron posepnie. – Za pięć minut mamy spotkanie z inspektorem, może rozjaśni trochę sprawę.

– A co z Guyem Rivertym?

– Siedzi jeszcze w pokoju przesłuchań?

Joanne kiwa głową.

– Powiedział, gdzie był rano?

– Nie. Twierdzi, że to nie ma związku z naszym śledztwem.

– Nie ma związku? – Ron przechyla lekko głowę. – W takim razie niech sobie gnój poczeka.



## ROZDZIAŁ 32

Zatrzymuję się na płatnym parkingu.

Widzę, jak po drugiej stronie wyjmują nosze z helikoptera sanitarnego. Zostaję jeszcze przez chwilę w samochodzie.

Kiedy pacjent i załoga helikoptera są już w środku, wysiadam i ruszam w stronę szpitala. Zastanawiam się, czy Kate odzyskała przytomność, czy w ogóle pamięta, że połknęła tabletki. Słyszałam historie o ludziach, którzy nie pamiętają takich chwil i po przebudzeniu są zszokowani informacją, że próbowali się zabić. Czy tak będzie w przypadku Kate?

Słońce roztopiło miejscami lód. Tu i ówdzie można normalnie chodzić. Przypominam sobie nosze wyjęte z helikoptera i myślę, że nie wszyscy doczekali bezpiecznie tego momentu.

Postanawiam nie ufać jeszcze swoim nogom i śliskiej powierzchni, stawiam małe kroczyki i rozkładam szeroko ramiona, gotowa na upadek. Parking posypano piaskiem i żwirem, ale zostało sporo miejsc, gdzie nadal widnieje tylko gładka tafla lodu, i trzeba naprawdę uważać.

Słyszałam w radiu, że służby ratownicze mają pełne ręce roboty po wczorajszych opadach marznącego deszczu. Pocieszałam się myślą, że gdybym znalazła Kate później, ratownicy mogliby do niej nie zdążyć.

Choć z drugiej strony, gdybym znalazła ją później, pewnie by już nie żyła.

Docieram do głównych drzwi, przed którymi stoi tłumek ludzi. Niektórzy są w szlafrokach i kapciach, palą papierosy. Obok stoi nastolatek o kulach, który spogląda w stronę głównej bramy, czekając zapewne, aż ktoś po niego przyjedzie.

Jakiś nieszczęśnik pod pięćdziesiątkę próbuje przeprowadzać ankietę. Trzyma w dłoniach podkładkę z formularzem i robi dobrą minę do złej gry, ale widać, że

powoli traci siły. Wygląda na kogoś, kto niedawno stracił pracę.

Automatyczne drzwi rozsuwają się przede mną, idę do recepcji. Pulchna kobieta podnosi wzrok znad dokumentów.

– Tak, kochana? – mówi uprzejmie. Ma umięśnione przedramiona i szare, kręcone, krótko przycięte włosy.

– Szukam Kate Riverty. Przywieziono ją dziś rano.

Recepcjonistka wpisuje nazwisko do komputera i spogląda na monitor.

– Tak, trafiła właśnie na oddział ogólny.

– To dobrze? – pytam nerwowo, przerażona, że stan Kate się pogorszył.

– Zwykle oznacza to, że pacjent zdrowieje – odpowiada kobieta rzeczowo, po czym wskazuje za moje ramię. – Wyjdzie pani na zewnątrz, przejdzie przez parking... proszę nie połamać nóg... i wejdzie do tamtego brązowego budynku. Znajdzie pani salę numer cztery. Na drugim piętrze.

– Dziękuję. – Kiwam głową i wychodzę.

W sali numer cztery stoi sześć łóżek. Wszystkie zajęte.

Dostrzegam Alexę, która siedzi przy łóżku Kate, i robi mi się gorąco. Oblewam się potem. Alexa podnosi na mnie wzrok, gdy wchodzę do sali, ale nie zmienia wyrazu twarzy.

Kate śpi albo nie odzyskała jeszcze przytomności. Jest podłączona do kroplówki i ubrana w białą szpitalną koszulę. Wygląda w niej jak pacjentka szpitala dla psychicznie chorych. Może dlatego, że wszystkie pozostałe chore mają na sobie własne piżamy lub koszule nocne, więc trochę odstaje od towarzystwa.

– Jak ona się czuje? – szepczę, a Alexa odwraca wzrok. Nie zdecydowała jeszcze, czy chce ze mną rozmawiać. Potem syczy:

– Musiałaś tu przychodzić?

Odpowiadam, że tak, oczywiście, że musiałam. To ja ją znalazłam.

Wydaje się, że to ją nieco uspokaja. Widzę, jak łagodnieje, analizując w myślach sytuację: – *A gdyby jej nie znalazła...*

– Lekarze twierdzą, że fizycznie szybko dojdzie do siebie – mówi, nie patrząc na mnie. – Lekarstwa znajdowały się w jej układzie pokarmowym na tyle krótko, że

nie zdążyły wyrządzić jej krzywdy. Jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, cóż, musimy poczekać i przekonać się.

Alexa przemawia lodowatym tonem, ze złością wyrzuca z siebie słowa. Bez wątplenia uważa, że ze względu na zaginięcie Lucindy to ja jestem odpowiedzialna za próbę samobójczą Kate. Gdyby nie fakt, że ja ją znalazłam i uratowałam jej życie, zapewne od razu by mnie stąd wyrzuciła.

Przystawiam sobie wolne krzesło i siadam obok Alexy. Odsuwa się z obrażoną miną. Wyczuwam, że nie chce rozmawiać o tym, co się stało, więc skupiam się na Kate.

Cienkie jasne włosy leżą rozrzucone na poduszce, co nadaje jej niemal eteryczny wygląd. Skóra na jej czole jest mlecznobiała, jakby ktoś posmarował ją środkiem zmiękczającym. Ciężko mi na nią patrzeć. Przesuwam wzrok nieco niżej, na jej usta. Wydają się dziwnie wąskie, jakby nie należały do niej. Dostrzegam resztki czarnego węgla w kącikach.

– Mówiła już coś?

Alexa kręci przecząco głową.

– Otworzyła parę razy oczy, ale to wszystko. Podobno powinna jeszcze dłuższy czas spać, więc to całkiem zrozumiałe.

– Biedna Kate – wzdycham. Nagle ogarnia mnie ogromny smutek. Przyjechałam tutaj, bo wydawało mi się to naturalne. Byłam zbyt oszołomiona wieściami o Guyu, by zastanawiać się, co powiem Kate, jeśli będzie przytomna. Odmawiam krótką modlitwę dziękczynną, zadowolona, że na razie nie musi niczym się przejmować.

Alexa składa czasopismo, które wcześniej czytała – „Vanity Fair” – potem wyjmuje z torebki chusteczkę do nosa i ociera powieki. Jej rzęsy wyglądają jak pomalowane przed momentem, a nie wczoraj.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś? – pyta.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam z Guyem, ale nie pamiętam... – milknę. No właśnie, kiedy ostatnio rozmawiałam z Kate? Nie pamiętam nawet, jaki mamy dzień.

– Jaki dziś jest dzień? – pytam Alexę, a ona patrzy na mnie jak na wariatkę. – Straciłam rachubę – tłumaczę. – Tyle się ostatnio wydarzyło...

– Czwartek – mruczy.

– Przepraszam, mam mętlik w głowie.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu, Alexa co jakiś czas głaszcze Kate po rękę.

W końcu mówię szeptem:

– Chcesz powiedzieć jej o Guyu, gdy się obudzi, czy lepiej na razie o tym nie wspominać?

Patrzy na mnie zdumiona.

– Co mam jej niby mówić o Guyu? Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbiera.

Odruchowo otwieram szerzej oczy.

– Został aresztowany – mamroczę. Siadam prosto i przygryzam wargę, zdezorientowana. Dlaczego do niej nie zadzwonił? Dlaczego nikogo nie zawiadomił, gdzie jest?

Alexa obraca się na krześle.

– Dobry Boże – mówi. – Aresztowany? Za co?

Wzruszam ramionami, zakłopotana.

– Nie wiem.

Przez chwilę wpatruje się w przestrzeń, ale widzę, że walczy z natłokiem myśli. Tętnica na jej skroni pulsuje gwałtownie, na czole znów wystąpiła ta gruba żyła. Wygląda jak robak ukryty pod skórą. Po chwili krępującego milczenia odsuwa krzesło do tyłu i wstaje.

– Muszę zadzwonić. Zostaniesz z Kate?

Kiwam głową.

– Nie odchodź, dopóki nie wrócę – nakazuje.

– Oczywiście.

Wyraźnie poruszona Alexa bierze swoją torebkę.

– Postaram się załatwić to szybko – mówi, odchodząc. Jej obcasy stukają głośno na twardej podłodze, płaski, bezkształtny tyłek opięty markowymi džinsami ledwie się kołysze. Kiedy w końcu znika za drzwiami sali, wypuszczam głośno powietrze.

Ale się porobiło.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak teraz musi czuć się Alexa.

Twoja siostra próbuje się zabić, ty się oczywiście zamartwiasz, a jednocześnie jesteś szczęśliwa, że jej się nie udało. Zastanawiasz się też, co ją popchnęło do tak desperackiego kroku.

Przypuszczam, że Alexa doszła do wniosku – podobnie jak wcześniej ja – że Kate nie poradziła sobie z informacją o zaginięciu trzeciej dziewczynki. Ta wiadomość oznaczała, że Lucinda niemal na pewno nie wróci już do domu. Ludzie zabijają się ze znacznie błahszych powodów.

Alexa musi pogodzić się ze świadomością, że Kate prawdopodobnie próbowała popełnić samobójstwo, bo znalazła coś, co łączyło Guya z zaginionymi dziewczynkami.

Dopiero teraz rozglądam się po sali.

Ściany pokrywa paskudna łososiowa farba. Z boku każdego łóżka zwisają prążkowane, turkusowe zasłonki, którymi w razie potrzeby można ukryć pacjenta przed wzrokiem innych chorych lub gości. To wewnątrz wygląda tak, jakby zaprojektował je podstarzały facet, który myśli, że zna gusta kobiet. Przypomina mi to wystrój kiczowatej sali weselnej.

Nie mam na czym skupić wzroku – nie chcę ciągle patrzeć na Kate ani na inne pacjentki – więc sięgam po magazyn, który zostawiła Alexa. Zwykle nie czytam takich gazet, ale mam mętlik w głowie i nie wiem, co zrobić z rękami. Kartkuję „Vanity Fair” i dochodzę do wniosku, że to chłam. Zdecydowanie za dużo tekstu...

Zaczynam czytać artykuł o jakiejś celebrytce, która mieszka na Bermudach i jest luźno spokrewniona z rodziną królewską. Ma trzydzieści kilka lat, bujne blond włosy i długie zgrabne nogi. Właśnie urodziła swoje pierwsze dziecko. „To niesamowite” – mówi z uśmiechem. „Nieprawdopodobne. Coś pięknego i zdumiewającego. Tyle miłości”.

Zamykam czasopismo z niesmakiem, otrzepując w myślach dłonie.

Choć raz – jeden jedyny raz – chciałabym przeczytać w czasopiśmie wypowiedź świeżo upieczonej matki, która mówi: „To dla mnie naprawdę bardzo trudne. Wszystko wygląda inaczej, niż przypuszczałam. Raczej nie będę mieć następnego...”

A do tego”... – tu przerywa, żeby wysmarkać nos – „mój mąż jest po prostu beznadziejny. Myślałam, że będzie cudownym ojcem, ale on zostawia wszystko na mojej głowie. Powiedzmy sobie szczerze, jest kompletnym fiutem”.

Zerkam odruchowo na Kate i podskakuję w miejscu, omal nie spadając z krzesła.

Ma otwarte oczy i patrzy na mnie.

– Jak się czujesz? – pytam szybko, starając się pozbierać myśli. Mój zdławiony głos wydaje się zdesperowany.

Jej powieki są zaczerwienione i podpuchnięte. Próbuje się uśmiechnąć.

– Co tutaj robisz? – pyta.

– Przyszłam cię odwiedzić.

– Dziękuję.

– Och, to żaden problem – papłę. – Alexa też tutaj jest, ale musiała wyjść na moment, żeby zadzwonić. Zaraz wróci. – Kate zamyka oczy, a ja ujmuję jej dłoń i ściskam lekko. – Cieszymy się, że z tego wyszłaś, Kate.

Spoglądam w stronę drzwi, ponaglam w myślach Alexę, chcę, żeby już wróciła. Nie czuję się pewnie w tej sytuacji, nie wiem, czy sobie poradzę.

Ani śladu Alexy.

Nie otwierając oczu, Kate szepcze:

– Gdzie ja jestem?

Patrzę na nią, zszokowana. Przed momentem zakładałam, że jest w pełni świadoma. Że wie, co się stało, i nie wspomina o pigułkach, bo czuje się zawstydzona. Albo ja nie jestem osobą, z którą chciałaby o tym rozmawiać.

Czuję się okropnie niezręcznie, uważam, że to nie ja powinnam z nią teraz rozmawiać. Nawet jeśli ja ją znalazłam.

– Jesteś w szpitalu – odpowiadam niepewnie. – W Lancaster.

– Och...

– Wiesz, dlaczego tu trafiłaś?

– Niezupełnie.

– Nie szkodzi... Na razie odpoczywaj – mówię. Kate unosi lekko powieki. Przychodzą mi na myśl te okrutne zdjęcia celebrytów, którzy wychodzą nad ranem

z klubów. Zataczają się, mają półprzymknięte powieki i wyglądają na kompletnie pijanych.

– Lisa – pyta po chwili. – Jest tutaj Guy?

– Jeszcze nie.

– Ale przyjdzie?

– Na pewno – odpowiadam niepewnie, bo nic innego nie przychodzi mi w tym momencie do głowy.

Przyjdzie?

Raczej nie.

Siedzi w policyjnej celi albo jest właśnie przesłuchiwany w sprawie swojej zaginionej córki.

Kiedy się nad tym zastanawiam, przychodzi mi do głowy myśl, że Kate nie zapytała o Lucindę. „Czy wróciła? Czy są jakieś nowe wiadomości?” Można się spodziewać przynajmniej czegoś w tym rodzaju... prawda?

To spostrzeżenie umacnia mnie tylko w przekonaniu, że Kate podejrzewa o coś Guya. Wiem, że gdybym ja znalazła się w podobnej sytuacji, zapytałabym najpierw o swoje dziecko. Nie zdążyłabym jeszcze na dobre oprzytomnieć, a już bym krzyczała: „Gdzie jest moje...”.

Nagle, bez konkretnej przyczyny, Kate wstrząsa gwałtowny dreszcz. Doskakuję do niej.

– Kate? Wszystko w porządku?

Kiwa głową, jakby nie mogła mówić, a ja nie wiem, co powinnam zrobić. Nacisnąć guzik alarmowy? Wybiec na korytarz i szukać pielęgniarki?

Mam już wezwać kogoś z personelu, kiedy dostrzegam łzę spływającą po policzku Kate. Otwiera usta, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Wtedy uświadamiam sobie, że jest zbyt zrozpaczona, by mówić. Drzenie było zapowiedzią płaczu, pełnego cierpienia szloch.

– Och, Kate – mówię cicho i próbuję objąć ją ramieniem. Znów zauważam, jaka jest chuda. Czuję żebra na jej plecach. Wydaje się, jakby nie okrywało ich nic prócz koszuli, ani grama ciała czy skóry.

Tulę się do niej i całuję delikatnie we włosy. Czuję jeszcze lekki zapach wymiocin, ale nie jest odrażający, przypomina kwaśną woń wysłużonego termosu. Nie odsuwam się. Gdzieś z oddali dociera stukot obcasów Alexy, lecz nie zdaję sobie sprawy z jej obecności. Zauważam ją dopiero w momencie, gdy staje przy łóżku.

– Powiedziałaś jej? – pyta ostrym tonem. – Powiedziałaś jej o Guyu?

Odwracam się szybko.

– Nie – szepczę bezgłośnie.

Ale Kate musi się czegoś domyślać. Jeśli podejrzewa swojego męża, to musi wiedzieć, że wcześniej czy później policja również na to wpadnie.

– Co miałaś mi powiedzieć o Guyu? – pyta Kate niepewnie. – Czy on... czy coś mu się stało?

Alexa patrzy jej prosto w oczy.

– Guy został aresztowany.

Kate odruchowo podnosi rękę do ust, zszokowana, ale zapomina o kroplówce. Jęczy cicho z bólu, a jej twarz wykrzywia grymas cierpienia. Znowu chce coś powiedzieć i nie jest w stanie. Patrzy na mnie.

– Dlaczego? – szepcze. „Myślałam, że ty wiesz” – odpowiadam w myślach. Myślałam, że odkryłaś oszustwa Guya i dlatego próbowałaś się zabić. Jeśli nie to było powodem, to... co nim było?

Odrywam się od tych rozmyślań, zauważywszy, że Kate wciąż wpatruje się we mnie błagalnie.

– Dlaczego? – powtarza cicho, ale ja milczę.

Co takiego mogłabym jej powiedzieć?



## ROZDZIAŁ 33

W szpitalu miałam wyłączony telefon. Wszędzie wiszą tabliczki z ostrzeżeniami, że komórki zakłócają działanie defibrylatorów czy respiratorów... czy czegoś tam jeszcze. To pewnie bzdura, ale rozumiem intencję. Kiedy człowiek leży w szpitalu, nie ma najmniejszej ochoty wysłuchiwać jakiegoś kretyna, który nieustannie obwieszcza światu, jaki jest ważny.

Wracam do samochodu i włączam telefon. Widzę, że dostałam esemesa od Lorny, jednej z moich dziewczyn ze schroniska. Wiadomość jest krótka: „Bluey wrócił”.

Oddycham z ulgą i siadam za kierownicą. Włączam ogrzewanie i dzwonię do Lorny. Gdy odbiera, natychmiast pytam:

– Gdzie on był?

– Czekał przywiązany do ogrodzenia obok pojemnika na szkło przy Booths – odpowiada zdyszana. Pewnie myje właśnie podłogę. – Szalona Jackie znalazła go o siódmej rano, kiedy wyrzucała puste butelki. Przyprowadziła go tutaj, mówiła, że ktoś musiał go porzucić, bo parking jest o tej porze pusty. Kazała cię przeprosić, że przyprowadza następnego psa, ale po prostu nie mogła go zostawić.

– Jak myślisz, długo tam czekał? – pytam.

– Nie mam pojęcia. Mówiła, że wyglądał naprawdę żałośnie. Biedak jak zwykle stał ze zwieszonym łbem i czekał, aż ktoś po niego przyjdzie. Pewnie sterczałby tam przez cały tydzień, gdyby musiał.

Czuję, jak zbiera mi się na płacz, muszę zaczerpnąć kilka głębokich oddechów, aby nad tym zapanować.

– Liso, jesteś tam? – pyta Lorna, zaniepokojona.

– Tak – chlpię. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że nic mu nie jest... Bo nic mu nie jest, prawda?

– Wydaje się, że jest cały i zdrowy. Nie chciał jeść, ale to u niego normalne. Domieszam mu trochę kocięj karmy, może się skusi. Jak myślisz, po co ten facet go zabrał? Dlaczego z nim uciekł, a potem porzucił? Jaki to ma sens?

– Mam pewną teorię. Powiem ci później. Powinam przyjechać niedługo, to zależy tylko od tego, w jakim stanie są drogi.

– Podobno jest lepiej niż wczoraj – odpowiada Lorna, po czym dodaje już innym tonem: – Liso?

– Tak?

– Joe powiedział nam, że twoja przyjaciółka trafiła do szpitala. Jak ona się czuje?

Joe na moją prośbę zadzwonił do schroniska i powiedział im o Kate, żebym mogła od razu do niej pojechać.

– Dojdzie do siebie – odpowiadam Lornie. – Właśnie się z nią widziałam, może już siadać samodzielnie i mówić. Odwiedziła ją siostra, zostawiłam je same.

– Czy ona miała jakieś problemy, czy coś...?

– To ta, której zaginęła córka.

– Och... – wzdycha ze współczuciem. – To okropne.

– Wiem – odpowiadam i mówię, że zjawię się za pół godziny.

Kiedy jadę do schroniska, mam mętlik w głowie. Próbuję słuchać radia, ale w tej okolicy odbieram jedynie program z udziałem słuchaczy, a nie zniosę chóru jęczących zrzęd, więc wyłączam odbiornik.

Mój tłumik coraz bardziej hałasuje. Gdy dodaję gazu, huk przeraża młodą matkę, która stoi z wózkiem przed przejściem dla pieszych. Zerkam w lusterko i widzę, że krzyczy za mną coś ze złością. Mam nadzieję, że nie obudziłam jej dziecka, mam nadzieję...

„Dlaczego Kate próbowała się zabić?”

Ta myśl nie daje mi spokoju.

Miałam ochotę wykrzyknąć jej to w twarz. Miałam ochotę potrząsnąć nią z całych sił i zmusić, by powiedziała mi, co tu się dzieje, do cholery.

Nie mogę teraz myśleć racjonalnie. Czuję się tak, jakby ktoś strzelał do mnie z bliska śrutem, i gdy próbuję ułożyć myśli w logiczny ciąg, gdy staram się poskładać

je w całość, wszystko znika, nim zdążę dojść do właściwych wniosków.

Dlaczego po przebudzeniu nie spytała o Lucindę?

Dlaczego tak się przejęła wiadomością, że Guy został aresztowany?

I jeszcze drobnostka, jednak muszę powiedzieć to sobie szczerze, bo mnie wkurza – dlaczego ani Kate, ani Alexa, ani nawet Guy nie podziękowali mi za uratowanie życia Kate?

Wiem, że wszyscy mają teraz co innego na głowie, ale przynajmniej jedno z nich mogło się zdobyć na zdanie: „Bogu dzięki, że się tam zjawiałaś, Liso”.

Ale nie. Nic.

Zaciskam mocno dłonie na kierownicy i nakazuję sobie w myślach: „Opanuj się. Na razie o tym nie myśl. Przecież Bluey wrócił”. To jedyna dobra wiadomość tego dnia.

Bluey wrócił, a ja postanawiam, że jeszcze tego wieczora zamieszka z nami.

## ROZDZIAŁ 34

Joanne jest w centrum koordynacyjnym i z czwórką innych detektywów czeka na inspektora McAleese'a. To pokój o przeszklonych ścianach, zbudowany w zeszłym roku po tym, jak jeden z najstarszych stażem detektywów w Kumbrii, Russ Holloway, umarł na raka trzustki. Zdjęcie Russa wykonane w pierwszym dniu jego służby wisi w rogu, pod spodem znajduje się mała tablica pamiątkowa. Joanne spogląda teraz na nią i przypomina sobie, jak zatrzymała samochód, gdy Russ wspomniał o dokuczliwym bólu w żołądku, na który narzekał już trzeci raz w tamtym tygodniu. Joanne powiedziała wtedy, że nie pojedzie dalej, dopóki Holloway nie zadzwoni do swojego lekarza i nie umówi się na wizytę. Okazało się jednak, że było za późno. Sierżant Holloway zmarł trzy tygodnie później.

McAleese wchodzi do sali i zamyka za sobą drzwi. Jest ubrany w ciemnoczerwoną koszulę z kontrastującym krawatem. Na koszuli widnieją ciemne plamy potu, co w przypadku McAleese'a jest rzeczą niespotykaną. To człowiek wyjątkowo skrupulatny i wykształcony lepiej niż większość ludzi obecnych w pokoju. Zamierzał zostać aktuariuszem, ostatecznie jednak wstąpił do policji, gdzie szybko doceniono jego zdolności. Awansował do stopnia inspektora w rekordowo krótkim czasie.

McAleese wygląda na udęconego, co również nie jest dla niego normalnym stanem.

– Zakładam, że wieści się rozniosły i że wszyscy wiedzą o odnalezieniu trzeciej dziewczynki?

Ogarnia spojrzeniem twarze swoich podwładnych.

– Tak jest... – pomrukuje w odpowiedzi.

Wiadomo już, że wszyscy wiedzą.

– Francesca Clarke wróciła już do swojej rodziny, wkrótce jedziemy ją przesłuchać.

Stan dziewczynki nie pozwala na przewiezienie tutaj. Zbadał ją lekarz, dostaliśmy raport. – Robi krótką pauzę, by odchrząknąć i poluzować krawat. – Sprawca był tym razem brutalniejszy – stwierdza rzeczowym tonem, jakby wszyscy się tego spodziewali. – Na razie oszczędzę wam nieprzyjemnych szczegółów. Powiem tylko tyle, że nie będzie jej łatwo z tego wyjść. Jest z nią dwóch policjantów, a z Preston jedzie psycholog, która ma doświadczenie w pracy z ofiarami brutalnych gwałtów. –

Wzdycha ciężko i dodaje: – Podobno jest bardzo dobrą specjalistką... – W rzeczywistości jednak podobnie jak obecni na sali myśli, że nawet najlepsza niewiele może pomóc. Jeszcze jedno zrujnowane życie.

McAleese gryzie przez chwilę końcówkę długopisu. Wszyscy milczą, świadomi, że układa w głowie listę zadań. Potem przygryza od wewnątrz policzek i mówi:

– Ojciec Franceski Clarke szaleje, oskarża nas, że nieudolnie prowadzimy śledztwo i tak dalej, i tak dalej. Potrzebuję kogoś, kto go uspokoi. Ktoś na ochotnika?

Ponieważ nikt się nie pali do tego niewdzięcznego zadania, Joanne oznajmia, że właściwie ona by mogła. Czasami lepiej niż jej współpracownicy radzi sobie z trudnymi sytuacjami – potrafi przekonać niezadowolonego petenta, że policji jest naprawdę przykro z powodu oskarżeń, a zarazem, że wcale nie jest za to odpowiedzialna. Nabyła tę umiejętność we wczesnej młodości, gdy pracowała jako pokojówka w kilku hotelach rozsianych po Krainie Jezior. Kiedy oburzeni goście narzekali, że znaleźli włos w pościeli albo plamę rdzy na dzbanku do herbaty, Joanne z zadziwiającą łatwością potrafiła ich przeprosić i zapewnić o tym, jak bardzo sytuacja zasmuca dyrekcję hotelu. Bo właśnie o to chodziło gościom: o jedno „przepraszam”. Nikt nie mówił, że musi być szczere. Joanne zauważyła jednak, że wielu ludziom krótkie, proste słowo nie może przejść przez gardło.

Inspektor McAleese dziękuje Joanne, ale nie skorzysta z jej propozycji. Chce, żeby na razie skupiła się na Rivertym. Wyciągnęła od niego informacje, które przed nimi ukrywa.

– Żona tego gnojka na pewno nie próbowała się zabić bez powodu.

Joanne jest w gruncie rzeczy zadowolona. Tak czy inaczej, chciała doprowadzić tę sprawę do końca. Ma przeczucie, że wcześniej czy później wpakują go do aresztu,

chce się też dowiedzieć, gdzie był minionej nocy. Coś podpowiada jej, że ma to zasadniczy związek ze śledztwem, nawet jeśli Guy Riverty twierdzi inaczej.

McAleese prowadzi spotkanie, przydziela detektywom zadania, chce, by ktoś sprawdził nagrania z kamer telewizji przemysłowej. Kiedy zaczynają dyskutować o przekazaniu oświadczenia dla prasy, telefon Joanne wibruje dwukrotnie w jej kieszeni. Wyciąga go i czyta wiadomość od Lisy Kallisto: *Przepraszam za zamieszanie. Zaginiony pies wrócił. Wiele hałasu o nic!*

Joanne czyta wiadomość po raz drugi i przerywa szefowi:

– Panie inspektorze, czy ujawniono już wiadomość o powrocie trzeciej dziewczynki?

– Nie, jeszcze nie. Dlaczego?

– Dostałam właśnie esemesa od tej kobiety ze schroniska. Zadzwoiła do mnie wczoraj i zgłosiła, że ktoś ukradł im psa. Starego, siwego psa, kojarzy pan?

– Jak ten, którego miał facet pod szkołą?

Joanne kiwa głową.

– Pies się właśnie odnalazł. Uważa pan, że to zbieg okoliczności?

– Może – odpowiada. – Ale wart sprawdzenia.

Joanne odwraca się do Rona Quigleya.

– Robiliśmy już kiedyś analizę psiego DNA, Ron?

– Nie przypominam sobie – stwierdza z uśmiechem.

W drodze powrotnej do pokoju przesłuchań Joanne dzwoni do Lisy Kallisto. Lisa odbiera i od razu mówi:

– Przepraszam za tę historię. Pewnie myśli pani, że całkiem mi odbiło. Bluey wrócił i wygląda na to, że czuje się świetnie, więc niepotrzebnie narobiłam zamieszania.

– Jest pani teraz z tym psem?

– Co? Nie. Siedzę w moim biurze i porządkuję cholerne rachunki, Bluey został w boksie.

– Proszę go nie kąpać. Ani nie czesać. I trzymać go w zamknięciu, dopóki ktoś się po niego nie zgłosi.

Lisa mimowolnie wydaje z siebie okrzyk zdumienia.

– Co on zrobił?

Joanne uśmiecha się do siebie.

– Niczego nie zrobił. Chodzi raczej o to, gdzie był. Musimy zbadać...

– O mój Boże... – przerywa jej Lisa. – Chce pani powiedzieć, że Bluey jest dowodem.

Joanne pewnie nie ujęłaby tego aż tak dramatycznie.

– Tak – odpowiada. – Potrzebujemy go, żeby zdobyć dowody.

– Co mam robić? – pyta Lisa.

– Niczego nie musi pani robić. Jak mówiłam, proszę tylko dopilnować, by nikt go nie mył ani nie szczotkował. Lepiej też, żeby nie wyprowadzała go pani na spacer – dodaje Joanne po krótkim namyśle, choć nie wie, czy to ma jakieś znaczenie. – Skontaktuję się z technikami kryminalistycznymi, spytam, czy ktoś może szybko przyjechać do schroniska. Ale może trzeba trochę poczekać. Do której zostaje pani w pracy?

– Technicy kryminalistyczni? – powtarza Lisa z przestrawieniem.

– Tak.

– Poczekać, do której trzeba. Mój mąż zajmuje się dziećmi, bo muszę nadrobić zaległości...

– Skontaktuję się z panią później, gdybym potrzebowała czegoś jeszcze, ale to chyba powinno na razie wystarczyć.

– Pani detektyw?

– Tak?

– Jest u was Guy Riverty?

Joanne ma już odpowiedzieć, że owszem, zatrzymali go czasowo, ostatecznie jednak mówi:

– Dlaczego pani pyta?

– To nic ważnego, ale... – Lisa milknie na chwilę, po czym dodaje z ociąganiem. – Coś z nimi jest nie tak.

– Z kim?

– Z nimi wszystkimi – wyjaśnia krótko. – Dzisiaj czułam się naprawdę zdenerwowana w ich towarzystwie. Miałam wrażenie, że coś ukrywają. Wszyscy – Kate, Guy, siostra Kate, Alexa. Zachowywali się dziwnie, inaczej niż można by się spodziewać w takich okolicznościach.

– W jakim sensie?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale rano Fergus powiedział mi coś zaskakującego. Mówił, że jego mama się denerwuje, kiedy tata nie wraca do domu na noc, co chyba zdarza się to dość często. Dziwne, prawda?

Joanne kończy rozmowę, myśląc: „Tak, to dziwne”. Urwałaby swojemu mężowi głowę, gdyby zniknął na całą noc. Ale z drugiej strony nie jest przecież mężatką, więc kto wie, co naprawdę zrobiłaby w takiej sytuacji. Kobiety tolerują wiele rzeczy, na które nie godziły się, wychodząc za mąż. Dlaczego ona miałaby być inna?

Joanne otwiera drzwi pokoju przesłuchań. Przygotowała się już wewnętrznie na stek obelg, którymi z pewnością obrzuci ją Guy Riverty. Siedzi tu ponad godzinę i na pewno jest wściekły.

Wchodzi do środka i staje jak wmurowana. Jest kompletnie zaskoczona.

Guy opiera się całym ciałem o biurko. Wydaje się kompletnie załamany. Joanne odchrząkuje, by zaznaczyć swój powrót, a on podnosi głowę. Po brodzie ścieka mu ślina zmieszana ze smarkami.

Guy płacze jak dziecko, ogarnięty emocjami, których nie potrafi już dłużej ukryć. Patrzy smutno i mówi:

– Mam żonę.

– Wiem – odpowiada Joanne z zakłopotaniem. – Ale nic jej nie będzie, panie Riverty. Wyzdrowieje.

Guy kręci głową. Wyciera nos w rękaw, pozostawiając smugę śluzu na drogim swetrze.

– Mam drugą żonę – mówi, patrząc Joanne prosto w oczy. – Drugą żonę... i synka. Małego synka.

Joanne mimowolnie otwiera szerzej oczy. Prawdę mówiąc, nie to spodziewała się usłyszeć.



## ROZDZIAŁ 35

Czy pani Riverty o tym wie? – pyta Joanne, po czym dodaje szybko. – Mam na myśli Kate.

– Tak.

– To musi być trudne.

Wzdycha.

– Dlaczego z panem została? – Nieprofesjonalne pytanie, które nie ma nic wspólnego z potrzebami śledztwa, ale każda kobieta na jej miejscu zapytałaby o to samo.

– Sam chciałbym wiedzieć. Prosiłem, by zgodziła się na rozwód, ale nie dopuszcza takiej możliwości. Wiele razy ją przekonywałem, że tak byłoby lepiej dla wszystkich, ale ona nie ustąpi.

Joanne jest skonsternowana.

– Więc woli dzielić się panem? – pyta z większym zdumieniem, niż zamierzała. Chyba dziwi ją nie tyle fakt, że Kate w ogóle dzieli się mężem, ile że skłonna jest dzielić się mężem takim jak on – jakby Guy Riverty był jakąś wyjątkowo cenną zdobyczą, a Joanne nie miała dotąd o tym pojęcia.

Guy wydaje się dotknięty pytaniem.

– To znacznie bardziej skomplikowane, niż się wydaje – mówi.

Joanne dopiero wtedy uświadamia sobie, że nadal stoi, wyciąga więc krzesło spod stołu i siada.

Mimowolnie przygląda się Guyowi Riverty'emu, próbując zrozumieć, z jakiego powodu jakakolwiek rozsądna kobieta zgodziła się poniżyć dla niego siebie i swoją rodzinę.

Dlaczego po prostu nie powie, żeby wypierdalał do nowej żony?

Dlaczego nie zrobi tego, co zrobiłaby na jej miejscu każda normalna kobieta? Dlaczego nie wykopie go z domu? Dlaczego nie wywali jego ubrań i nie obsmaruje go przed wszystkimi znajomymi, by potem zrobić sobie nową fryzurę, kupić tonę nowej bielizny, przespać się z kimś przystojniejszym i rozpocząć nowy etap życia? Tak właśnie postąpiłaby Joanne.

Uśmiecha się ze współczuciem do Guya.

– Musi pana naprawdę kochać.

– W tym właśnie rzecz – odpowiada, wzdychając. – Nie kocha mnie.

– Więc dlaczego chce, żeby pan z nią został?

– Równie dobrze mógłbym zapytać o to panią – mówi, po czym dodaje z westchnieniem: – W gruncie rzeczy chyba znam powód. Kate ma bardzo radykalne poglądy na temat małżeństwa i rodziny. To decyzja na całe życie. Nie można narażać dziecka na stres związany z rozwodem z powodu kaprysu albo dlatego, że miłość po latach wygasa. Dzieci są najważniejsze.

Joanne marszczy brwi, analizując w myślach sytuację. Po chwili pyta:

– Więc dlaczego pan nie odejdzie? Dlaczego nie przeniesie się do swojej drugiej żony? – Guy chce już odpowiadać, kiedy nagle przychodzi jej do głowy coś jeszcze: – Więc jest pan bigamistą? Jest pan mężem dwóch kobiet?

Kiwa głową.

– Ożeniłem się z Nino...

– Nino?

– To moja druga żona, Gruzinka. Ożeniłem się z nią w Gruzji, gdy...

– Chwileczkę. Nie rozumiem.

– Nino przyjechała tu do pracy. Zatrudniłem ją do sprzątania domków letniskowych i chcąc nie chcąc coraz częściej przebywałem w jej towarzystwie. Uświadomiłem sobie, że to zamienia się w coś szczególnego ... i nim się obejrzałem... wie pani...

– Przespał się pan z nią?

– Tak. Ale zanim sprawy przybrały poważniejszy obrót, powiedziałem Kate, że chcę rozwodu. Że zamierzam się wyprowadzić i rozpocząć nowe życie z Nino... Aresztujecie mnie za bigamię?

– Pewnie tak, ale nie teraz. Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego nie odszedł pan od Kate.

– Bo zawsze groziła, że popełni samobójstwo.

– Rozumiem. Więc jak to się stało, że teraz ma pan dwie żony?

Guy wypuszcza głośno powietrze.

– Później moje relacje z Nino coraz bardziej się zacieśniały... Choć starałem się trzymać od niej z daleka, zrozumiałem w końcu, że nie potrafię. Ta sytuacja mocno odbiła się na Kate. Mocniej niż przypuszczałem.

– Więc znalazł się pan między młotem i kowadłem.

Guy spogląda na nią smętnie.

– Powiedzmy, że życie nie ułożyło mi się do końca tak, jak zakładałem – mówi, a Joanne myśli: „Witaj w klubie, drogi panie”.

– Nino zaszła w ciążę... niespodziewanie. Znów błagałem Kate o rozwód, a ona powtarzała, że prędeziej się zabije, niż do tego dopuści. Uwierzyłem jej. Wierzyłem w każde jej słowo. Problem polegał na tym, że Nino była panną z dzieckiem. Rodzina zerwałaby z nią wszelkie więzy. Uważałem, że na to nie zasługuje, tym bardziej że traktowała ze zrozumieniem moje problemy z Kate. Nie zasługiwała na to, żeby zostać z niczym. Nino bała się panicznie, że w końcu wybiorę Kate, a ona zostanie kompletnie sama, z nieślubnym dzieckiem. Wybrałem więc łatwe rozwiązanie i ożeniłem się z nią w Gruzji. W obecności jej rodziny i przyjaciół.

– Kto o tym jeszcze wie?

– Dzieci wiedzą, że istnieje jakiś problem, choć nie do końca go rozumieją. Alexa, siostra Kate, wie o Nino.

– Więc wczoraj w nocy był pan z...?

– Nino – kończy za nią. – Mieszkamy w Helm Priory w Bowness. To dobre miejsce. Nino nie ma prawa jazdy, a stamtąd ma blisko do miasta. Może sama robić zakupy.

– Więc to dlatego Lisa Kallisto znalazła dziś pańską żonę. Pan był w Bowness.

Guy kiwa głową.

Joanne przypomina sobie, jak śledziła go dwa dni temu. Gdy po wyjściu od lekarza

skręcił w lewo, w Brantfell Road, zamiast pojechać do domu.

Brantfell Road prowadzi do Helm Road. Lekarstwa, które wtedy wykupił, przeznaczone były dla jego syna. Dla syna Nino.

Joanne wraca myślami do Kate.

– Dlaczego postanowiła popełnić samobójstwo właśnie teraz... skoro to ciągnie się już... no właśnie, jak długo?

– Jestem z Nino od czterech lat.

– Więc dlaczego właśnie teraz?

– Ponieważ nie potrafiła poradzić sobie z tym, że zostawiam ją samą nawet po zaginięciu Lucindy – przyznaje z ociąganiem.

Joanne mimowolnie kręci głową. To rzeczywiście czyste kurewstwo.

– Wiem, co pani myśli – mówi Guy, a Joanne przechyla głowę. – Zastanawia się pani, jaki mężczyzna mógłby zrobić coś podobnego.

Joanne myśli, że gdyby grała w telewizyjnym kryminale, odpowiedziałby: „Nieważne, co o tym myślę. Moim zadaniem jest dociec, dlaczego zginęła pańska córka, i doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości człowieka, który jest za to odpowiedzialny”. Ale w rzeczywistym świecie Joanne mówi:

– Boże, to naprawdę ohydne. Kto nauczył pana traktować kobiety w ten sposób?

Guy patrzy na nią beznamiętnym wzrokiem.

– Nie rozumie pani. Kate ma... problemy ze sobą. Skomplikowane problemy.

Joanne spogląda na niego znacząco, jakby chciała powiedzieć: „Tak, ty gnoju. To ty jesteś jej problemem”.

– Niech zgadnę – mówi, opadając na oparcie krzesła. – Rosyjska żona rozumie pana znacznie lepiej.

– Gruzińska – poprawia.

– Pan wybaczy pomyłkę.

Guy bierze długi, głęboki wdech.

– Kate od lat chodzi do psychoterapeuty. Kiedy powiedziałem jej o Nino, mocno to przeżyła. Wcieliła się rolę kochającej matki, całkowicie oddanej swoim dzieciom.

Joanne kiwa głową, dając w ten sposób do zrozumienia, by mówił dalej, ale Guy

milczy przez chwilę, jakby to, co zamierza wyjawić, było zbyt bolesne, jakby musiał zebrać wszystkie siły, by kontynuować.

– Mniej więcej w tym czasie zaczęły się problemy z okiem Fergusa. Próbowaliśmy wszystkiego – opowiada. – Woziliśmy go wszędzie. Ale oko ciągle było opuchnięte, nie mogliśmy się uporać z infekcją. W pewnym momencie wydawało się nawet, że całkiem straci w nim wzrok. Kate naprawdę zaangażowała się w leczenie, wiele razy jeździła z synem do szpitala okulistycznego w Londynie, ale i tam nie doszukali się przyczyny. Aż... – Guy robi pauzę i wydyma policzki w grymasie smutnej rezygnacji. – Aż pewien kanadyjski lekarz rozwiązał w końcu zagadkę.

Joanne spogląda na Guya wyczekująco.

– Skontaktował się ze mną, tylko ze mną, i powiedział mi, że znalazł na rogówce włókna.

Joanne kręci głową.

– Jakie włókna? Skąd się tam wzięły?

– Za sprawą Kate.

Joanne otwiera usta ze zdumienia.

– Kate pocierała oko Fergusa rogiem jej kaszmirowego szala.

– Dlaczego?

– Dobre pytanie. Wiedziałem, że bardzo przeżywa mój związek z Nino, ale tego nie mogłem zrozumieć. Wkrótce potem zdiagnozowano u niej zespół Münchhausena. Odkryliśmy też, że pipetką zapuszczała mu do oka wybielacz. Mówiła, że robiła to sporadycznie. Tylko wtedy, gdy czuła, że życie wymyka się jej spod kontroli.

– Wybielaczem? Jezu! – oburza się Joanne, myśląc jednocześnie, że musi to również jak najszybciej sprawdzić. – Ale jest już zdrowa? – pyta po chwili.

– Nie sądzę – odpowiada ze smutkiem Guy. – Inaczej nie leżałaby teraz w szpitalu.

*Wraca, gratulując sobie w duchu dobrze wykonanego zadania. Jest w tym coraz lepszy, z dnia na dzień skuteczniej zaciera ślady, staje się niewidzialny.*

*Jedzie przez Windermere i zastanawia się, czy nie przystanąć na moment przed średnią szkołą, przed Windermere Academy. Mógłby wtedy przyjrzeć się ponownie swojej następnej wybrance. Być może udałoby mu się z nią porozmawiać. Wie, że go zauważyła. Podoba się jej. Widział, jak mu się przygląda.*

*W końcu jednak dochodzi do wniosku, że dwie w ciągu jednego dnia to za dużo, nawet jak na niego. Jedzie w stronę domu. Musi nad sobą panować, jeśli chce robić to dalej. Może przecież wrócić tu rano. Sprawdzić, czy znów spojrzy na niego po wyjściu z autobusu.*

*Wyobraża sobie, jak podchodzi do jego auta, i czuje dreszcz podniecenia. Jej gładka skóra, ciemne proste włosy, piękne brązowe oczy...*

DZIEŃ CZWARTY  
PIĄTEK

## ROZDZIAŁ 36

Jest rano. Minęło trzydzieści sześć godzin od burzliwej wizyty Alexy. Joe wstaje pierwszy. W mojej obecności jest milczący i przygnębiony, jakby dotknęła nas śmierć w rodzinie, a ja modłę się tylko, by nie zmienił zdania i nie postanowił mnie porzucić.

Pogoda się zmienia. We wczorajszych prognozach mówili o dużym zachmurzeniu na północnym zachodzie. Wysokie ciśnienie, odpowiedzialne za niskie temperatury, i suche, chłodne powietrze z północy coraz bardziej ustępuje. Czeka nas okres łagodniejszej pogody. Chyba jednak święta nie będą białe.

Słyszę, jak Joe otwiera i zamyka szafki w kuchni.

– Liso! – woła od schodów, a ja mrużę pod nosem, dając znać, że go słyszę. – Któryś pies zrzygał się na żółto.

– Posprzątam – odpowiadam ze znużeniem i chowam głowę pod kołdrę.

Nie chodzi o to, że Joe chce się na mnie odegrać. Nie próbuje powiedzieć mi w ten sposób: „Przespałaś się z kimś innym, więc teraz odwalaj całą gównianą robotę”. Joe nie jest taki. Nie, on po prostu wie, że wolę sprzątać sama, bo wszystko, czego on użyje, czyli ścierka, mop, druciak ze zlewozmywaka, później do niczego się nie nadaje.

Ścierki brązowieją i pokrywają się trawą (czyszczenie butów), mop zamienia się w bezkształtną czarną masę (mycie dachu taksówki) i tak dalej, i tak dalej.

Przewracam się na drugi bok i próbuję ułożyć w myślach plan dnia. W tle nieustannie pojawia się postać Kate, ale na pierwszy plan wysuwa się Bluey.

Wczoraj wieczorem do schroniska przyjechała po niego młoda kobieta w białej furgonetce. Wcześniej sporo myślałam o tym, że zostanie poddany badaniom kryminalistycznym. Świadomość, że Bluey może być brakującym ogniwem, elementem układanki, który pozwoli schwytać porywacza trzech dziewczyn,



przyprawiała mnie o dreszcz ekscytacji.

Jednak gdy w końcu pojawiła się ta kobieta z pustą klatką ustawioną w bagażniku furgonetki, ogarnęła mnie panika. Przeraziłam się, że będą na nim eksperymentować. Oczywiście nie miało to najmniejszego sensu, a młoda technik nie wiedziała, co robić, gdy zaczęłam na nią krzyczeć. Zrozumiałam, że się mnie boi, więc natychmiast przestałam. Zakłopotana, wręczyłam jej smycz. Wytłumaczyłam, że ostatni tydzień był dla mnie bardzo trudny, i przeprosiłam za mój wybuch.

– Zwykle się tak nie zachowuję – zapewniłam ją, a biedaczka w pośpiechu zapakowała psa do klatki i odjechała.

Zastanawiam się, co teraz porabia Bluey. Czy dobrze się miewa. Dziewczyna przekonywała mnie, że zapewni mu dobrą opiekę i że prawdopodobnie weźmie go do siebie na noc.

– Prawdopodobnie? – powtórzyłam oskarżycielskim tonem.

– Nie, na pewno – sprostowała szybko.

Mam nadzieję, że wróci cały i zdrowy. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś mu się stało, gdyby na domiar złego ktoś skrzywdził tę starą kupkę kości. Nie wybaczyłabym sobie tego.

Joe woła ponownie, że muszę zejść na dół i posprzątać, zanim pozostałe psy zaczną jeść to świństwo. Siadam więc na łóżku, wsuwam stopy w kapcie i idę na dół. Gdy docieram do kuchni, czeka już na mnie kawa oraz mop i wiadro z ciepłą wodą.

– Dolałeś wybielacza? – pytam, wyjmując wiadro ze zlewu.

– Tak – odpowiada. – Trochę.

Jest już ubrany do pracy: włożył czyste dzinsy, białą koszulę, wełniany sweter oraz wypolerowane buty.

– Ładnie wyglądasz – mówię, ale dostrzegam w jego twarzy coś, co każe mi dokładnie mu się przyjrzeć. – Dobrze się czujesz? – pytam.

– Tak – odpowiada, ale nadal coś mi nie pasuje.

– Twoja twarz wygląda jakoś inaczej – mówię, a on wzrusza ramionami. Wydaje się, że jego zmarszczki są w innych miejscach niż wczoraj.

– Na pewno? – drążę i dostrzegam błysk irytacji w jego oczach.

– Chyba trudno się dziwić, że o tej porze nie tryskam energią, co?

– Pewnie tak. Przepraszam. Kocham cię – mówię, ziewając. – Ja pewnie wyglądam fatalnie, prawda?

– Jesteś piękna – odpowiada. Podchodzi i całuje mnie w usta. – Ale cuchnie ci z ust. Przyglądam się, jak wkłada kurtkę, a jego lekko wilgotne, nieco za długie włosy układają się na kołnierzu.

– Co byś zjadła na kolację? – pyta, a ja proszę go, żeby kupił po drodze stek.

– Jest piątek – mówię. – Obejrzymy film, upijemy się i pójdziemy do łóżka, kiedy dzieciaki zasną. Spróbujemy udawać, że tego tygodnia w ogóle nie było.

– Cudownie – uśmiecha się i całuje mnie ponownie, tym razem w czoło. Potem zabiera kluczyki do samochodu i wychodzi.

Sprzątam wymiociny w pomieszczeniu gospodarczym. Trudno powiedzieć, który pies cierpiał na niestrawność, bo wszystkie w takim samym, niezdrowym pośpiechu pochłaniają swoje jedzenie. Nie przejmuję się więc rzeczami, na które nie mam wpływu, i siadam przy stole z kubkiem kawy w dłoni. Wczoraj postanowiłam kierować się w życiu maksymą, że nic nie dzieje się bez przyczyny, i choć wiem, że to bzdura, łatwiej mi zachować spokój.

Popijam kawę. David Bowie i Bing Crosby śpiewają w radiu *The Little Drummer Boy*, a ja dochodzę do wniosku, że muszę ubrać w tym tygodniu choinkę, bo inaczej dzieciaki nie dadzą mi spokoju.

Z góry dochodzi brzęczenie budzików, a potem łomot i pospieszne kroki. Odkąd Sam nauczył się chodzić – a posiadał tę umiejętność w wieku dziewięciu miesięcy – niemal wszędzie pędzi biegiem.

Słyszę, jak włącza światło w łazience, potem wyłącza, następnie wraca, bo zapomniał spuścić wodę. Dziesięć sekund później siedzi naprzeciwko mnie.

– Dzień dobry, mamó – wita się radośnie. Uśmiecham się, podniesiona na duchu jego porannym entuzjazmem. Wiem, że za kilka lat radość zmieni się w skargi i pojękiwania, które słyszę od pozostałej dwójki.

– Dobrze spałeś, Sam?

– Miałem wyjątkowo zły sen – oświadcza dramatycznym tonem. – Śniło mi się, że

Mario i Luigi byli na takim tym, no, wielkim rollercoasterze i...

Kiwam ze zrozumieniem głową i robię przerażoną minę w odpowiednich momentach, martwiąc się na pokaz losem Super Mario Brothers, gdy Sam relacjonuje swój sen (a raczej wymyśla go na poczekaniu).

Nalewam mleka do płatków i stawiam przed nim miskę. Je i mówi. W poniedziałek po lekcjach w szkole odbędzie się przyjęcie wigilijne, miałam dostarczyć fanty loteryjne. Nauczycielka prosiła też, by spytał mnie, czy mogę podawać herbatę albo obsługiwać któryś ze straganów.

Kiwam bezmyślnie głową i obiecuję, że porozmawiam z nauczycielką, bo zdążyłam się wyłączyć. Sam grzebie w oku, wyciąga z niego śpiocha, który przyczepił mu się do rzęs. Nagle czuję z tyłu głowy dziwne mrowienie, jakąś nieokreśloną myśl, do której nie mogę się dostać.

Ta myśl prześladowuje mnie od wczorajszego wieczora, krąży po obrzeżach świadomości, daje mi do zrozumienia, że gdybym tylko sięgnęła nieco dalej, lepiej się zastanowiła, dowiedziałabym się wszystkiego, co chcę wiedzieć.

Ale nic z tego. Im usilniej próbuję, tym trudniej mi ją złapać. Więc na razie daję sobie spokój.

## ROZDZIAŁ 37

Jest ósma trzydzieści rano, a Joanne pilnie notuje, podczas gdy inspektor McAleese przekazuje im najnowsze informacje.

Mówi, że technicy kryminalistyczni pobrali próbki spod paznokci Franceski Clarke, trzeciej ofiary. Nie spodziewali się znaleźć skóry sprawcy, ten jest bowiem zbyt skrupulatny i ostrożny, by pozwolić sobie na taki błąd. Chodziło im raczej o psie DNA – komórki skóry teriera bedlingtona.

Gdyby udało im się powiązać psa z Francescą Clarke i gdyby Lisa Kallisto potwierdziła tożsamość Charlesa Lafferty’ego, gnojka, który porwał psa, mieliby dość materiału, by oskarżyć go porwanie dziewczynki, a może nawet doprowadzić do skazania.

Musieliby go tylko znaleźć.

Nie mają jednak nic oprócz nazwiska Lafferty, z którym wiąże się brutalna napaść na czterdziestoletnią agentkę nieruchomości w Windermere. Nie znaleźli żadnych informacji o tym człowieku.

McAleese nie zamierza czekać z założonymi rękami. Nie chce siedzieć beczynn timer i odliczać godzin do kolejnego porwania. Potrzebuję nowych informacji, numeru tablicy rejestracyjnej, czegokolwiek...

Przeprowadzają więc rozmowy z kolejnymi osobami, które mogły coś zauważyć, sprawdzają nagrania z kamer telewizji przemysłowej umieszczonych w pobliżu szkół w South Lakeland. Wiedzą, że szukają przystojnego, eleganckiego mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat.

– To nie powinno być trudne – mówi McAleese i w odpowiedzi słyszy zbiorowy jęk podwładnych. – Zwróćcie uwagę na każdego, kto pojawia się w tych nagraniach dwukrotnie – poleca, po czym kończy spotkanie.

Ron Quigley odwraca się do Joanne.

– Znosi się na bardzo długi dzień.

Policjantka zgadza się z nim, choć wciąż myśli o Guyu Rivertym, minionego popołudnia zwolnionym bez postawienia zarzutów.

W końcu nie znaleźli powodów, by go aresztować, a Joanne, która początkowo była pewna, że Riverty ma jakiś związek ze zniknięciem swojej córki, teraz zaczęła mu współczuć.

Dwie godziny, cztery kubki herbaty i pół tabliczki czekolady później Joanne nadal przegląda nagrania z kamer telewizji przemysłowej. Jak dotąd nie znalazła nic ciekawego – kilkakrotnie widziała tylko Joe le Taxi i białego SUV-a. Zastanawia się właśnie, czy pójść tropem tego auta, gdy ktoś puka do drzwi. To sierżant z recepcji na dole.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Joanne, ale na dole czeka kobieta, która chce się widzieć z osobą, która zajmuje się sprawą zaginionych dziewcząt. Porozmawiasz z nią?

– Sprawdziłeś ją? Byle nie jakaś wariatka, bo takich mam już po dziurki w nosie. Szkoda czasu na takie rozmowy.

Sierżant otwiera drzwi nieco szerzej.

– Nie daje się spławić. Twierdzi, że ma ważne informacje. Wygląda na normalną.

– Dobra. Zaraz zejść.

Joanne schodzi do kobiety, która siedzi na plastikowym krześle przy oknie. Wpatruje się w czubki swoich butów, unika kontaktu wzrokowego z innymi osobami obecnymi na sali. Jeden ze świątecznych łańcuchów choinkowych, które wykonały dla policji dzieciaki z pobliskiej podstawówki, oderwał się od sufitu i zwisa w pobliżu głowy kobiety.

– Chciała pani ze mną porozmawiać? – zwraca się do niej Joanne. – Jestem detektyw Aspinall. Prowadzę śledztwo w sprawie zaginionych dziewcząt.

Kobieta podnosi wzrok. Jest drobna i niepozorna. Ma czterdzieści kilka lat i jasne włosy, nosi dresowe spodnie, adidas i jasnoniebieską wiatrówkę.

– Możemy porozmawiać na osobności? – pyta.

– Dobrze – kiwa głową Joanne. – Proszę chwilę poczekać, muszę znaleźć wolny pokój.

Pięć minut później kobieta siedzi naprzeciwko Joanne i przedstawia się:

– Nazywam się Teresa Peterson.

– I o czym chciała pani ze mną rozmawiać?

– O tych dziewczynkach.

Joanne czeka na ciąg dalszy, wydaje się jednak, że na razie Teresa Peterson nie jest w stanie powiedzieć nic więcej.

– Więc ma pani informacje o porwanych dziewczynkach, tak?

Teresa mruga gwałtownie oczami, opuszcza wzrok.

– Tak – odpowiada cicho.

Joanne bierze kilka głębokich oddechów. „To do niczego nie prowadzi” – myśli, ale czeka. Po chwili, gdy zaczyna podejrzewać, że kobieta może tak siedzieć przez cały dzień, pyta łagodnie:

– Co panią niepokoi, pani Peterson? Dlaczego jest pani zdenerwowana?

Teresa Peterson wzdycha ciężko.

– Widzi pani, nie jestem stąd. Mieszkam tu od niedawna i nie wiem...

Joanne myśli, że powinna przekazać kobietę Cynthii Spence.

– Wszystko, co pani mi powie, objęte jest tajemnicą. Boi się pani, że narobi sobie kłopotów?

– A jeśli się mylę?

– Czyli poda mi pani nieprawdziwe informacje?

– Nie. Jeśli wskażę niewłaściwą osobę.

Joanne rozluźnia się nieco.

– Mamy kogoś, kto może potwierdzić tożsamość podejrzanego – tłumaczy. – Jeśli osoba, którą pani wskaże, jest niewinna, od razu się tego dowiemy. – Wyciąga rękę i dotyka nadgarstka kobiety. – Proszę się nie obawiać. Na pewno nie oskarżymy niewinnej osoby. Niech mi pani po prostu powie, dlaczego tego kogoś podejrzewa.

Teresa Peterson sięga do kieszeni wiatrówki i wyciąga chusteczkę. Wyciera nos, a potem zamyka oczy. Zaczyna poruszać ustami, lecz nie wydobywa się z nich żaden

dźwięk. Joanne uświadamia sobie, że się modli albo powtarza jakąś mantrę, która pomaga jej odzyskać spokój.

W końcu unosi powieki.

– Chciałam zrobić zdjęcie – szepcze. – Zdjęcie moich butów. To markowe szpilki, Kurt Geiger, są dla mnie za wysokie... Nie powinnam nosić szpilek. Głupio w nich wyglądałam. Nie powinnam była ich kupować, ale coś mnie naszło, a teraz tylko stoją w szafie.

Spogląda na Joanne, jakby chciała zapytać, czy ma mówić dalej. Policjantka kiwa zachęcająco głową.

– Kiedy znalazłam aparat, nie leżał tam gdzie zwykle, nie tam, gdzie go trzymamy. – Zaczyna nerwowo wykręcać ręce, a Joanne zerka na zegarek. – Nie zwróciłam na to uwagi. Znalazłam go. Ale kiedy chciałam zrobić zdjęcie... Och, przepraszam, zapomniałam powiedzieć, że zamierzałam wystawić buty na aukcję internetową, dlatego potrzebowałam zdjęcia...

– Domyśliłam się...

– No więc kiedy chciałam zrobić zdjęcie, okazało się, że aparat nie działa. Nie było w środku karty pamięci, a ja pomyślałam, że to dziwne, bo dlaczego ktoś miałby ją wyjmować. I wtedy nagle wszystko zrozumiałam.

– Co pani zrozumiała?

– Że to mój mąż. To mój mąż porywa te dziewczyny.

Joanne uśmiecha się do niej i wzdycha.

– Pani Peterson, obawiam się, że wyciąga pani zbyt pochopne wnioski.

Kobieta kręci głową.

– Nie. Znalazłam kartę pamięci w kieszeni jego kurtki.

Joanne unosi brwi.

– Dlatego tu zamieszkaliśmy – mówi szybko Teresa Peterson. – Musieliśmy się wyprowadzić, bo on zrobił to już wcześniej. Niczego mu nie udowodniono, ale Merv uważa, że trudno naprawić zszarganą opinię, więc przenieśliśmy się na północ, gdy zobaczyliśmy w gazecie ofertę dla małżeństwa, które miało prowadzić hotel.

– Który hotel?

– George w Grasmere.

– Skąd pani pochodzi, pani Peterson?

– Z Ipswich.

– A pani mąż ma na imię Merv?

– Mervyn Peterson. Jeśli pani sprawdzi, przekona się pani, że był przesłuchiwany, kiedy przyjaciółka naszej córki powiedziała, że robił jej zdjęcia.

– Ile miała wtedy lat?

– Dwanaście.

Joanne stara się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Zaprzeczał, przysięgał, że jest niewinny, a ja mu uwierzyłam. Ale znalazłam to. –

Wyjmuje z torby kartę pamięci o pojemności 4 GB i podaje Joanne.

Policjantka patrzy na nią spokojnie.

– Co tu jest nagrane, pani Peterson?

Kobietą wstrząsa dreszcz.

– Zdjęcia. Zdjęcia dziewczynek... nagich nastolatek... i kilka fotografii jego matki.

W zeszłym miesiącu obchodziła siedemdziesiąte urodziny, więc ją odwiedziliśmy.

– Jest pani pewna, że to nie są zdjęcia pani córki? Może zrobiła je i zataiła to przed panią?

Teresa kręci głową.

– To nie ona – odpowiada. – Jestem pewna.



## ROZDZIAŁ 38

Odwożę Sama do szkoły, rozmawiam z panią Corrie, jego nauczycielką, o przyjęciu wigilijnym i obiecuję, że upiekę jedyne ciasto, które naprawdę mi wychodzi – z cukinii. Wiem, że nie jestem dobrą kucharką, ale ludziom wydaje się, że ciasto z cukinii to coś wyjątkowo trudnego, choć piecze się je tak samo jak ciasto bananowe.

– Jak się czuje Kate? – pyta nauczycielka uprzejmie.

– Dobrze – odpowiadam krótko.

Wcześniej dzwoniłam do szpitala. Usłyszałam, że Kate jest już zdrowa i jeszcze tego dnia wróci do domu. Kiedy wyraziłam obawę o jej stan psychiczny, powiedziano mi, że została przebadana i będzie pod kontrolą specjalisty.

Pani Corrie pyta, kiedy Kate *stanie znowu na nogi*, co w rzeczywistości jest pytaniem o to, czy zdoła pomóc w organizacji przyjęcia. Oczywiście trudno przypuszczać, by dała radę w takim stanie umysłu, rozumiem jednak niepokój nauczycielki – bez Kate może sobie nie poradzić.

Kate organizuje wszystkie szkolne zbiórki charytatywne i rozmaite uroczystości. Można śmiało założyć, że jej nieobecność skazuje przyjęcie wigilijne na wielką klępkę. Nikt nie zrobi tego, co obiecał. Nikt nie przyniesie fantów, wina, ciast i gier. Nic się nie uda, jeśli Kate nie będzie nad tym czuwać. Obawiam się, że szkoła straci pieniądze na przygotowanie przyjęcia.

Dzień jest szary i ponury, dokładnie tak, jak zapowiadano w prognozach pogody. Zrobiło się też znacznie cieplej, nie potrzebuję już rękawic ani czapki. Rura wydechowa ciągle przeraźliwie hałasuje, ale nie zwracam na to uwagi. Wszystko w swoim czasie.

W schronisku Lorna informuje mnie, że zaktualizowała stronę internetową i odsłuchiwała wiadomość z automatycznej sekretarki – technicy kryminalistyczni

odwiozą dziś Blueya. Zebrali już wszystkie potrzebne próbki. Jest też druga wiadomość. Jakaś zdenerwowana czy raczej pijana kobieta z Grasmere chce, żebyśmy jak najszybciej zabrali od niej psa, bo zmieniła się jej sytuacja życiowa, a sama nie może go odwieźć, bo odholowano jej samochód. Jej pies to doberman.

– Oddzwoniłaś do niej? – pytam Lornę.

– Nie odbiera. Pewnie zasnęła. Ale zostawiła adres. Pojedziesz tam?

– Zobaczę, czy się wyrobię.

– Wyglądasz na zmęczoną.

– To nie był najlepszy weekend w moim życiu.

– Chcesz, żebym ja się tym zajęła?

– Dzięki, poradzę sobie – odpowiadam z uśmiechem. – Wolę tam pojechać, niż czyścić boksy... Wybacz.

– Musiałam spróbować.

Lorna znów farbowała włosy henną, która zostawiła ciemne plamy na skórze za jej uszami i na karku. Nie wspominam o tym. Paznokcie także ma brązowe.

– Jak się miewa twoja przyjaciółka? – pyta Lorna. – Znaleźli jej córkę? – W odpowiedzi kręcę przecząco głową. – To musi być okropne – dodaje, a ja znów czuję, jak budzi się we mnie jakaś dręcząca myśl.

Wpatruję się w drzwi, zamyślona.

– Liso, wszystko w porządku? – pyta Lorna z troską.

– Słucham? Tak – odpowiadam szybko. – Muszę wziąć się do pracy. Co z kociakami?

– Został tylko jeden. Nazwałam go Buster.

– Dobre imię – kiwam głową i przechodzę do sali z tyłu. Spróbuję nakarmić malucha strzykawką.

Kiedy wchodzę do środka, widzę, że Lorna zapakowała już dwa padłe kocięta do worka, i słyszę ciche miauczenie Bustera.

Sięgam do klatki i podnoszę go. Jest czarny, ma tylko białą trójkątną plamę pod pyszczkiem i białe podbrzusze. Wygląda jak miniaturowy James Bond w smokingu. Sprawdzam, czy ma pchły, i od razu znajduję dwie. Sięgam po grzebień

i czeszę go, a potem karmię. Dochodzę do wniosku, że da sobie radę.

Oglądam dziąsła zwierzaka – mają prawidłowy, różowy kolor. Równie zdrowo wyglądają jego błyszczące ślepka.

– Postaraj się przeżyć – mówię, a on wpatruje się we mnie.

Słyszę sygnał esemesa i wyciągam z kieszeni telefon. Serce bije mi mocniej, kiedy widzę, że to wiadomość od Kate.

*Dziękuję ci. Jesteś prawdziwą bohaterką!*

*Zawsze do usług – odpisuję i wzdycham.*

Pewnie wraca właśnie do domu.

## ROZDZIAŁ 39

Trzy radiowozy jadą po Mervyna Petersona do hotelu George w Grasmere. Joanne siedzi za kierownicą jednego z aut. Objeżdżają właśnie jezioro Windermere od wschodu, a wóz policjantki utknął za piętnastoletnim fordem escortem z symbolem ryby na tylnej szybie.

– Chrześcijańska jazda w najgorszym wydaniu – mówi do Rona, stukając palcami w kierownicę.

Żyje właśnie dla takich chwil. Dla momentu gdy złapie gnoja za jaja i postawi go przed sądem, by odpowiedział za porwanie i wielokrotny gwałt na trzech dziewczynkach.

Wie, że to on. Czuje to. Teresa Peterson opowiedziała dokładnie o wcześniejszych kłopotach męża, mówiła też, że zniknął w środę wieczorem, gdy porwano Francescę Clarke. Joanne nie ma żadnych wątpliwości. Nie może się doczekać chwili, gdy zaciągnie go do pokoju przesłuchań.

Ron Quigley siedzi obok, łyka kolejne pastylki rennie i rusza nerwowo prawą nogą.

– O czym myślisz? – pyta partnerkę.

– Wyobrażam sobie, jak przyciskam gnoja kolanem do podłogi i zakładam mu kajdanki.

Joanne zerka na jezioro. Chmury przesłaniają góry Langdale Pikes po drugiej stronie, a tafla jeziora jest szara i nieruchoma. Na brzegu leży jeszcze sporo śniegu, ale wkrótce zniknie. Krajobraz wygląda jak wyprany z kolorów.

– Dobrze, gdyby skazali go jeszcze przed świętami – rozmyśla głośno Ron, a Joanne potakuje.

Spytała Teresę Peterson o rzecz, która wydawała się jej najbardziej zagadkowa w tej sprawie.

– Gdzie zabierał te dziewczyny? Gdzie w pobliżu jest miejsce, w którym nikt by go nie zauważył?

Teresa wzruszyła ramionami i odparła, że nie ma pojęcia. Joanne powtórzyła więc to, co słyszała od Molly Rigg.

– Molly powiedziała, że czuła zapach pościeli z pralni, a ściany pokoju były pomalowane na kremowo i nic na nich nie wisiało.

Teresa Peterson zbladła jak płótno.

– Obok hotelu jest kilka domków letniskowych – wyjaśniła po chwili. – Nie korzystamy z nich poza sezonem, więc teraz stoją puste.

– Widać je z hotelu? – spytała Joanne, a Teresa pokręciła głową.

– Nie. Stoją z boku głównego budynku. Nikt tam nie chodzi, kiedy ich nie używamy.

Joanne przekazała wszystkie informacje inspektorowi, a ten natychmiast skierował ich do akcji.

Jadą przez Ambleside, a Joanne mruga na forda światłami, dając znak, by zjechał na bok, jedzie z prędkością zaledwie trzydziestu kilometrów na godzinę, ale kierująca nim kobieta nie reaguje.

Joanne naciska na klakson, a Ron wymachuje rękami, aż w końcu kobieta zjeżdża na prawo, w stronę Rydal Mount – domu, w który mieszkał Wordsworth, gdy pisał *Żonkile*. Wreszcie mogą przyspieszyć.

Dziesięć minut później mondeo i dwa pozostałe radiowozy zatrzymują się przed hotelem George.

– Miejmy nadzieję, że zastaniemy pięknego Mervyna – mówi Ron, wysiadając.

Wchodzą do recepcji. To duże pomieszczenie o ścianach wyłożonych dębową boazerią. Po przeciwnej stronie, nad dębowymi schodami, wisi głowa jelenia.

Joanne podchodzi do recepcjonistki, młodej chudej dziewczyny z czarnymi włosami. Pokazuje legitymację policyjną i pyta ściszym głosem o Petersona. Dziewczyna, która mówi z hiszpańskim akcentem, informuje ją, że szef jest na trzecim piętrze, z inspektorem ochrony przeciwpożarowej.

– Jeśli pani chce, zadzwonię po niego – proponuje obojętnie. Joanne grzecznie

odmawia i oznajmia, że znajdą go sami.

Grupę prowadzi inspektor McAleese, Joanne idzie tuż za nim, a za nią Ron i dwóch umundurowanych policjantów. W hotelu jest za ciepło, w powietrzu unosi się zapach świeżo ułożonej wykładziny i środków do polerowania mebli. Schody zakręcają pod kątem prostym w prawo, jakiś łysiejący mężczyzna z teczką przystaje, by ich przepuścić.

– Coś się stało? – pyta McAleese’a, który nagle zatrzymuje się w miejscu.

– Jest pan gościem? – pyta mężczyznę.

– Nie, inspektorem ochrony przeciwpożarowej.

– Rozmawiał pan właśnie z Mervynem Petersonem?

Kiwa głową.

– Idę teraz obejrzeć basen. Peterson robi jeszcze notatki w pokoju numer jedenaście, na samej górze, w prawo od schodów, na końcu korytarza.

McAleese rusza pędem w górę schodów, przeskakując po dwa stopnie. Joanne robi to samo i czuje, jak krew żywiej krąży w jej żyłach, wypełnia się adrenaliną. Są już bardzo blisko. Słyszy za sobą kroki pozostałych policjantów. Gdy wybiegają na górę, jest już zdyszana. Zastanawia się przez moment, czy zdjąć kurtkę, ale nie ma na to czasu. McAleese idzie w głąb korytarza.

Pokój jedenaście. Drzwi są zamknięte. McAleese przykłada do nich ucho, krzywi się, sygnalizując, że niczego nie słyszy, po czym stuka głośno.

– Policja. Panie Peterson, proszę otworzyć.

Nic.

– Przygotuj się – szepcze inspektor.

Serce Joanne wali jak młotem.

McAleese daje znak, by nacisnęła na klamkę. W milczeniu odlicza na palcach: raz, dwa, trzy.

Wpadają do środka, inspektor do sypialni, Joanne do łazienki. Potem zagląda do szafy.

– Pusto, szefie – mówi.

– Następny pokój.

Ron idzie sprawdzić schody pożarowe, a jeden z mundurowych przekazuje przez krótkofalówkę policjantom, którzy zostali na dole, by obstawili wszystkie wyjścia. Dziwne, Joanne przypuszczała, że Mervyn nie będzie uciekał. Była przekonana, że to pewny siebie cwaniak, który spokojnie na nich poczeka, a potem wszystkiemu zaprzeczy i spróbuje się wyłgać.

Puka do drzwi pokoju numer dziewięć.

– Policja! – krzyczy i nie czekając na odpowiedź wpada do środka.

Najpierw dostrzega parę mokasynów z cielej skóry wystających poza krawędź łóżka.

Robi cztery kroki w tę stronę i po raz pierwszy widzi jego twarz.

– Mervyn Peterson?

Teraz rozumie, jak udało mu się zwabić te dziewczyny do samochodu. Ma naprawdę piękną twarz.

Uśmiecha się i siada prosto.

– Złapała mnie pani na gorącym uczynku – mówi, ziewając. – Właśnie zamierzałem... uciąć sobie drzemkę.

– Szefie, jest tutaj! – woła Joanne w stronę drzwi. – Pokój dziewięć.

Słyszy tupot nóg. Mervyn wydaje się zaskoczony.

– Do diabła – mówi z przejęciem. – O co chodzi? Coś się stało?

Jego oczy lśnią, uśmiecha się z wyższością.

– Daruj sobie – mówi Joanne. W tym samym momencie staje przy niej inspektor McAleese. Spogląda na Mervyna i krzywi się odruchowo.

Mervyn Peterson ma spodnie zsunięte do kostek, a jego nabrzmiąły penis leży na jego brzuchu. Mężczyzna odkasłuje i obserwuje reakcję Joanne, gdy penis odbija się dwukrotnie od płaskiego, umięśnionego podbrzusza.

– Mervynie Peterson, aresztuję pana pod zarzutem...

Kilka sekund później Joanne nakazuje mu się ubrać, by mogła założyć mu kajdanki. Zaciska je nieco mocniej niż powinna i wyprowadza podejrzanego za łokieć.

Kiedy idą korytarzem w stronę schodów, otoczeni przez innych policjantów, Mervyn pochyla się do niej.

- Widziałem, jak patrzyłaś – szepcze jej do ucha z nieskrywaną przyjemnością. –  
Widziałem twoją twarz, kiedy mnie znalazłaś.
- Doprawdy? – dziwi się Joanne ze śmiertelną powagą.



## ROZDZIAŁ 40

–Bez komentarza – odpowiada Mervyn z drwiącym uśmiechem. Spogląda na swojego prawnika, który w odpowiedzi kiwa głową. Mervyn jest ubrany w czystą włoską koszulę z grubej bawełny, którą koniecznie chciał zabrać ze sobą do komisariatu. Uparł się też, że włoży czyste skarpetki i bieliznę. „Na wypadek gdybym był przeszukiwany”.

Joanne poprawia się na krześle.

Błagała McAleese’a, by pozwolił jej przesłuchać Mervyna. Musi coś z niego wycisnąć. Ale siedzą już ponad dwadzieścia minut, a gnojek nie chce mówić.

Joanne postanawia posiedzieć przez chwilę w milczeniu. Chętnie wytarłaby się pod pachami i pod twardymi fiszbinami stanika. Wkrótce pot zacznie przesiąkać przez bluzkę. W pokoju panuje straszny upał.

Mervyn znów posyła jej drwiący uśmiezek.

– I co teraz? – pyta w odpowiedzi na jej milczenie. – Będziemy się tak gapić na siebie?

– Twoja żona zeznała, że robiłeś zdjęcia nagich dziewczynek. Nie chcesz odpowiadać na moje pytania, w porządku, rozumiem. Myślisz, że jeśli zaczniesz mówić, ściągniesz na siebie więcej kłopotów, więc to oczywiste. Na twoim miejscu prawdopodobnie zachowałabym się tak samo.

– Moja żona ma urojenia.

– Mnie wydawała się całkiem normalna. Rozsądna, trzeźwo myśląca kobieta.

Mężczyzna prychnął lekceważąco.

– Bez komentarza.

– Choć muszę przyznać, że nigdy nie skojarzyłabym was dwojga ze sobą.

Mervyn unosi brwi w niemym pytaniu.

– Jesteście dziwnie dobraną parą – wyjaśnia Joanne.

– Skoro tak uważasz. – Wzrusza ramionami.

– Jak się poznaliście?

– Bez komentarza.

– A co z twoją córką? Ile ma lat, jedenaście?

– Dwanaście.

– Za rok będzie w twoim ulubionym wieku. Gdzie ukrywasz Lucinę?

Pochyliła się do przodu i przeszywa ją lodowatym spojrzeniem.

– Nie porwałem tych dziewczynek. Jestem ojcem i mężem. A nie pedofilem, jak próbujesz mi wmówić. Nie macie żadnych dowodów, że to zrobiłem, a jeśli liczyacie na jakieś łzawe zwierzenia, to sobie poczekacie. Mówiłem już. Ja tego nie zrobiłem.

– Co mówi ci nazwisko Lafferty? Charles Lafferty?

Mervyn wzrusza ramionami.

– Nigdy go nie spotkałem.

– A ja myślę, że dobrze go znasz.

Mężczyzna przewraca oczami.

– Właśnie takiego nazwiska używasz, prawda?

– Bzdura.

– To pseudonim, którym się posługujesz, udając kogoś innego.

– Dlaczego miałbym kogoś udawać?

– Może wstydzisz się tego, kim naprawdę jesteś – odpowiada Joanne.

Mervyn śmieje się drwiąco.

– Nie wstydzę się *tego*, kim jestem – odpowiada, poprawiając jej błąd. Milknie na moment i lustruje ją wzrokiem. – Nie jesteś mężatką, prawda?

Joanne patrzy mu śmiało w oczy. Nie odpowiada.

– Dlaczego? – pyta dalej Mervyn.

– Mało jest wolnych i wartościowych mężczyzn, nie uważasz?

– Może chodzi raczej o to, że nikt nie chce się żenić z babochłopami.

Joanne pochyla się do niego i mówi cicho:

– Wiemy, że to ty, Mervyn. Mamy DNA.

Nie odpowiada, ale przez jego twarzy przemyka cień niepewności.

Ona mówi dalej:

– Lepiej spróbuj sobie pomóc i powiedz nam, dlaczego to robisz. Może dostaniesz wtedy mniejszy wyrok. Jeśli będziesz powtarzał „bez komentarza”, do niczego nie dojdziemy. Nikt nie będzie miał litości dla faceta, który nie ma odwagi się przyznać do swoich czynów. Szczególnie w więzieniu. Jeśli powiesz mi, dlaczego to robisz, możemy poprosić psychiatrów o konsultację. Słyszałam, że ich opinia wpływa na wysokość wyroku.

– Jakie DNA? – pyta.

– Och, Mervyn, nie mogę zdradzać ci wszystkich moich sekretów, prawda?

– Blefujesz.

– Nie wolno mi blefować.

Prostuje się na krześle, bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze.

– Nie wierzę ci – mówi w końcu.

– Nie kłamie, Mervyn. Możemy cię powiązać z jedną z ofiar. A teraz, skoro już cię mamy, przeprowadzimy zapewne konfrontację. Istnieje szansa, że któraś z tych dziewczyn cię rozpozna.

Mężczyzna spogląda na swojego prawnika. Joanne obserwuje go uważnie. Adwokat zachowuje kamienną twarz, ale opuszcza wzrok i kręci lekko głową.

– Bez komentarza – odpowiada stanowczo Mervyn.

Joanne przesuwa dłonią po blacie biurka, jakby chciała go dosięgnąć.

– Mervyn – mówi cicho, niemal ze smutkiem. – Mamy psa. Tego psa, którego wykorzystałeś do zwabienia ostatniej ofiary, pamiętasz? Znaleźliśmy go. I wiesz co? Okazało się, że to prawdziwy skarbiec z materiałem dowodowym.

Joanne wkłada dłonie pod strumień zimnej wody i przemywa twarz. Jest cała czerwona, koszula lepi się do ciała. Sięga po papierowy ręcznik, zwilża go, a potem przeciera plecy i brzuch. Mówi sobie, że dotarła prawie do celu. Już naprawdę blisko.

McAleese, który obserwował przesłuchanie na monitorze w sąsiednim pokoju, zarządził przerwę. Mervyn poprosił, by pozwolono mu naradzić się w cztery oczy

z prawnikiem, a inspektor wyraził zgodę. Uważał, że po powrocie podejrzany zmieni ton, ale Joanne mocno w to wątpiła. Odniosła wrażenie, że Mervyn zamierza prowadzić tę grę do końca. Był urodzonym kłamcą. Policjantka musi przyznać, że dotąd nie spotkała równie dobrego łgarza. Wydawało się, że sam święcie wierzy w każde słowo, które wychodzi z jego ust. Prawdopodobnie potrafiłby oszukać nawet wykrywacz kłamstw.

Zespół zbiera się w jednym z pokoiów, a potem Joanne i McAleese idą do celi, by przyprowadzić Mervyna na drugą turę przesłuchania.

Dyżurny sierżant otwiera drzwi, a wzrok Joanne pada na prążkowane spodnie. I nagi tors Mervyna. Jego szara twarz patrzy prosto na nią. Wisi nieruchomo na swojej koszuli przywiązanej do okiennych krat.

Joanne rzuca się w jego stronę.

Robi się już siny. Obejmuje go na wysokości bioder, podnosi.

– Kurwa... – słyszy z tyłu, nie wie jednak, czyj to głos, bo koncentruje się na podnoszeniu Mervyna.

Nie pozwoli mu umrzeć. Ma przed oczami smutną twarz Molly Rigg, gdy zbiera siły i podnosi go jeszcze wyżej. Nie pozwoli mu umrzeć.

Węzeł zacisnął się mocno na jego szyi. Ciało Mervyna chwieje się i drży, gdy McAleese przecina koszulę i próbuje go uwolnić. Joanne czuje, że ktoś obejmuje Petersona w pasie, pomaga jej utrzymać go w górze.

Wreszcie koszula pęka, a ciało wisielca zgina się w pół.

Joanne i sierżant z trudem zachowują równowagę, a potem układają Petersona na podłodze.

– Wezwij pogotowie! – krzyczy McAleese do postaci stojącej w drzwiach.

Joanne klęka i przykładą palec do szyi Mervyna.

– Słaby puls, musimy to ściągnąć z jego szyi. – Rękaw koszuli wrzyna się w jego gardło. On także zacisnął się pod ciężarem wisielca. Joanne próbuje włożyć pod materiał dłoń, ale udaje jej się wsunąć tylko jeden palec.

– Jezu! – mówi McAleese. – Skurwysyn zaraz nam się wymknie. Joanne, zrób mu sztuczne oddychanie.

Policjantka spogląda z ukosa, waha się przez moment, a potem wykonuje polecenie. Nie ma czasu, by iść po maseczkę resuscytacyjną. McAleese przez cały czas próbuje szczyrykiem przeciąć rękaw koszuli.

Joanne czuje, jak zbiera jej się na wymioty, gdy zaciska palce na nosie Petersona i przykłada usta do jego ust. Smakuje kawą. Słodką. W głowie Joanne natychmiast pojawiają się obrazy z karty pamięci, którą przyniosła jego żona.

Wdech. Wydech. Nagie ciała dziewczyn. Wdech. Wydech.

Chryste, powinna raczej wbić mu palce w oczy i wyciągnąć na wierzch jego pierdolony mózg, a nie go ratować.

Wdech. Wydech.

Wdech.

McAleese przecina w końcu rękaw i każe jej przerwać resuscytację. Mówi, że twarz Petersona odzyskuje normalną barwę.

– Sprawdźmy, czy skurwiel da radę oddychać – rzuca inspektor. Wszyscy obserwują, jak klatka piersiowa Mervyna unosi się i opada.

Kilka sekund później otwiera z trudem powieki.

McAleese spogląda znacząco na Joanne, dając do zrozumienia, że powinna uważać, bo ten gnojek może się na nią rzucić.

– Przez chwilę myśleliśmy, że już po tobie, Peterson – mówi.

Mervyn otwiera szerzej oczy. Jest zdezorientowany. „Może wydaje mu się, że jest w niebie” – myśli przelotnie Joanne.

– Nie pozwolimy się wymigać facetowi, który zgwałcił trzy dziewczynki, prawda?  
– kontynuuje inspektor.

Mervyn patrzy na nich z konsternacją.

– Trzy? – powtarza.

## ROZDZIAŁ 41

Stoję na progu pocztówkowego domku na obrzeżach Grasmere i myślę o szczeniętach. Ludzie zwykle wybierają szczenię zamiast dorosłego psa. Dlaczego, skoro nie mogą sobie z nimi poradzić?

Dzwonię do drzwi, ale nikt nie otwiera. Próbuję zajrzeć do środka, ale zasłony w oknach są zaciągnięte. Doberman musi być gdzieś na tyłach domu. Inaczej na pewno usłyszałabym jego szczekanie.

Opieka nad szczeniętami to ciężka praca. Robią w domu kupy, obgryzają meble, narażają właścicieli na koszty. Dorosłe psy ze schroniska są już wysterylizowane, zaszczepione, mają chipy. To oszczędność rzędu stu sześćdziesięciu funtów. Ale wszyscy chcą szczeniaki. Bo *skąd wiadomo, czy nie trafi się groźny, niesforny pies?*

Nie zdają sobie sprawy, że to właśnie oni wyhodują kolejnego niesfornego psa.

Czekając na właścicielkę, rozglądam się dokoła. Dom jest jedną z czterech podobnych budowli ustawionych w rzędzie. To dobre miejsce, oddalone od drogi. Przy drzwiach każdego z domków rosną powojniki. Teraz są brązowe i brzydkie, ale w lecie na pewno wyglądają ślicznie. W pobliżu nie widać żadnych oznak życia, tylko przed sąsiednim domkiem stoi ford transit jakiejś firmy elektrycznej. Panuje tu martwota typowa dla ośrodków letniskowych.

Dzwonię raz jeszcze. W końcu za matową szybą pojawia się postać. Otwiera drzwi, a ja instynktownie cofam się o krok, zaskoczona. Jest już pierwsza piętnaście po południu, a kobieta, która stoi przede mną, ma na sobie szlafrok. Jej żółte włosy są potargane, smuga czerwonej szminki przecina policzek, sięga niemal lewego ucha. Dałabym jej jakieś czterdzieści pięć lat. Jest atrakcyjna, ale wymizerowana.

– Przyszłam po psa. Dobermana.

– Proszę wejść.

W domu nie ma przedpokoju ani korytarza, wchodzimy od razu do salonu.

– Miała pani włamanie? – pytam, bo na podłodze walają się sterty różnych rzeczy.

– Co? – mówi, rozglądając się dokoła. – Nie... po prostu nie zdążyłam posprzątać.

Obok sofy stoi popielniczka wypełniona niedopałkami. Na dywanie widać szare plamy znaczące miejsca, gdzie wcześniej wysypały się pety. Stolik zavalony jest ubraniami, dokumentami, kubkami, butelkami po winie, płytami DVD i bielizną.

W telewizorze pokazują właśnie film *Loose Women*, ale dźwięk jest wyłączony. Dochodzę do wniosku, że kobieta musiała spać, kiedy zapukałam do drzwi, bo na sofie leży kołdra.

– Przepraszam za bałagan – mówi, zrzucając z drugiej sofy ubrania, bym mogła usiąść. – Miałam kiepski tydzień.

– Psa trzyma pani na zewnątrz?

– W szopie.

– Potrzebuję kilku dodatkowych informacji, zanim go zabiorę... ją?

– Jego. Nazywa się Diesel.

– To pani pies? – pytam.

– Nie, mojego męża... wkrótce byłego męża.

Uśmiecham się słabo.

– W takim razie konieczna jest także jego zgoda – informuję, a kobieta opuszcza głowę na oparcie sofy, jakby spodziewała się, że będą z tym problemy.

Postanawiam, że na razie zrobię, co mogę, a resztą zajmę się później. Kobieta mówi, że nazywa się Mel Frain. Jej mąż ma na imię Dominic.

– Czy pies jest wykastrowany?

– Nie.

– Ile ma lat?

– Półtora roku. Początkowo nie mieliśmy z nim problemów, ale potem zaczął wszystko niszczyć, więc trzymamy go na zewnątrz. – Wskazuje dłonią na tyły domu.

– Jakież problemy ze zdrowiem?

– Nie. Przepraszam... – Przerzywa i wstaje. Poły jej szlafroka rozchylają się. – Muszę się napić. Ma pani na coś ochotę?

- Herbatę, jeśli można.
- Miałam na myśli coś mocniejszego. Ja napiję się wina.
- Dla mnie jeszcze trochę za wcześnie.
- Jasne. Pani wybaczy, za chwilę wrócę.

Wychodzi. Słyszę, jak otwiera i zamyka lodówkę. Po chwili wraca z wielką butlą pinot grigio, niesie też dwa kieliszki ze śladami szminki na brzegach i odciskami palców na nóżkach.

– Przyniosłam drugi kieliszek, gdyby zmieniła pani zdanie. Nie mam herbaty. – Pochyliła się, by nalać sobie wina. Widzę, że ma sztuczny, zadziwiająco sprężysty biust, i zastanawiam się, czy jest jedną z tych biednych kobiet, którym bez ich wiedzy wszczepiono implanty z przemysłowego silikonu. Prawdopodobnie będzie musiała się ich pozbyć zaraz po świętach.

Mel Frain upija duży łyk wina, wzdycha i rozsiada się wygodniej.

– Przepraszam, za to wszystko. Przechodzę naprawdę trudny okres.

Kiwam głową, chociaż wcale nie mam ochoty słuchać opowieści o małżeńskiej zdradzie, a na to wyraźnie się zanoszą.

- W zeszłym tygodniu, gdy wróciłam do domu – mówi wyzutym z emocji głosem.
- Znalazłam mojego męża w łóżku z... moim ojcem.
- O Boże – mówię, zaskoczona. – I co pani zrobiła?
- Zwymiotowałam.
- Nic dziwnego.

Kiwam głową.

- Gdzie oni teraz są?
- Pojechali na święta do Sitges na Costa Dorada.
- A co z pani mamą?
- Udaje, że nic się nie stało.

Wypuszczam głośno powietrze.

- Przykro mi, ale nie mogę zatrzymać tego psa – mówi. – Pracuję cały dzień. Trzeba z nim często wychodzić na spacer, a ja na razie nie mam na to siły.
- Znajdziemy mu dobry dom – zapewniam ją. Dochodzę do wniosku, że nie ma



sensu kontaktować się z jej mężem i prosić o zgodę na zabranie psa. – Proszę – mówię, podając jej formularz. – Proszę podpisać na dole, a zajrzę do psa.

Wsadzamy Diesla do klatki z tyłu mojego samochodu. Przydałoby się podciąć zwierzakowi pazury, ale poza tym jest w dobrym stanie. Piękny pies z lśniąco zdrową sierścią. Na pewno bez trudu znajdę mu nowego właściciela.

Kiedy zamykam bagażnik, furgonetka firmy elektrycznej odjeżdża. Dopiero wtedy widzę, że nieco dalej, przed następnym domem, stoi samochód. Odwracam się do Mel Frain. Popłakuje cicho, rozstając się z Dieslem.

– Widziała pani tutaj już ten samochód? – pytam, wskazując ręką.

– Czasem przyjeżdża – odpowiada. – Ten domek wynajmują tylko w sezonie. Zdaje się, że to auto właściciela.

– Kiedy widziała je pani ostatnio?

– Jakieś dwa dni temu.

Znów pojawia się ta myśl z tyłu głowy. Tyle że teraz mogę jej dosięgnąć.

Spoglądam jeszcze raz na rejestrację.

To samochód Kate.

## ROZDZIAŁ 42

Nie wiem, jak długo tam stałam. Może tylko kilka minut, choć wydawało mi się, że znacznie dłużej. Mel Frain zniknęła w swoim domu, by wypić kolejny kieliszek wina, a tylne okna mojego samochodu zachodzą parą, którą wydycha Diesel. Otwieram drzwi od strony kierowcy, wkładam kluczyk do stacyjki i uchylam nieco tylne szyby. Myślę, że psy umierają w rozgrzanych samochodach.

Ale nie odrywam oczu od domku. Ostatniego w rzędzie.

Dlaczego samochód Kate jest tutaj? Przecież dopiero co wyszła ze szpitala.

Podchodzę bliżej i staję przed drzwiami. Ogarnia mnie dziwne uczucie, jak cisza przed burzą. Mogłabym się odwrócić i zapomnieć o tym wszystkim. Mogłabym wsiąść do samochodu, wrócić do schroniska i udawać, że nic nie widziałam. I być może osoba, którą niegdyś byłam, tak właśnie by postąpiła. Bo tamta osoba unikała konfrontacji, nie kwestionowała autorytetu tych, których uważała za lepszych od siebie.

Podnoszę rękę, by zastukać w drzwi, ale zmieniam zdanie. Przesuwam się kilka kroków na prawo i zaglądam przez okno. Widzę Lucindę i Kate, klęczą na podłodze obok wielkiego kartonowego pudła. Wyjmują z niego ozdoby choinkowe. Przez moment myślę, że ktoś zarezerwował ten domek na Boże Narodzenie, a ludzie lubią przyjeżdżać do miejsc, które wyglądają świątecznie.

I wtedy ogarnia mnie ogromna ulga, która omal nie zwała mnie z nóg. Lucinda jest tutaj. Cała i zdrowa. Patrzę na nią i tłumię szloch. Jest bezpieczna. Bogu dzięki nic jej nie grozi.

Potem przenoszę wzrok na Kate i robi mi się zimno.

Odsuwam się od okna i wracam do drzwi. Naciskam klamkę.

Są zamknięte na klucz.

Oddycham ciężko, chrapliwie. Próbuje się uspokoić, ale gdy wracam myślami do kilku minionych dni, narasta we mnie gniew. Czuję się jak głupiec, za którego mnie brano. Wiem, że muszę przestać myśleć i *zrobić* coś.

Przechodzę na tył domu, sprawdzam furtkę. Otwarta. Powoli, bezgłośnie wchodzę do środka.

Jestem w ogrodzie, który w większości wyłożony jest kostką, tylko w kilku miejscach sterczą pojedyncze rośliny. W rogu stoi przykryty i zabezpieczony na zimę grill oraz ławka piknikowa pomalowana na jaskrawy żółty kolor, typowy dla Kate. To jej znak firmowy. Pokryłaby taką farbą wszystko, gdyby mogła.

Tylne drzwi domu są otwarte. Wchodzę do środka i rozglądam się po kuchni, zszokowana. Na blacie leży świeża bagietka. Kate musiała ją kupić po drodze ze szpitala. W powietrzu unosi się zapach pieczywa. To ich lunch, który zjedzą po ubraniu choinki. Wyobrażam sobie, jak siedzą obok siebie, matka i córka, najlepsze przyjaciółki, jak często powtarzała mi Kate, i zajadają się z apetytem.

Słyszę głosy. Nie rozróżniam słów, ale wiem, że wypowiedane są normalnym, radosnym tonem. Wypełnia mnie niemal paraliżująca nienawiść.

Obok bagietki leży nóż do pieczywa. Biorę go do ręki. Jest zadziwiająco lekki. Tani model, który ludzie kupują na przecenie w supermarkecie, bo żal im wydawać pieniądze na coś drogiego, jeśli sami nie zamierzają tego używać. Wymachuję nim w powietrzu. Przez chwilę jestem szaloną kobietą. Kobietą, która przyszła się zemścić.

Zamykam na sekundę oczy, próbuję się uspokoić, potem słyszę jakiś szelest za drzwiami łączącymi kuchnię z salonem. Robię krok do przodu i otwieram je.

Po drugiej stronie stoi Kate. Nie mówi nic na mój widok, tylko patrzy.

Nie wygląda już jak upiór, udręczona zmora z ostatnich dni. Teraz wydaje się zdrowa i silna. Zastanawiam się, jak to w ogóle możliwe: czy można udawać taką rozpacz?

Spogląda na nóż w mojej dłoni i mruga nerwowo.

Lucinda nadal mnie nie widzi. Stoi odwrócona plecami do kuchni, wiesza bombki na gałęziach choinki i mówi coś do swojej matki. Porusza się jednak wolniej niż

powinna, dziwnie przeciąga słowa.

Jest ubrana w bluzę z kapturem i różowe spodnie od dresu. Jej równo obcięte włosy przesuwiają się do przodu, gdy pochyla się ku niższym gałęziom.

– Lucindo, usiądź na sofie, kochanie – mówi Kate, nie odwracając głowy. Nie spuszcza wzroku z noża.

Lucinda się odwraca i na mój widok otwiera usta ze zdumienia.

Mierzę ją gniewnym spojrzeniem.

– Czy twoja matka mówiła ci, że obwiniają mnie o twoje zaginięcie?

Lucinda nie odpowiada, spogląda pytająco na matkę.

– Mówiła ci? – pytam ponownie.

Lucinda kiwa głową. Na jej twarzy pojawia się grymas strachu, ale oczy pozostają zamglone, szkliste, jakby nie do końca utrzymywała kontakt z rzeczywistością.

Kate chce zrobić krok w moją stronę, ale ja podnoszę wtedy nóż.

– Nie rób tego – ostrzegam, a ona cofa się odruchowo.

Boję się. Wiem, że się trzęsę, ale muszę to zrobić. Jestem pewna, że jeśli nie powstrzymam tej kobiety, zrujnuje życie innym ludziom. Trzymam przed sobą nóż, wymachuję nim niczym maczetą.

– Liso – mówi Kate. – Co ty wyprawiasz?

Parskam śmiechem.

– Dlaczego ja? – pytam. – Dlaczego uznałaś, że możesz to zrobić właśnie mnie?

Milczy. Wciąż wpatruje się w nóż.

– Odpowiedz!

– Bo wiedziałam, że będziesz się obwiniać. Wiedziałam, że weźmiesz winę na siebie i... – Przerzywa i uśmiecha się do mnie lekko.

– I?

– Gdyby ktokolwiek inny znalazł się na twoim miejscu, próbowałby walczyć – tłumaczy. – Szukałby dziur, niekonsekwencji... ale nie ty. Wiedziałam, że przyjmiesz wszystkie oskarżenia bez protestu... I zawsze brakowało ci czasu, nigdy nie potrafiłaś się zająć swoimi sprawami tak jak naprawdę powinnaś.

Spoglądam na Lucindę, która gniecie w palcach brzeg kaptura.

- Wiesz, że twoja matka jest popierdolona, prawda?
- Liso! – upomina mnie surowo Kate. – Nie wyrażaj się!
- Wiesz, że jest obłąkana?

Lucinda unika mojego wzroku.

- Kto, kurwa, porywa własne dziecko?! – wrzeszczę.

Kate rozkłada szeroko ręce.

- Ktoś, kto chce za wszelką cenę uratować swoje małżeństwo – wyznaje szczerze.

- I ty się na to zgodziłaś? – warczę na Lucindę. – Zgodziłaś się?

- Myślałam, że dzięki temu tata wróci do domu.

- Skąd?

– Tata ma inną rodzinę – wyjaśnia Lucinda. – Wszyscy jesteśmy z tego powodu bardzo smutni. Myślałyśmy, że jeśli to zrozumie, wróci do nas na stałe.

- Rodzinę? – pytam zszokowana. – Jaką inną rodzinę?

Obie milczą, więc zwracam się ponownie do Kate.

– To jest wykorzystywanie dzieci. Zobacz tylko, co jej zrobiłaś. Myśli, że to normalne. Sądzi, że...

- Chce, żeby jej tata wrócił, co w tym złego?

– Złe jest to, że zamkną cię w więzieniu, a wtedy nie będzie miała ani matki, ani ojca. I dlaczego ona mówi w ten sposób? Dlaczego bełkocze? Nafaszerowałaś ją czymś?

– Liso, uspokój się. Widzę, że jesteś wytrącona z równowagi, ja na twoim miejscu też bym była. Ale naprawdę nie miałyśmy wyboru. Próbowaliśmy go przekonać, żeby z nami został, ale on nas nie słuchał.

Nie rozumiem, co do mnie mówi. Nie wierzę, że naprawdę zrobiła to celowo.

– Jak mogłaś? – pytam. – Płakałaś z rozpacz, kiedy ja błagałam cię o przebaczenie. Jak mogłaś mi to zrobić?

Wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć, że nie miała innego wyjścia. Zrobiła to, co musiała.

- Byłyśmy przyjaciółkami – dodaję słabo, a ona odwraca się ode mnie.

Myślę o Sally, która również obwiniała się o zaginięcie Lucindy.

Myślę o tym, jak obie zadreślałyśmy się gorzkimi myślami o tragedii, którą uważałyśmy za wynik naszego błędu. Błędu, którego w rzeczywistości nigdy nie popełniłyśmy. Obie czułyśmy się jak zera – ja jako matka, ona jako przyjaciółka.

Nagle uzmysławiam sobie, jak widzą mnie inni. Rozumiem łatwość, z jaką Kate zwała wszystko na mnie. Ona ma rację. To oczywiste, że nie próbowałabym nic zakwestionować. To oczywiste, że wzięłabym wszystko na siebie. Bo jestem kobietą z zaniżoną samooceną. Kobieta, która czuje się gorsza od innych i tak się zachowuje. Ktoś taki zawsze będzie łatwym celem.

Spoglądam na Kate i robi mi się przykro, że pozwoliłam, by to wszystko spotkało moją rodzinę. Potem przychodzi mi do głowy pewna myśl:

– Jak zamierzałaś sprowadzić Lucinę z powrotem do domu? – pytam. – Szukają jej dwa oddziały policji. Co zamierzałaś zrobić? Przemycić ją z powrotem i udawać, że nic się nie stało?

– Liso, może odłożysz nóż i porozmawiamy normalnie?

– Pierdol się.

– Miałam powiedzieć, że uciekłam – wtrąca Lucinda.

– Dokąd?

– Tutaj – odpowiada Kate. – Lucinda zna ten dom. Przyjeżdża ze mną i z Guyem, kiedy robimy przegląd naszych nieruchomości. Mogła wsiąść do autobusu pod szkołą i przyjechać tutaj niezauważenie. Wie, gdzie Guy trzyma klucze. Na haczykach w swoim gabinecie. O tej porze roku mamy kilkanaście wolnych posiadłości. Guy nie zauważyłby, że brakuje jednego klucza.

– No tak, miałyby przecież inne rzeczy na głowie – dodaję z sarkazmem. – Zaginioną córkę i żonę, która... – Nie kończę zdania. Przez chwilę przyglądam się Kate, po czym pytam: – A o co chodziło z tym samobójstwem? Dlaczego to zrobiłaś? Jaka matka byłaby gotowa zostawić swoje dzieci same... bez względu na to, czy w pełnej rodzinie, czy nie...

– Wiedziałam, że mnie znajdziesz.

– Co?

– Wiedziałam, że mnie znajdziesz – powtarza, a ja otwieram usta ze zdumienia.

– Jak to?

– Wysłałaś mi esemesa – wyjaśnia krótko. – Napisałaś, że zaraz przyjedziesz. A ja pomyślałam, że to jedyna okazja, teraz albo nigdy... Nie zażyłam wszystkich tabletek z tych butelek. To nie było wcale takie ryzykowne, jak ci się wydawało...

– Zrobiłaś to, żeby zatrzymać Guya?

Nie wierzę własnym oczom, kiedy kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: Każdy zrobiłby to na moim miejscu, Liso. Naprawdę.

– Jesteś chora.

– Wszyscy mamy swoje tajemnice, Liso.

Przełykam ciężko ślinę.

– Każdy z nas ukrywa coś przed światem. Pamiętasz? Wszyscy chcemy, żeby inni uważali naszą rodzinę za ideał, by myśleli, że robimy wszystko jak należy. Ja rzeczywiście robiłam wszystko jak należy. A mimo to coś nie wyszło. Przykro mi, Liso, ale nie mogłam się na to zgodzić. Walczyłam o moją rodzinę. Zrobiłam to, co uznałam za konieczne.

– Powinni cię zamknąć.

– Naprawdę tak myślisz?

– Oczywiście, że tak. A ty uważasz, że to normalne?

Wzdycha głośno, jakby nie mogła uwierzyć, że jestem taka tępa.

– Dlaczego nie powiedziałaś Joemu o tamtej historii? – pyta.

– A co to ma do rzeczy?

– Dlaczego nie powiedziałaś? – powtarza.

– Krótko mówiąc, sama poradziłaś mi, żebym tego nie robiła.

– Nie jestem twoją matką. Ani twoim sumieniem. Nie powiedziałaś mu, bo choć wiedziałaś, że postępujesz źle, wolałaś to przemilczeć i uratować swoją rodzinę.

– No dobrze, ale teraz i tak wszystko wyszło na jaw...

– Tak. – Kate kiwa głową z powagą. – Przepraszam cię za to.

– Za co?

– Musiałam trochę zachęcić Adama do działania. Postraszyłam go, że albo sam wyzna wszystko Alexie, albo ja to zrobię. A swoją drogą, jak zareagował Joe?

Zawsze go lubiłam. Było mi trochę przykro, ale nie miałam innego wyjścia.

– Więc to twoja sprawka?

Wzdycha ponownie.

– Musiałam jakoś odciągnąć waszą uwagę od Lucindy, zyskać trochę na czasie.

Patrzę na nią w osłupieniu. Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę wydobyć głosu z gardła.

Wtedy ona chwyta nóż. Robi to błyskawicznie, zaciska dłoń na ostrzu.

Odciągam rękę do tyłu i czuję opór. Ostrze przecina jej skórę. Kaleczy ją do kości, ale ona nie chce go puścić.

– Kate, przestań! – mówię. Ale ona mnie nie słucha.

Próbuję wyszarpnąć nóż jednym gwałtownym ruchem, ale ona trzyma kurczowo.

– Jezu, Kate!

Wpatruję się w jej twarz, nie dowierzając, że naprawdę to robi. Wytrzeszcza na mnie oczy.

– Nie pozwolę ci jej zabrać! – wrzeszczy. – Nie pozwolę zabrać Lucindy!

– Nie chcę jej zabierać, ty pierdolnięta suko! Puść ten nóż, do cholery!

Na pewno krwawi. Musi krwawić.

– Mamo! – krzyczy płaczliwie Lucinda. – Mamo, przestań, mamo, robisz sobie krzywdę. Proszę...

Kate, nie odrywając ode mnie oczu, odkrzykuje:

– Mamusia musi to zrobić! Daj mamusi jeszcze chwilę!

Jest silna. Bardzo silna. Skąd bierze tyle siły?

Rozzłoszczona, wrzeszczę na nią i ciągnę nóż do siebie.

– Dlaczego zawsze to robisz? Dlaczego mówisz o sobie w trzeciej osobie? Ona ma trzynaście lat, Kate. Nie jest małym dzieckiem! Przestań traktować ją jak dzidziusia, przecież nie będzie cię przez to bardziej kochała!

Nie wiem, czego dotknęłam tymi słowami, ale nagle widzę w jej oczach łzy i czuję, że nie trzyma noża tak mocno. Wydaje się, że na moment zwątpiła w siebie, że zobaczyła wszystko z boku i opadła z sił.

Więc wymierzam jej kopniaka. Kopię ją z całej siły w goleń.



Mam ciężkie buty z grubą, twardą podeszwą i kopię ją naprawdę mocno, bezlitośnie. Krzyczy z bólu.

Cofa się o krok i upada. Potem zaczyna się czołgać, trzymając przed sobą zakrwawioną dłoń, a ja przenoszę się myślami do tej zimy, kiedy miałam osiem lat i żona mojego ojca podcięła sobie żyły. W tym momencie nie zdaję sobie jeszcze sprawy z ironii tej sytuacji. Druga rodzina. Kolejna druga rodzina, która doprowadziła kobietę do szaleństwa.

Kate wpatruje się we mnie z przestraszeniem, czeka na następnego kopniaka. Lucinda zdejmuję bluzę, by owinąć nią dłoń matki. I w tym momencie dzwoni mój telefon.

Patrzemy na siebie niepewnie. Żadna z nas nie wie, co robić.

– Nie ruszajcie się – ostrzegam. – Jeśli się ruszycie, potnę was tym nożem.

Wyjmuję telefon z kieszeni i cofam się o krok.

– Pani Kallisto?

– Tak.

– Tu policja hrabstwa Kumbria. Niestety, doszło do wypadku...

# WIGILIA

## ROZDZIAŁ 43

Znów pada śnieg. W samą porę. Kiedy Joanne idzie do sklepu mięsnego, by odebrać świątecznego indyka, na ulicach Windermere panuje ożywiony ruch.

Jackie jest w pracy, ale ponieważ w tym roku Boże Narodzenie przypada w niedzielę, Joanne ma wolne. Nagle ogarnia ją świąteczny nastrój. W tym roku Wigilia nie będzie kolejnym zwykłym dniem. W tym roku Joanne zje prawdziwą kolację wigilijną z Jackie, a potem obie zasną na kanapie po przemówieniu królowej, syte i zadowolone.

Kupuje pasternak w kwaciarni – o tej porze roku kwaciarze dorabiają, sprzedając warzywa – i wstępuje do sklepu kosmetycznego, by dokupić jeszcze kilka drobiazgów.

Ani ona, ani Jackie nie dostają często prezentów. Syn Jackie nie przesłał jej nic od dwóch lat, więc obie rozpieszczają się nawzajem podarunkami. Joanne wkłada do koszyka masło do ciała, a po namyśle dorzuca urządzenie do pielęgnacji stóp firmy Scholl. Ogląda pudełko i wyobraża sobie, jak Jackie siedzi ze szklaneczką baileysa w dłoni, a wokół jej kostek unoszą się kłęby aromatycznej pary. Dochodzi do wniosku, że to trafiony prezent.

Gdy wychodzi na zewnątrz, nad miastem wiszą ciężkie, szare chmury. Po południu znów spadnie śnieg, więc wszyscy się spieszą, chcą jak najszybciej wrócić do domu, zatrzasnąć drzwi i odciąć się od świata. Spokojnie czekać na święta.

W osłoniętym zakątku przy Abbey Bank gra trio złożone z puzonisty, trębacza i saksofonisty. Gdy Joanne dochodzi do mięsnego, słyszy ostatnie dźwięki kolędy *Joy to the World*. W sklepie jest kolejka, ale posuwa się szybko. Wszyscy zamówili wcześniej indyki i zapłacili za nie, więc teraz je tylko odbierają. Joanne chciała wziąć całego ptaka, ale ponieważ miały go jeść tylko we dwie, Jackie wyperswadowała jej

tej pomysł.

Joanne ma już przejść przez ulicę i ruszyć w stronę domu, gdy dostrzega, że tuż obok ktoś parkuje tyłem na wolnym miejscu. Przystaje, rozpoznawszy kierowcę. Nie widzi dobrze wnętrza samochodu – szyby są zaparowane, bo w środku siedzi kilka osób – ale wie doskonale, kto siedzi za kierownicą.

Podchodzi do auta i stuka w szybę. Lisa Kallisto gasi silnik i otwiera drzwi. Joanne zagląda do środka i widzi trójkę dzieci Lisy stłoczonych na tylnym siedzeniu. Wszystkie są wyraźnie podniecone nadchodzącymi świętami.

Joe siedzi z przodu, na fotelu pasażera, a terier, którego badali technicy kryminalistyczni, umościł mu się na kolanach. Obie nogi od kolan w dół ma w gipsie.

– Cześć, Liso – mówi Joanne. – Jak leci?

– Dobrze. A u ciebie?

– Też nieźle, dzięki. – Joanne spogląda na Joe. – Więc wypuścili cię ze szpitala na święta?

Joanne dowiedziała się pocztą pantoflową, że taksówka Joego zjechała z drogi i wpadła do rowu. Joe przeżył, ale ma połamane obie nogi.

– Wyszedłem w środę – mówi Joe. – Na razie muszę jeździć na wózku – dodaje, wskazując na bagażnik samochodu.

– Wiedzą już, dlaczego straciłeś przytomność? – pyta Joanne.

Joe rozgląda się niepewnie na boki i milczy. Lisa przewraca oczami, pochyla się ku Joanne i mówi przyciszonym głosem, by nie słyszały jej dzieci:

– Miał coś, co nazywa się przemijającym atakiem niedokrwinnym, taki miniudar mózgu. – Lisa milknie na moment i zerka na męża. – I z sobie tylko znanych powodów postanowił zachować to w tajemnicy przede mną i dziećmi.

Joanne unosi brwi w niemym pytaniu.

– Uważał, że lepiej będzie nic mi nie mówić – wyjaśnia Lisa.

– Wiesz, dlaczego to zataiłem – mówi Joe smutnym tonem.

Lisa dźga go lekko między zębra.

– Głupi dziad myślał, że go zostawię, jeśli się dowiem... Przepisali mu warfarynę, więc problemy powinny się skończyć. – Sięga za siedzenie Joego po swoją torebkę. –

A co z Kate? Masz jakieś wiadomości?

– Została oficjalnie oskarżona.

– O co?

– O porwanie, bezprawne pozbawienie wolności i udaremnianie prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości.

Lisa bierze głęboki wdech.

– Cholera – mówi. – Wygląda to znacznie gorzej, niż przypuszczałam.

– Zrobiłaś co trzeba, Liso.

– Tak uważasz?

– Nie miałaś wyboru. Ona krzywdziła swoje dzieci. Nie mogłaś pozwolić, żeby robiła to dalej, wiesz o tym.

Lisa przekłada nogi, podnosi się, by wysiąść z samochodu.

– Skoro tak, to dlaczego czuję się podle? Sądzisz, że straci prawa rodzicielskie?

– Na pewno trafi do więzienia.

Lisa wzdycha ciężko, zasmucona.

– Nie zamierza wnosić apelacji... powoływać się na zaburzenia psychiczne czy jak to się tam oficjalnie nazywa?

– Owszem, mogłaby to zrobić, ale wtedy znacznie zmniejszy swoje szanse na zachowanie praw rodzicielskich po wyjściu z więzienia. Zobaczymy, jak to rozegra.

– Boże, ale się porobiło... – wzdycha Lisa i wysiada z samochodu. Patrzy na bożonarodzeniową dekorację przewieszoną nad ulicą i próbuje pogodzić się z tym, co właśnie usłyszała. Joanne doskonale ją rozumie. Jest Boże Narodzenie i wszystko kręci się wokół dzieci. Po chwili Lisa odwraca się do niej.

– Ale złapaliście go, prawda? – pyta, wyraźnie już radośniejsza. – Dorwaliście faceta, który porwał te dwie dziewczynki?

– Tak, mamy go.

– Świetnie. To ten sam gość, który rozmawiał z Lucindą po lekcjach?

– Nie przyznał się do tego, ale jesteśmy pewni, że tak właśnie było. Wygląda na to, że Lucinda powiedziała o tym matce, a wtedy Kate wpadła na pomysł fałszywego

uprowadzenia. Potem czekała tylko na okazję...

– Czekala na mnie... – wzdycha Lisa z rezygnacją. – Czekala, aż coś spieprzę, żeby upozorować zniknięcie Lucindy.

W jej głosie wciąż pobrzmiwa uraza. Mimo to po chwili pyta:

– A co z jej dziećmi? Wiem, że powinnam się tym zainteresować, ale jakoś nie mogę się zebrać...

– Są ze swoim ojcem. – Joanne dotyka łokcia Lisy. – Nic im nie będzie... Nie traktuj siebie zbyt surowo, dobrze? Kate była w takim stanie umysłu, że mogły jej przyjść do głowy naprawdę obłąkane pomysły. Kto wie, na co jeszcze mogła się zdobyć?

## ROZDZIAŁ 44

Życzę detektyw Aspinall wesołych świąt i wchodzę do mięsnego, zostawiając Joego, dzieciaki i Blueya w samochodzie. To nasze ostatnie zadanie na dzisiaj. Kiedy odbiorę indyka, będziemy mogli pojechać do domu, rozpalić ogień w kominku, ułożyć się na sofie i obejrzeć jakiś głupi film. I czekać, aż Boże Narodzenie dotrze do Troutbeck.

W witrynie sklepu piętrzą się same pyszności. Bazanty, perliczki i kuropatwy po lewej stronie wystawy, a po prawej pasztety, terriny i podroby.

Przyglądam się przez chwilę tym smakołykom, zanim wejdę do środka.

Wiadomości o Kate dotknęły mnie mocniej, niż przypuszczałam. Tak, wiem, że sama do tego doprowadziła. I wiem, że ktoś obłąkany do tego stopnia nie może opiekować się rodziną. Nie zrozumcie mnie źle, wciąż jestem na nią wściekła. Wciąż tli się we mnie złość, którą noszę w sobie od zeszłego tygodnia, wciąż jestem na nią wściekła. Ale z drugiej strony okropnie mi jej żal.

Przykro mi, że tak bardzo starała się zachować swoją rodzinę w całości, a w końcu ją straciła. Straciła wszystko.

Spoglądam na mój samochód. Tam kryje się teraz całe moje życie. I nie wyobrażam sobie, bym mogła stracić choćby najmniejszą jego część. Ani odrobiny.

Otwieram drzwi sklepu mięsnego i staję w kolejce, która dociera do tylnej ściany. Zerkam na ludzi, którzy czekają przed ladą, i dostrzegam Alexę.

Jest druga w kolejności. Stoi odwrócona do mnie plecami, ale wiem, że to ona.

Zamykam oczy. Opieram się o zimną, wyłożoną płytkami ścianę. Przez krótką chwilę zastanawiam się, czy powinnam uciec, wymknąć się chyłkiem, by jej nie spotkać, ale potem dochodzę do wniosku, że to nie miałyby sensu. To mała, zamknięta społeczność. Wcześniej czy później i tak na siebie wpadniemy.

Klientów obsługuje dziś syn właściciela, piętnastoletni spokojny chłopak. Podają mu nazwiska, a on przynosi indyki z chłodni na zapleczu.

Wręcza małą paczkę w woskowanym papierze starszej pani, a ta podaje mu butelkę johnniego walkera.

– Dla twojego taty – mówi. Chłopiec odbiera prezent, onieśmielony.

– Dziękuję – mamrocze pod nosem.

Przed ladą staje Alexa. Chrząka i oświadcza oficjalnym tonem:

– Nazywam się Willard, zamówiłam dużego indyka z wolnego wybiegu.

Chłopak blednie i odwraca wzrok. Po chwili zdobywa się na odwagę i duka:

– Pani Willard, przykro mi, ale nie mamy dla pani indyka.

– Jak to? – parska śmiechem Alexa. – Zamówiłam go jeszcze w listopadzie.

Oczywiście, że macie.

Chłopiec kręci głową.

– Powiedziano mi, że nie mamy tego indyka.

Jest wyraźnie zdenerwowany. Przeskakuje z nogi na nogę. W sklepie zapada cisza, wszyscy obserwują z uwagą całe zajście.

Wyciągam szyję. Niemal czuję gniew, który wzbiera w Alexie.

– Zawołaj ojca – warczy. – Nie będę dłużej słuchać tych bzdur.

Kiwa głową, przetyka i wychodzi na zaplecze. Kilka sekund później przy ladzie pojawia się jego matka, Kath, piersiasta kobieta o umięśnionych ramionach, okryta zakrwawionym fartuchem. Chodziłyśmy do tej samej szkoły, ona była o rok wyżej. Grałyśmy razem w drużynie hokejowej, ja byłam prawym obrońcą, ona napastnikiem.

– Pani Willard – wita się z Alexą beznamiętnym tonem.

– To skandal! – gorączkuje się siostra Kate. – Pani syn powiedział właśnie, że zapomnieliście o moim zamówieniu.

– Nie zapomnieliśmy. Zostało anulowane.

– Anulowane? Jakim prawem? Nie wydałam takiego polecenia.

– Wiem. Ja kazałam anulować.

Przesuwam się o krok w bok, by zobaczyć odbicie Alexy w lustrze ciągnącym się nad ladą.



Na moment otwiera usta ze zdumienia, szybko jednak odzyskuje panowanie nad sobą i mówi:

– Nie rozumiem.

– I nie musi pani. Po prostu je anulowałam.

– Dlaczego?

– Wytlumaczę pani – wzdycha żona rzeźnika. – Ale prawdę mówiąc, uważam, że trzeba mieć nie lada tupet, żeby tu przychodzić i pokazywać się po tym, co zrobiła pani walnięta siostra... Nasi mężowie narażali życie, szukając jej córki w śniegu i lodzie. Sklepy straciły klientów, bo ludzie bali się tu przyjeżdżać, a przecież i bez tego interesy nie szły najlepiej. Na pani miejscu poważnie zastanowiłabym się nad przeprowadzką. Tutaj nikt nie chce mieć z wami nic wspólnego...

– Przecież to nie moja wina! – woła Alexa. – Ja nie miałam z tym nic wspólnego, nie wiedziałam...

– Podobno jednak pani wiedziała...

– Nie – zaprzecza Alexa. – Naprawdę nie miałam pojęcia... – Rozgląda się bezradnie po sklepie, szukając wsparcia, ale wszyscy odwracają wzrok. Żona rzeźnika wyciera dłonie w ścierkę, którą przewiesiła sobie przez pasek.

– Pani wybaczy – mówi – muszę wracać do pracy. Mamy dzisiaj urwanie głowy.

Nie rusza się jednak z miejsca.

Alexa obraca się na pięcie i staje twarzą w twarz ze mną.

Przez dłuższą chwilę patrzy na mnie gniewnie, zastanawia się, jakimi obelgami mnie obrzucić. Potem jednak uzmysławia sobie, że wszyscy się w nią wpatrują. Unosi dumnie głowę i wychodzi bez słowa.

Kiedy jest już za drzwiami, żona właściciela spogląda na mnie, kiwa głową i wychodzi na zaplecze.

Pięć minut później wsiałam do samochodu i kładę indyka na kolanach Joego.

– Trzymaj go – mówię i odwracam się, by spojrzeć na dzieci. Sam siedzi na środku, zaczerwieniony od zimna, Sally zajęła miejsce po prawej, a James po lewej. Nie mogą się już doczekać, kiedy wrócimy do domu.

– Widziałem przed chwilą Alexę – mówi Joe. – Nie wyglądała na zadowoloną.

– Nie dziwię się – odpowiadam, zapinając pas. – Powiedzieli, że nie będą jej obsługiwać i żeby robiła zakupy gdzie indziej.

Joe aż się rumieni z zadowolenia.

– Co się stało? – pytam.

– Nic – odpowiada, ale uśmiecha się od ucha do ucha.

Kiedy wrzucam bieg, sięga do przodu i drapie Blueya za uchem. Odkąd Joe wyszedł w środę ze szpitala, są niemal nierozłączni.

Patrzę w lusterko i wyjeżdżam na ulicę. Jadę w stronę domu. Znow zaczyna prószyć śnieg.

Zerkam na Joego.

Jestem pewna, że jeszcze przed końcem tygodnia ten cholerny pies będzie spał w nogach naszego łóżka.

## OD AUTORKI

Wpadłam na pomysł napisania tej książki po obejrzeniu programu z cyklu *Oprah Winfrey Show*. Jednym ze stałych tematów tego cyklu jest zachowanie równowagi w życiu, a po licznych spotkaniach z wyczerpanymi matkami, które przychodziły do mnie na terapię, ja również często się nad tym zastanawiałam.

W programie, o którym wspomniałam, wystąpiła dyrektorka szkoły, Brenda Slaby. Jest szósta rano, Brenda odwozi dwójkę swoich dzieci do różnych opiekunek, a potem jedzie do pracy. To pierwszy dzień po długich letnich wakacjach, wypełniony masą zajęć. Osiem godzin później do biura Brendy wpada jej współpracownica i mówi, że w samochodzie wciąż jest jej dziecko. Brenda była tak zajęta, że zapomniała zostawić u opiekunki najmłodszą córkę. Mała Cecilia zmarła na skutek udaru cieplnego w gorącym sierpniowym słońcu.

Historia tej kobiety ogromnie mnie poruszyła. Brenda mówiła wtedy o sobie, że jest „najbardziej znienawidzoną matką w Ameryce”. Grożono jej śmiercią, rozwścieczone matki domagały się, by sądono ją za morderstwo.

Oglądając ten program, pomyślałam: „To mogłam być ja”. Ja też byłam kiedyś tak pochłonięta godzeniem opieki nad dziećmi z pełnoetatową pracą, że mogłabym zapomnieć o tej jednej rzeczy, o której nikt nie chciałby nigdy zapomnieć.

Ta myśl wciąż mnie dręczyła. Byłam pewna, że chcę o tym napisać – nie wiedziałam tylko jak. Obawiałam się, że nie potrafię oddać należycie historii Brendy. Wciąż jednak nie potrafiłam przestać myśleć o tym, jak współczesne kobiety starają się za wszelką cenę być idealnymi matkami i idealnymi pracownicami, zaniedbując jednocześnie relacje ze swoimi mężami i krytykując inne kobiety, które nie są w stanie im dorównać.

Kilka tygodni później robiłam zakupy w supermarkecie i wpadłam na znajomą,

której nie widziałam od pewnego czasu. Kiedy się z nią pożegnałam i wracałam do swojego samochodu, miałam wrażenie, że moje życie jest naprawdę do niczego – była to jedna z tych kobiet, która subtelnie daje ci do zrozumienia, jak mało jesteś warta, próbuje to przekazać też twoim dzieciom, jeśli tylko ma ku temu okazję. Potem siedziałam w samochodzie i zastanawiałam się, kto przyjaźni się z taką kobietą. Bo przecież musi mieć jakieś przyjaciółki. Mimo to nie mogłam sobie wyobrazić nikogo, kto byłby w stanie ją znieść.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl: A gdybym tak zagubiła *jej* dziecko? Gdybym była tak pochłonięta pracą i własnym życiem, że z mojej winy jej dziecko by zaginęło?

Ta myśl mnie przeraziła.

Chyba jedyną rzeczą gorszą od zaginięcia twojego własnego dziecka jest poczucie winy za zaginięcie dziecka twojej przyjaciółki.

Przeżona taką perspektywą, natychmiast zabrałam się do pisania. Tak właśnie powstała książka *Co z ciebie za matka?*

Paula Daly, styczeń 2013

# PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować następującym osobom: mojej siostrze Debbie Leatherbarrow i przyjaciółce Zoë Lei za ich wsparcie, pomoc i zachętę, od samego początku pracy nad książką. Dzięki za wszystko.

Mojej cudownej agentce Jane Gregory i zespołowi z Gregory & Co – Claire Morris, Stephanie Glencross i Linden Sherriff.

Mojej fachowej redaktorce Rachel Rayner, a także Corinnie Barsan, Nicie Pronovost, Jenny Parrott, Kate Samano i Sarah Day.

Kolejne podziękowania powinny otrzymać następujące osoby: Alison Barrow, Claire Wardi, wszyscy z Transworld. Ste Lea, Katharine Langley-Hamel, dr Jacqueline Christodoulou, D. Anderson, Tony i Babs Daly, Christine Long, Amanda Gregson, Jackie i Iain Garside, Paula Hemmings i Adrian Stewart. Wszyscy z We Should Be Writing oraz YouWriteOn. I wszystkie wspaniałe panie z biblioteki Windermere.

Przede wszystkim dziękuję Jamesowi, Grace, Harveyowi i Patrickowi. Mam ogromne szczęście.